

Przetakiewicz:
Trywializacja awansu

Karwowski, Jajszczyk:
Studia w czasach zarazy

Włoskowitz:
Regulacyjna nowomowa

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2020

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Nauka i lęki

Str. 26-39

Filip:
Postępowy makkartyzm

Głazek:
Nauczyciel-badacz

Mozolewska:
Wojna i pokój



TORUŃ 19 lutego 2020

CKK JORDANKI

GALA NAUKI POLSKIEJ

Mikołaj Kopernik
De revolutionibus orbium coelestium



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Na froncie walki z wirusem – Mariusz Karwowski	6
ERC – dwa wyzwania – Andrzej Jajszczyk	7
Inżynierowie zarabiają najwięcej – Dominik Czesak	17
Iskrzy na linii Nowy Targ – Warszawa – Marek Wroński	19

IDUB

Mały musi się bardziej starać – Tomasz Szemberg, Mariusz Wołos	20
---	----

ROZMOWA FORUM

Trywializacja awansów naukowych – z prof. Wojciechem Przetakiewiczem, byłym wiceprzewodniczącym Sekcji Nauk Technicznych CK, rozmawia Piotr Kieraciński	22
---	----

NAUKA I ŁĘKI

Hiperlękowa rzeczywistość a edukacja do słabości – Magdalena Szpunar	26
Czy przegrywamy wojnę idei? – Andrzej W. Nowak	29
Naukowe lęki i nadzieje w świecie sprywatyzowanych przeżyć – Łukasz Jach	33
Misz-masz (pseudo) naukowy – Piotr Pawlak	37
Bomby i kapsyony – Grzegorz Filip	39

ŻYCIE NAUKOWE

W oparach nowomowy – Wojciech Włoskiewicz	40
--	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (183)

Rektorska habilitacja – Marek Wroński	59
--	----

Z laboratoriów

Kiedy wojna jest pokojem – Paulina Mozolewska	61
--	----

Inteligentne leki – Mariusz Karwowski	66
--	----

Zagadki zółwia – Joanna Kosmalska	68
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Szukasz wydawcy? – materiał sponsorowany	36
Postępowy makkartyzm – Grzegorz Filip	44
Nauczyciele i Akademia – Stanisław D. Głazek	46
Czytanie na akord – Dariusz Żółtowski	49
Akademickie tradycje – Zbigniew Drozdowicz	50
Piwo łączy pokolenia – Tadeusz Słomka	52
Wzmoczenie legislacyjno-antywirusowe – Marcin Chałupka	53
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	58
Publikuj lub giń Gdy poziom staranności spada – Marek Misiak	56

W STRONĘ HISTORII

Rody uczone (255)

Biełańscy – Magdalena Bajer	70
--------------------------------------	----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (224)

Sowietyzacja – Piotr Hübner	74
--------------------------------------	----

OKOLICE NAUKI

Książki	62, 77
---------------	--------

FELIETONY

Czegoś tu nie rozumiem – Henryk Grabowski	73
--	----

Szkiełko w oku

Natura naukowca – Piotr Müldner-Nieckowski	76
---	----

Na marginesach nauki

Prometeusze – Leszek Szaruga	80
---------------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal



Forum Akademickie Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 3 (316) Marzec 2020

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka 2017-2020: prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalska, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

W PUSS bez zmian

PIŁA Dr hab. Donat Mierzejewski, prof. PUSS, będzie dalej kierował Państwową Uczelnią Stanisława Staszica w Pile. W 38-osobowym Kolegium Elektorów otrzymał 36 głosów. Z Państwową Uczelnią Stanisława Staszica,



Fot. PUSS

wcześniej Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Pile, związany jest od początku jej istnienia, tj. od 20 lat. Najpierw był zastępcą dyrektora Instytutu Humanistycznego, później prorektorem ds. dydaktyki i studentów, a od 2013 roku jest rektorem. Ponowny start w wyborach umożliwiła mu Konstytucja dla Nauki, zgodnie z którą kadencji rektora rozpoczętej w 2017 r., a zakończonej 31 sierpnia 2020 r., nie wlicza się do liczby następujących po sobie kadencji. W PUSS studiuje obecnie 1300 osób. Kadre tworzy 304 pracowników. Uczelnia oferuje 11 kierunków i 25 specjalności. Jej mury opuściło dotąd ponad 10 tys. absolwentów.

Druga kadencja Wiszniewskiej

SUWAŁKI Dr Marta Wiszniewska przez kolejną kadencję będzie rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. prof. Edwarda F. Szczepanika w Suwałkach. Była jedyną kandydatką na to stanowisko. Czterdzie-



Fot. Archiwum

stodwuletnia Wiszniewska jest jednym z najmłodszych rektorów w Polsce. Skończyła Wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Doktoryzowała się w Akademii Obrony Narodowej. Jest specjalistką od logistyki. Tego przedmiotu nauczała w Zespole Szkół nr 6 w Suwałkach. Pracowała także w Służbie Celnej. Z PWSZ związana jest od dziesięciu lat, m.in. jako dziekan Wydziału Ochrony Zdrowia. Suwalska publiczna powstała w 2005 roku. W jej strukturze funkcjonują

trzy wydziały: Ochrony Zdrowia, Politechniczny i Humanistyczno-Ekonomiczny. Blisko 2 tys. studentów ma do wyboru 11 kierunków kształcenia. Kadre uczelni tworzy ponad 200 pracowników.

Reelekcja w PWSTE

JAROSŁAW Dr hab. Krzysztof Rejman, prof. PWSTE, został jednogłośnie wybrany na rektora Państwowej Wyższej Szkoły Techniczno-Ekonomicznej w Jarosławiu. Zagłosowali na niego wszyscy elektorzy (24). Będzie to jego druga kadencja. Jest szóstym rektorem w historii jarosławskiej uczelni. Związany jest z nią od samego początku, czyli od 1998 roku. Przez 10 lat zajmował stanowisko prorektora ds. studenckich. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół zagadnień socjologicznych i dotyczą m.in. sytuacji osób niepełnosprawnych we współ-



Fot. PWSTE

czesnym społeczeństwie, polityki senioralnej oraz organizacji i zarządzania instytucjami pomocowymi. Jest wiceprezesem Stowarzyszenia Instytutu Polsko-Ukraińskiego w Jarosławiu oraz Towarzystwa Ochrony Dziedzictwa Kulturowego w Przemysłu. Na jarosławskiej PWSTE kształci się 2,5 tys. studentów.

Na kolejne 4 lata

POZNAŃ Prof. Andrzej Tykarski został wybrany na rektora Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Głosowało na niego 93 z 99 elektorów. Będzie to jego druga kadencja na tym stanowisku. Prof. Tykarski jest specjalistą chorób wewnętrznych, angiologii i hipertensjologii. Zawodowo jest związany z Uniwersytetem Medycznym (wcześniej Akademią Medyczną) w Poznaniu od 1982 roku. Od 2010 roku pełni funkcję kierownika Katedry i Kliniki Hipertensjologii, Angiologii i Chorób Wewnętrznych Szpitala Klinicznego Przemienienia Pańskiego UMP. Jest także kierownikiem Pracowni Farmakoeconomiki Nadciśnienia Tętniczego. Posiada tytuł Hypertension Specialist of European Society of Hypertension.



Fot. BRAUN

Nowy dyrektor NASK

WARSZAWA Dr inż. Kamil Sitarski (na fot. po prawej) zastąpił dr. hab. Jacka Leśkowskiego na stanowisku dyrektora Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej – Państwowego Instytutu Badawczego. Ukończył Wydział Inżynierii Produkcji Politechniki Warszawskiej. Jest doktorem nauk ekonomicznych w zakresie nauk o zarządzaniu (rozprawa doktor-



Fot. NASK

ska poświęcona modelowi referencyjnemu informatycznego systemu zarządzania wiedzą). Aktywnie działa na Wydziale Zarządzania PW, gdzie zajmuje się zagadnieniami, związanymi z systemami informatycznymi zarządzania, paradygmatami gospodarki cyfrowej i zarządzaniem wiedzą. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Informatycznego oraz Naukowego Towarzystwa Informatyki Ekonomicznej.

DID po raz drugi

WARSZAWA 15 mln zł trafi do piętnastu publicznych uczelni zawodowych w drugim konkursie Dydaktycznej Inicjatywy Doskonałości. Siedem z nich: Akademia im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, państwowe wyższe szkoły zawodowe w Głogowie, Suwałkach, Nysie i Chełmie oraz Państwowa Uczelnia Stanisława Staszica w Pile i Państwowa Uczelnia Zawodowa we Włocławku, zostało nagrodzonych po raz pierwszy. Premia finansowa jest wypłacana w formie subwencji, która zapewnia większą elastyczność w dysponowaniu pieniędzmi. Uczelnie mogą wydać środki na cele, które podniosą jakość kształcenia, np. na zakup pomocy dydaktycznych, zatrudnienie praktyków w uczelniach, stypendia dla studentów, kursy i szkolenia podnoszące kompetencje kadry dydak-

tycznej, modernizację laboratoriów. Uczelnie w konkursie DID są wyłaniane na podstawie wybranych wskaźników systemu Ekonomicznych Losów Absolwentów (ELA).

Mają już gdzie grać

BIELSKO-BIAŁA Studenci Akademii Techniczno-Humanistycznej mogą już korzystać z nowej hali sportowej. Obiekt o powierzchni blisko 1700 m² ma falistą bryłę. W najwyższym punkcie sięga ona 12 metrów, a mini-



Fot. ATH

malna wysokość to 6 m. Do użytku oddano parter budynku z boiskami do siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej, czterema boiskami do badmintonu oraz trybunami mogącymi pomieścić 104 widzów. W kolejnym etapie dobudowane zostanie I piętro. Znajdą się tam m.in. sala do squasha, siłownia, część administracyjna, ścianka wspinaczkowa, instalacja fotowoltaiczna. Hala powstaje w miejscu starej, na terenie kampusu ATH. Całość inwestycji pochłonie prawie 12,5 mln zł, z czego 9,4 mln dołożył MNiSW.

Polsko-ukraińska nagroda

WARSZAWA Dwoje badaczy Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. W. Trzebiatowskiego PAN we Wrocławiu: jego dyrektor prof. Andrzej Jeżowski (na fot.) oraz dr inż. Daria Szewczyk, a także prof. Mikhail A. Strzhemechny i prof. Alexander I. Krivchikov z Fizyko-



Fot. PAN

Technicznego Instytutu Niskich Temperatur NANU w Charkowie zostali laureatami polsko-ukraińskiej nagrody za wybitne osiągnięcia naukowe. Doceniono ich badania nad nowymi mechanizmami przewodnictwa cieplnego nieprzewodzących ciał stałych prowadzone od 2015 roku, kiedy po raz pierwszy zaobserwowano aktywowany termicznie nowy mechanizm transportu ciepła w monokryształe trójskośnego 4-bromobenzofenonu.

Analogicznego zjawiska, polegającego na wzroście przewodnictwa cieplnego w obszarze wysokich tem-

peratur, dowiedziono również dla szeregu kryształów molekularnych, składających się z elastycznych molekuł. Osiągnięcie pozwoli na zaprojektowanie nowych materiałów o określonych parametrach czy własnościach cieplnych. Nagroda przyznawana jest co 5 lat przez prezesów Polskiej Akademii Nauk i Narodowej Akademii Nauk Ukrainy.

Oko w oko z rekinem

SZCZECIN Prawie tysiąc eksponatów zwierząt wodnych, w tym unikatowe gatunki, których nie ma nigdzie w Polsce ani w Europie, można zobaczyć w Muzeum Ichtiologicznym, otwartym na Wydziale Nauk o Żywności i Rybactwa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. Wszystkie zbiory to efekt wypraw naukowych pracowników wydziału. Pierwsza z wystaw poświęcona jest rekinom. W specjalnie przygotowanych gablotach można zobaczyć rekina młota, kosogona żarłacza, kolenia, mustela, płaszczki z narzędziami elektrycz-

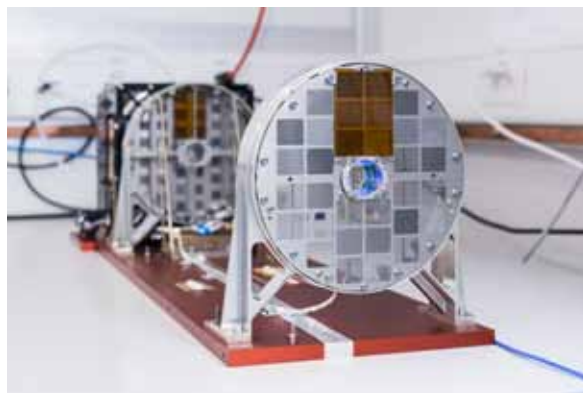


Fot. Mateusz Lipka

nymi i korale w naturalnej scenarii. Jest też złowiony w okolicach Nowej Funlandii w 1971 roku rekin polarny, który mierzy 4 metry. W innym miejscu znajdują się zbiory ryb, które pokonują tysiące kilometrów, by odbyć tarło, m.in. węgorze europejskie czy minogi morskie. Oprócz tego można obejrzeć laboratoryjną wylęgarnię ryb oraz akwaria z rybami morskimi i słodkowodnymi, m.in. błazenkami, pielęgnicami, rogatnicami i szpadelkami.

Polski wkład w badania Słońca

FLORYDA Teleskop rentgenowski STIX, opracowany przez naukowców i inżynierów Centrum Badań Kosmicznych PAN, znalazł się wśród dziesięciu aparatów umieszczonych na pokładzie sondy Solar Orbiter, wystrzelonej w przestrzeń kosmiczną z Przylądka Canaveral. Dzięki niej naukowcy chcą się dowiedzieć, jak Słońce tworzy i „kontroluje” heliosferę – swoje najbliższe międzygwiazdowe otoczenie, zdominowane przez wiatr słoneczny. STIX będzie dostarczał do dziesięciu wysokorozdzielczych zdjęć Słońca na sekundę, co umożliwi precyzyjne wskazanie, kiedy i z jakiego regionu na naszej gwiazdzie nastąpiła emisja elektronów w przestrzeń międzyplanetarną. Polacy zaprojektowali i wykonali komputer pokła-



Fot. Jan Hellmann

dowy wraz z obudową mechaniczną, system do precyzyjnego określenia położenia Słońca, a także układ do wspomagania testów elektroniki. Budowa Solar Orbiter trwała około 10 lat i kosztowała Europejską Agencję Kosmiczną 0,5 mld euro. Analizą danych zajmą się w Polsce badacze z Zakładu Fizyki Słońca CBK PAN we Wrocławiu oraz Instytutu Astronomicznego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Kolejne Europejskie Uniwersytety?

BIALYSTOK/GDAŃSK/WARSZAWA Trzy kolejne polskie uczelnie przystąpiły do konsorcjów, które wystartują w drugim konkursie European Universities. Politechnika Białostocka została członkiem konsorcjum „UNIVERS – European Cross Border University”, w skład którego wchodzi osiem przygranicznych uczelni z Francji, Hiszpanii, Niemiec, Bułgarii, Rumunii i Łotwy. Kształcą się w nich 85 tys. studentów. Liderem jest University of Perpignan (Francja). Politechnika Gdańska wraz z pięcioma partnerami z Hiszpanii, Portugalii, Francji, Włoch i Niemiec (w sumie kształcą ponad 81 tys. studentów) tworzy „CURE – Consortium of Universities with Regional Engagement”. Liderem jest Universitat Jaume

I (Hiszpania). Z kolei Politechnika Warszawska wraz z sześcioma uczelniami technicznymi z Niemiec, Szwecji, Norwegii, Włoch i Hiszpanii tworzy konsorcjum ENHANCE, którego liderem jest Politechnika w Mediolanie. Wyniki konkursu mają być ogłoszone w lipcu. W ubiegłym roku powołano 17 konsorcjów Uniwersytetów Europejskich z udziałem 5 polskich uczelni: Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego.

Stypendium na identyfikację łąbinu

WARSZAWA Anita Sabat-Tomala, doktorantka w Zakładzie Geoinformatyki, Kartografii i Teledetekcji Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego, otrzymała stypendium im. Anny Pasek.



Fot. Arch. prywatne

Jej projekt polega na opracowaniu oraz przetestowaniu teledetekcyjnej metody identyfikacji inwazyjnego gatunku łąbinu trwałego z wykorzystaniem metod klasyfikacji pikselowych i podpikselowych oraz lotniczych obrazów hiperspektralnych HySpex. Badania będzie prowadziła na cennych przyrodniczo obszarach Gór Kamiennych i Rudaw Janowickich. Uzyskane wyniki pozwolą na ograniczenie tradycyjnych naziemnych badań terenowych oraz optymalizację algorytmów klasyfikacji i zestawów danych teledetekcyjnych. Konkurs ma na celu promocję najzdolniejszych doktorantów polskich jednostek naukowych. Hasło przewodnie tegorocznej edycji brzmiało „5 górskich żywiołów”. Stypendium w wysokości 25 tys. zł jest fundowane przez Fundację im. Anny Pasek, założoną przez rodziców młodej badaczki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, która zginęła tragicznie podczas wspinaczki na Mont Blanc.

Mistrzowie w futsalu

POZNAŃ Studenci Kolegium Jagiellońskiego Toruńskiej Szkoły Wyższej i studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego zostali zwycięzcami akademickiej rywalizacji w futsalu. To pierwsi tegoroczni triumfatorzy Akademickich Mistrzostw Polski. W finale rywalizacji mężczyzn KJ-TSW pokonało Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie 5:1. Brąz dla Uniwersytetu Śląskiego. W grupie zespołów kobiecych studentki UJ wygrały decydujący mecz z Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Wałbrzychu 2:1. Dla krakowianek, które świetnie radzą sobie zarówno w rozgrywkach futsalowych, jak i trawiastych, to już trzecie z rzędu zwycięstwo w AMP. Na najniższym stopniu podium stanęły futsalistki Uniwersytetu Gdań-



Fot. Kinga Salata

skiego. MVP zawodów wybrano Mikołaja Zastawnika (UEK) i Klaudię Fabołą (PWSZ Wałbrzych).

Liderzy innowacji

WARSZAWA Politechnika Lubelska po raz trzeci z rzędu znalazła się na czele zestawienia polskich szkół wyższych pod względem liczby zgło-

zeń wynalazków i wzorów użytkowych. Lubelscy inżynierowie dokonali wprawdzie w ubiegłym roku o cztery zgłoszenia mniej (135) niż w 2018, ale i tak wyprzedzili Politechnikę Wrocławską (106) i Politechnikę Śląską (103). Okazali się także bezkonkurencyjni, jeśli chodzi o uzyskane patenty i prawa ochronne (126). To wysorowało ich na pierwsze miejsce także w tej kategorii, w której pokonali ubiegłorocznego lidera Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie (122) oraz Politechnikę Łódzką (106). W okresie 2013–2019 najprężniej w zakresie innowacji działała PWR, której pracownicy uzyskali 929 patentów i praw ochronnych. Zdystansowali Akademię Górniczo-Hutniczą (707) oraz ZUT (617). Najwyżej sklasyfikowaną uczelnią tzw. bezprzymiotnikową jest Uniwersytet Warmińsko-Mazurski – na 14. miejscu (186).

Powołany do ESFRI

KRAKÓW Prof. Józef Dulak, kierownik Zakładu Biotechnologii Medycznej na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, został powołany przez MNiSW na przedstawiciela Polski w Grupie Roboczej ds. Zdrowia i Żywności w Europejskim Forum Strategicznym ds. Infrastruktur Badawczych (ESFRI). Jego zainteresowania naukowe dotyczą komórek macierzystych, biologii i medycyny naczyniowej, terapii genowej i komórkowej oraz mechanizmów chorobowych powodowanych zapaleniami i stresem oksydacyjnym. ESFRI zostało powołane w 2002 roku. Efektem spotkań tego gremium jest kształtowanie polityki w zakresie infrastruktury badawczych w Europie. Tworzy i aktualizuje Europejską Mapę Drogową Infrastruktur Badawczych. Nie jest ciałem decyzyjnym i nie zajmuje się dystrybucją środków finansowych.



Fot. Arch. prywatne

Honorowy kardiochirurg

OLSZTYN Dr n. med. Franz van Erckelens został honorowym profesorem Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Z wnioskiem o uhonorowanie wybitnego kardiochirurga wystąpiła Rada Wydziału Lekar-



Fot. Janusz Pająk

skiego. W ten sposób podziękowano mu za zaangażowanie dydaktyczne, wzbogacenie procesu kształcenia i umiędzynarodowienie wydziału. F. van Erckelens jest absolwentem medycyny uniwersytetu w Aachen (Niemcy). W 2007 r. nawiązał współpracę z Wydziałem Nauki o Żywności UWM, od 2010 r. współpracuje z Wydziałem Lekarskim. Jako profesor wizytujący prowadził zajęcia dla studentów anglojęzycznych. Jest specjalistą z zakresu rehabilitacji i zapobiegania chorobom serca, rehabilitacji po operacjach kardiologicznych oraz leczenia żylnych chorób naczyniowych i zakrzepicy.

UEK z certyfikatem CEEMAN

KATOWICE Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach otrzymał międzynarodową akredytację instytucjonalną CEEMAN International Quality Accreditation – jedną z najbardziej prestiżowych i cenionych w obszarze edu-

kacji menedżerskiej. Przyznawana jest przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Rozwoju Zarządzania w Dynamicznie Rozwijających się Społeczeństwach (CEEMAN). IQA to certyfikat jakości, potwierdzający spełnienie wymogów dotyczących sprawnego funkcjonowania, dobrego poziomu dydaktyki i badań naukowych, stabilności finansowej, a także wysokiej jakości kształcenia. To pierwsza międzynarodowa akredytacja instytucjonalna dla UE w Katowicach. Uczelnia dołączyła tym samym do grona 27 akredytowanych instytucji CEEMAN na świecie, w tym pięciu polskich: Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie i Gdańskiej Fundacji Kształcenia Menedżerów. Akredytacja została przyznana na sześć lat.

Doktorat h.c. – prof. Jozef Živčák

BIAŁYSTOK Politechnika Białostocka uhonorowała najwyższą godnością akademicką prof. Jozefa Živčáka z Uniwersytetu Technicznego w Koszycach. Światowej sławy specjalista w dziedzinie biomechaniki człowieka



Fot. PB

jest 11 doktorem h.c. białostockiej uczelni, ale pierwszym zagranicznym. Prof. Živčák jest pionierem w zakresie opracowywania i wdrażania implantów wykonywanych na miarę z wykorzystaniem technik generatywnych. Zespół, którym kieruje, wykonał i nadzorował wszczepienie największego implantu twarzy na świecie, obejmującego 83% całej twarzy. Jest autorem m.in. urządzeń do rehabilitacji, protetycznych czy nowoczesnego systemu nakładek wspomagających naukę ssania u niemowląt z rozszczepem podniebienia. Był inicjatorem utworzenia w swojej Alma Mater centrum technik przyrostowych. Od ponad 20 lat współpracuje z Wydziałem Mechanicznym PB.

rozwijał wszczepienie największego implantu twarzy na świecie, obejmującego 83% całej twarzy. Jest autorem m.in. urządzeń do rehabilitacji, protetycznych czy nowoczesnego systemu nakładek wspomagających naukę ssania u niemowląt z rozszczepem podniebienia. Był inicjatorem utworzenia w swojej Alma Mater centrum technik przyrostowych. Od ponad 20 lat współpracuje z Wydziałem Mechanicznym PB.

Symulacje na Podkarpaciu

RZESZÓW Na Uniwersytecie Rzeszowskim uruchomiono Centrum Symulacji Medycznej. Jednostka jest częścią Kolegium Nauk Medycznych. Na



Fot. Michał Świąteczki

prawie 3 tys. m² powstały sale symulacyjne niskiej, pośredniej i wysokiej wierzchołkowej oraz sale przeznaczone do opieki położniczej i pielęgnarskiej, a także do ćwiczeń umiejętności pielęgnarskich, położniczych i technicznych. Na wyposażeniu CSM znajdują się fantomy, trenażery, defibrylatory, respiratory, kardiomonitoring oraz zaawansowane technologicznie symulatory pacjentów w różnym wieku. Jest też zaawansowany symulator porodowy. Dzięki systemowi audio-wideo możliwe jest rejestrowanie scenariuszy symulacyjnych. Centrum posiada także sale przystosowane do przeprowadzenia egzaminu OSCE, który pozwala ocenić efekty kształcenia w zakresie umiejętności praktycznych. Wartość projektu to 4,1 mln zł, z czego dofinansowanie ze środków UE wyniosło 3,5 mln zł. W drugim etapie powstaną sale do kształcenia na kierunku lekarskim.

wany symulator porodowy. Dzięki systemowi audio-wideo możliwe jest rejestrowanie scenariuszy symulacyjnych. Centrum posiada także sale przystosowane do przeprowadzenia egzaminu OSCE, który pozwala ocenić efekty kształcenia w zakresie umiejętności praktycznych. Wartość projektu to 4,1 mln zł, z czego dofinansowanie ze środków UE wyniosło 3,5 mln zł. W drugim etapie powstaną sale do kształcenia na kierunku lekarskim.

Nagroda im. Jana Uphagena

GDAŃSK Dwie badaczki Uniwersytetu Gdańskiego zostały laureatkami tegorocznej Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Naukowców

im. Jana Uphagena. W kategorii nauk humanistycznych i społecznych uhonorowano Aleksandrę Mańkowską (na fot. po lewej), doktorantkę w Instytucie Psychologii Wydziału Nauk Społecznych. Doceniono ją za osiągnięcia w zakresie zrozumienia neuropsychologicznych podstaw orientowania uwagi wzrokowej u pacjentów po udarach czy z chorobami przewlekłymi. Tej tematyki dotyczy realizowany przez nią grant PRELUDIUM, w którym zaproponowała nowatorskie, eksperymentalne podejście do badań procesów emocjonalnych i uwagowych. W kategorii nauk ścisłych i przyrodniczych nagrodę otrzymała dr Karolina Pie-



Fot. Grzegorz Mehring

rzynowska z Katedry Biologii Molekularnej Wydziału Biologii za osiągnięcia w poszukiwaniu nowych terapii i metod leczenia chorób neurodegeneracyjnych. Bada efektywność działania jednego z flawonoidów, genisteiny, jako potencjalnego leku na chorobę Huntingtona oraz chorobę Alzheimera. Nagroda im. Jana Uphagena to najważniejsze wyróżnienie na Pomorzu dla młodych badaczy.

Popularyzatorzy Nauki

WARSAWA Twórcy Dolnośląskiego Festiwalu Nauki zdobyli nagrodę główną w 15 konkursie „Popularyzator Nauki” organizowanym przez



Fot. Wojciech Okusnik

serwis Nauka w Polsce i MNiSW. Istniejący od 22 lat festiwal zyskał ponad 1,5 mln odbiorców, którzy uczestniczyli w ponad 30 tys. wydarzeń. W poszczególnych kategoriach triumfowali: duet Aleksandra i Piotr Stanisławscy z Crazy Nauka (Media), Dawid Myśliwiec (Animator), Stowarzyszenie Rzecznicy Nauki (Instytucja), dr Wojciech Glac (Naukowiec), Heweliusze Nauki (Zespół). Pozaregulaminowe Wyróżnienie im. red. Tomasza Trzczińskiego otrzymało Biuro Prasowe Uniwersytetu Łódzkiego za wzorcową politykę informacyjną. Zwycięzców wyłoniono spośród 109 zgłoszeń.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Maciej Dzwonnik, Izabela Koptoń-Ryńiec, Lech Kryszalowicz, Mateusz Lipka, Monika Rogo, Dorota Sawicka, Małgorzata Skrzypek, Maciej Ulita, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku  i na Twitterze 

Na froncie walki z wirusem

Co najmniej do 25 marca na wszystkich uczelniach nie będą się odbywały zajęcia dydaktyczne – poinformował po posiedzeniu rządowego zespołu zarządzania kryzysowego wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin. Decyzja związana jest z epidemią koronawirusa.

Zawieszenie zajęć dotyczy kształcenia w uczelniach nadzorowanych przez MNiSW (podobne zarządzenia wydali także ministrowie: obrony narodowej i kultury) na studiach I i II stopnia, jednolitych magisterskich, doktoranckich, a także szkół doktorskich oraz zajęć na kursach i szkoleniach organizowanych przez uczelnie, studiach podyplomowych lub stacjonarnych zajęć dydaktycznych w innych formach. Szef resortu nauki zaznaczył przy tym, że nie oznacza to zamknięcia uczelni. Rektorzy i osoby kierujące innymi podmiotami prowadzącymi kształcenie doktorantów, czyli instytutów PAN i instytutów badawczych, zostały zobowiązane do zapewnienia ich bieżącego funkcjonowania.

– Administracja będzie nadal normalnie działać, naukowcy mogą dalej prowadzić swoje prace, nie widzę też zagrożeń dla przeprowadzenia wyborów władz rektorskich na poszczególnych uczelniach zgodnie z wcześniej przyjętym harmonogramem – dodał wicepremier Gowin, zaznaczając, że na razie nie przewiduje także zmian w kalendarzu rekrutacji na studia.

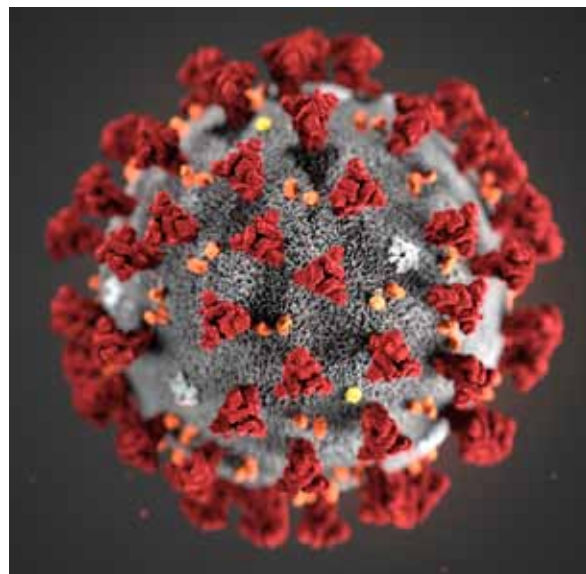
O tym, że zawieszenie zajęć w szkołach wyższych jest przez rząd poważnie rozpatrywane, szef resortu nauki wspominał już na konferencji prasowej dzień wcześniej, 10 marca. Zobowiązał wówczas rektorów do tego, aby pilnie przeanalizowali możliwość przejścia w jak najszerszym zakresie na kształcenie online. Zajęcia w postaci e-learningu, nawet jeśli ta forma nie była przewidziana w programie danego przedmiotu, mają ograniczyć skutki opóźnień w jego realizacji. Powołany przez MNiSW zespół ekspertów ma wypracować zalecenia dla uczelni w zakresie kształcenia zdalnego, m.in. dotyczące sposobu przygotowania kursu, w szczególności dla tych szkół publicznych i niepublicznych, które mają w tym niewielkie doświadczenie. Uczelnie posiadające już gotowe platformy e-learningowe zostaną zachęcane do udostępniania tych usług pozostałym podmiotom. Wykorzystana zostanie również platforma Navoica, utrzymywana przez Ośrodek Przetwarzania Informacji. Narzędzie to umożliwi tworzenie i zamieszczanie kursów online i materiałów dydaktycznych. Kursy mogą być otwarte i zamknięte (widoczne tylko dla dedykowanej grupy). Władze resortu nauki zapewniły o wsparciu finansowym tych uczelni, które są w stanie szybko uruchomić platformy do kształcenia na odległość.

Odgórna decyzja o zawieszeniu zajęć była tylko przypieczeniem działań, które poszczególne uczelnie podjęły już wcześniej. Jako pierwszy zdecydował się na to Warszawski Uniwersytet Medyczny. Tą drogą poszli też inni, m.in. Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola, zrzeszające 14 publicznych szkół wyższych. Niektóre uczelnie zdecydowały się na dłuższy okres bez zajęć, np. Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Łódzki (oba do 14 kwietnia), Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (do 15 kwietnia), Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Kaliszu (do 16 kwietnia). Uniwersytet Jagielloński zamknął wszystkie swoje ekspozycje muzealne: Collegium Maius, Muzeum Farmacji i Ogród Botaniczny przy ul. Kopernika.

Wszystkie uczelnie zawiesiły zagraniczne wyjazdy służbowe pracowników oraz wyjazdy zagraniczne i krajowe studentów i doktorantów. Odwołano kongresy, konferencje, sympozja, zjazdy, seminaria oraz imprezy o charakterze otwartym, m.in. Afryka Reggae Festiwal na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, Ogólnopolski Studencki Przeгляд Piosenki Turystycznej YAPA na Politechnice Łódzkiej czy 9 Gdański Międzynarodowy Festiwal Chóralny na Politechnice Gdańskiej. Prze-

ciwdziałając epidemii, w części akademickich budynków zamontowano dodatkowe pojemniki z płynem do dezynfekcji. W większości komunikatów zaznaczono, by przez najbliższe tygodnie kontaktować się z administracją uczelni mailem bądź telefonicznie.

Koordinacją działań w systemie szkolnictwa wyższego i nauki w związku z zagrożeniem wystąpienia COVID-19 zajmuje się od 2 marca powołany przez ministra Jarosława Gowina specjalny zespół, na którego czele stanął sekretarz stanu prof. Wojciech Maksymo-



wicz. W składzie 15-osobowego gremium znaleźli się przedstawiciele konferencji rektorów, studentów, Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej i niektórych departamentów MNiSW. Jedną z wypracowanych rekomendacji jest włączenie studentów dwóch ostatnich lat kierunku lekarskiego, a także ostatniego roku kierunków: pielęgniarstwo oraz ratownictwo medyczne, w działania wspomagające służby sanitarne (mierzenie temperatury, prowadzenie wywiadów epidemiologicznych i inne).

Narodowe Centrum Nauki zarekomendowało przełożenie na późniejszy termin wyjazdów do zagranicznych ośrodków naukowych, finansowanych przez NCN w ramach konkursów. W przypadku już realizowanych staży w zagranicznych ośrodkach naukowych w krajach objętych zagrożeniem epidemiologicznym jest możliwość skrócenia pobytu lub zrealizowania pozostałej części stażu w innym terminie.

Polska Komisja Akredytacyjna poinformowała, że w trosce o bezpieczeństwo zdrowotne jej członków, ekspertów i sekretarzy, pod uwagę weźmie wszystkie decyzje/wnioski poszczególnych uczelni w sprawie dalszego osobistego zaangażowania w wizytacjach zaplanowanych w najbliższym okresie, z uwzględnieniem aktualnej sytuacji epidemicznej w kraju oraz rekomendacji GIS i MNiSW.

Główny Inspektor Sanitarny zarekomendował władzom uczelni, aby w przypadku osób objętych nadzorem epidemiologicznym lub kwarantanną, w tym domową, uznawały nieobecność studenta na zajęciach dydaktycznych za usprawiedliwioną. W przypadku pracowników uczelni stosuje się interpretację zgodną z zaleceniami Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Zgodnie z wcześniej ustalonym harmonogramem mają się odbywać wybory rektorów na kadencję 2020–2024. Zawieszono do odwołania organizację wszystkich imprez Akademickich Mistrzostw Polski.

Mariusz Karwowski

ERC – dwa wyzwania

Ostatnie posiedzenie plenarne Rady Naukowej ERC, które odbyło się w lutym w Brukseli, poza licznymi sprawami wynikającymi z normalnego funkcjonowania agencji, musiało także odnieść się do sytuacji nadzwyczajnych, a takimi są konsekwencje brexitu oraz wpływ zachorowań na skutek koronawirusa na działanie ERC.

W przypadku brexitu, czyli opuszczenia Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię, sytuacja jest obecnie jasna, przynajmniej do końca bieżącego roku. Umowa podpisana przez ten kraj z Unią Europejską zapewnia kontynuację w niezmiennym kształcie dotychczasowych grantów ERC realizowanych w brytyjskich jednostkach naukowych do końca trwania ich okresu, określonego w umowach o finansowanie. Do końca 2020 roku naukowcy z Wielkiej Brytanii mogą się także ubiegać, na normalnych zasadach, o oferowane przez ERC granty.

O jasności nie można natomiast mówić w przypadku programu ramowego Horyzont Europa (2021–2027), rozpoczynającego się od stycznia przyszłego roku. Nie ulega wątpliwości, że wyłączenie z tego programu naukowców pracujących w Wielkiej Brytanii stanowiłoby wielką stratę dla nauki po obu stronach kanału La Manche. Jest nadzieja, że w wyniku toczonych obecnie negocjacji Wielka Brytania uzyska status kraju stowarzyszonego, podobnego do tego, który mają obecnie np. Izrael czy Szwajcaria. Taki status pozwoli na udział brytyjskich naukowców w grantach ERC na dotychczasowych zasadach. Zmieni się jednak sposób finansowania badań prowadzonych w jednostkach znajdujących się na terenie Wielkiej Brytanii – najprawdopodobniej środki na granty będą musiały pochodzić bezpośrednio z tego kraju. Trzeba jednak dodać, że uzyskanie statusu kraju stowarzyszonego tylko w stosunku do ERC, o czym marzą niektórzy brytyjscy politycy, a nie całego programu ramowego, wydaje się być skrajnie nieprawdopodobne. Pewnym problemem negocjacyjnym jest też żądanie ze strony Unii zapewnienia łatwej mobilności naukowców, co nie do końca podoba się Brytyjczykom. Gdyby negocjacje w sprawie statusu kraju stowarzyszonego zakończyły się niepowodzeniem, uczeni pracujący w brytyjskich uczelniach i instytutach badawczych byłiby w zasadzie wyłączeni z możliwości aplikowania o granty ERC, poza niewielką furtką, jaką stanowią Synergy Grants. W grantach tego typu jeden z głównych wykonawców może pracować w jednostce znajdującej

się poza Europejską Przestrzenią Badawczą, obejmującą kraje Unii oraz kraje stowarzyszone.

Planowany budżet finansujący program Horyzont Europa, w tym środki na finansowanie grantów ERC, nie uwzględnia już przychodów ze składki brytyjskiej. Biorąc pod uwagę, że naukowcy pracujący w Wielkiej Brytanii byli dotychczas największym beneficjentem ERC, w sensie całkowitej kwoty finansowania, wydaje się, że zmniejszenie konkurencji może sprzyjać naukowcom pracującym w Polsce i innych krajach Unii Europejskiej. Warto także zauważyć, że niepewność wokół finansowania naukowców z Wielkiej Brytanii już w ubiegłym roku spowodowała znaczący spadek wniosków grantowych z tego kraju w konkursach ERC. Trzeba również pamiętać, że brexit może odbić się na finansowaniu z ERC badań nie tylko Brytyjczyków, ale także wielu naukowców pochodzących z innych krajów unijnych, w tym Polaków, pracujących na brytyjskiej ziemi.

Wiele powyższych rozważań może jednak stanąć pod znakiem zapytania w związku z rozszerzającą się na świecie epidemią koronawirusa. Nie można w tej chwili ocenić, jak efekty ekonomiczne epidemii, w tym potencjalne spowolnienie gospodarcze, wpłyną na trwające negocjacje budżetowe, a tym samym na przyszły budżet ERC. W związku z epidemią ERC musiało wykluczyć fizyczny udział ekspertów z obszarów objętych dużą liczbą zachorowań w obradach najbliższych paneli oceniających wnioski o finansowanie badań, zastępując go udziałem zdalnym za pomocą środków elektronicznych. Również członkowie Rady Naukowej ERC zostali poproszeni o zrezygnowanie z przyjazdu do Brukseli, by pełnić rolę obserwatorów procesu ewaluacji w nadchodzącym pierwszym etapie oceny wniosków w konkursie Starting Grants. Jednocześnie biuro agencji (ERCEA), we współpracy z odpowiednimi jednostkami Komisji Europejskiej, na bieżąco monitoruje rozwój sytuacji związany z epidemią, aby zminimalizować jej potencjalne skutki na działanie ERC.

Można dodać, że ERC finansuje obecnie jeden projekt dotyczący – pośrednio – koronawirusa. W 2013 roku zakończył się inny projekt, dotyczący modeli jego rozprzestrzeniania się. Poza tym finansowaliśmy bądź finansujemy 29 innych projektów dotyczących wirusów.

Andrzej Jajszczyk, członek Rady Naukowej ERC



Fot. Andrzej Jajszczyk

Szukanie we wszystkim prawdy

Będziemy podejmować inicjatywę tworzenia nowych instytucji naukowych wzorowanych na tej jedynej jaskółce, jaką jest Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej. Tego typu międzynarodowych instytutów chcemy utworzyć w tej kadencji przynajmniej kilka – zapowiedział minister nauki.

W 2020 r. po raz pierwszy obchodziliśmy Dzień Nauki Polskiej – święto państwowe wprowadzone ustawą podpisaną przez prezydenta Andrzeja Dudę 3 lutego br. W FA 2/2020 przedstawiliśmy koncepcję tego święta, które przypada na 19 lutego, dzień urodzin Mikołaja Kopernika, oraz uwagi przedstawione przez niektórych uczestników konsultacji społecznych ustawy.

Pierwsze święto nauki polskiej obchodziliśmy w tym roku w Toruniu. Tego samego dnia swoje święto patronackie ma Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Uniwersytet świętował przed południem, a pierwsza Gala Nauki Polskiej odbyła się w Toruniu tego samego dnia wieczorem. Według koncepcji przedstawionej w FA 2/2020 przez ministra nauki Jarosława Gowina, gala ma się odbywać każdego roku w innym ośrodku akademickim.

Podczas uroczystości toruńskiej wręczono nagrody Prezesa Rady Ministrów oraz Nagrody Ministra Nauki za działalność naukową. Te pierwsze otrzymały 24 osoby, a drugie 138 osób (nie wszyscy laureaci osobiście odebrali nagrody). Warto zauważyć, że żadna z komisji oceniających wnioski o nagrody nie wykorzystała limitu opisanego w rozporządzeniach. Premier mógł przyznać 45 nagród, a przyznał 24, w tym tylko 2 na 10 za osiągnięcia w działalności naukowej. Minister nauki mógł przyznać 200 nagród, a przyznał ich tylko 88 (w sumie nagrodził 138 osób, bo część nagród miała charakter zespołowy). Wysokość nagród określają rozporządzenia.

Nagrody prezesa rady ministrów są określone jasno i wynoszą za rok 2019: za doktorat – 30 tys. zł, za habilitację – 55 tys. zł, a za osiągnięcia naukowe, artystyczne lub wdrożeniowe – 130 tys. zł. Wysokość nagród ministra nauki rozporządzenie określa procentowo w stosunku do płacy profesora w uczelni publicznej. Wynosi ono obec-

nie 6410 zł. Nagroda ministra za całokształt dorobku, działalność naukową, dydaktyczną i wdrożeniową nie może przekroczyć piętnastokrotności tej kwoty, a za działalność organizacyjną jej dziesięciokrotności. Listę laureatów nagród premiera i ministra nauki opublikowaliśmy w FA 2/2020.

Podczas gali rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i przedstawiciel Fundacji Watykańskiej Joseph Ratzinger-Benedykt XVI wręczyli po raz pierwszy nową uniwersytecką Nagrodę Ratio et Spes. Jest ona fundowana wspólnie przez UMK i fundację. Uonorowano nią w tym roku prof. Tomaso Poggio z Center for Brains, Minds and Machines w Massachusetts Institute of Technology (USA). Nagrodzono go za publikację *Theoretical Issues in Deep Networks: Approximation, Optimization and Generalization*, która jest efektem współpracy uczonego z dr. Andrzejem Banburskim i mgr. Qianli Liao (także z MIT). Międzynarodowa nagroda naukowa, ustanowiona w 2019 r., ma być przyznawana co roku w innym obszarze badań. Celem inicjatywy jest promowanie interdyscyplinarnej refleksji naukowej nad zagadnieniami ważnymi i aktualnymi dla ludzkości. W tym roku do nagrody zgłoszono 9 badaczy, w tym 4 z Polski.

Podczas uroczystości w holu toruńskich „Jordanek” eksponowano egzemplarz *De revolutionibus orbium coelestium* Mikołaja Kopernika, pochodzący z Biblioteki Księcia Albrechta Hohenzollerna, w oryginalnej oprawie z epoki. Bezcenne dzieło, wystawione za pancernymi szybami, znajdujące się cały czas pod obserwacją ochrony, cieszyło się ogromnym zainteresowaniem uczestników gali, którzy chętnie fotografowali się na tle księgi.

Uroczystość zwińczyło przedstawienie *Opera matematyczna – Paradoksalny Rozkład Sfery* w reż. zmarłego w ub. roku Romana Koła-



Źródło: MInSV

kowskiego, zapowiedziane już w otwierającym uroczystości wystąpieniu ministra nauki dr. Jarosława Gowina. To opowieść o losach twórców Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Główny bohater i jeden z założycieli szkoły, Stefan Banach, zabiera widza w osobistą podróż, która rozgrywa się na tle przełomowych wydarzeń dwudziestowiecznej Europy. Zdarzenia na scenie relacjonuje inny lwowski matematyk – Hugo Steinhaus. Tytuł spektaklu odnosi się do słynnego matematycznego twierdzenia (sformułowanego przez Banacha), którego R. Kołakowski użył jako metafory kulturowych, religijnych, naukowych, społecznych i politycznych zmian, jakie zaszły w Europie i na całym świecie w wyniku obu wojen światowych.

Jarosław Gowin rozpoczął swoje wystąpienie słowami Mikołaja Kopernika: „Myśli uczonego są niezależne od osądu ogółu, ponieważ dążeniem uczonego, o ile tylko ludzkiemu rozumowi pozwala na to Bóg, jest szukanie we wszystkim prawdy”. To piękne zdanie wybitnego astronoma minister nauki powtórzył jeszcze kilka razy w różnych momentach przemowy.

– Dzień Nauki Polskiej to wyjątkowa okazja, by wyrazić najwyższe uznanie dla pokoleń naszych badaczy, naukowców i odkrywców. Tych, którzy konsekwentnie, z niezachwianą odwagą, nieustraszoną pasją, talentem na miarę geniuszu szukali we wszystkim prawdy, niezależnie od opinii ogółu, ale zawsze dla dobra wspólnego, dla naszej społeczności i narodu, a zarazem dla dobra całej ludzkości – mówił J. Gowin.

– Patrząc w tym momencie na państwa tu zgromadzonych, widzę tych, którzy dołączyli do sztafety naukowych i akademickich pokoleń, tych, którzy kontynuują wielkie dzieło poszukiwania prawdy we wszystkim. Dzień Nauki Polskiej jest wyrazem wdzięczności dla całego środowiska naukowego i akademickiego. Państwo polskie, nasz naród i społeczeństwo dziękują wam za kapitalny udział w rozwoju naszego kraju, bo zawsze to właśnie nauka i akademia były kołami zamachowymi naszego rozwoju cywilizacyjnego, intelektualnego i etycznego, rozwoju technologicznego i gospodarczego. Tak było i tak w coraz większym stopniu jest i będzie, bo z biegiem stuleci rola akademii rośnie w tempie astronomicznym. Bez państwa, bez waszego udziału nie wygramy przyszłości ani dla Polski, ani dla świata – mówił minister nauki.

Wicepremier rządu RP chciałby, aby Dzień Nauki Polskiej kształtował naszą zbiorową polską świadomość, aby dla obywateli naszego kraju stało się jasne, jak wiele zawdzięczamy naukowcom i akademikom, jak wiele od naukowców i akademików zależy. – Ten dzień będzie wzmacniać społeczny szacunek dla nauki i akademii, inspirować kolejne pokolenia, by szły śladami mistrzów, geniuszy, gigantów ludzkiego umysłu. Trudno sobie nawet wyobrazić, co by się stało z Polską, co by się stało ze światem, gdyby zabrakło tych, którzy niezależnie od osądu ogółu szukali we wszystkim prawdy. To święto ma przypominać także tu zebranych członkom akademii, jak wielką spoczywa na ich barkach odpowiedzialność, jak istotna jest ich rola od szczebla lokalnego po globalny, jak wielkie nadzieje pokładamy w państwa talencie, pracowitości zaangażowaniu i postawie – mówił Jarosław Gowin.

Potem minister przypomniał społeczny i koncyliacyjny charakter wdrażanej obecnie reformy nauki. – Udowodnił, że wielkie systemowe zmiany można wprowadzać na drodze dialogu, wspólnego rozwiązywania problemów i sensownych kompromisów. (...) Zapewniam państwa, że kolejne lata będą przebiegały również w duchu dialogu. Przed nami wiele wyzwań związanych z monitorowaniem wdrażania reformy. Ministerstwo będzie, jak dotychczas, monitorowało i wspierało cały ten proces. Będziemy się wsluchiwać w państwa głosy i dokonywać niezbędnych korekt.

Minister nauki zapowiedział nie tylko reformę Polskiej Akademii Nauk, ale i sposób jej realizacji. – Czeka nas debata nad przyszłością Polskiej Akademii Nauk. Chcę, aby w dyskusji uczestniczyło całe śro-



Źródło: MNiSW

dowisko akademickie i naukowe. Tylko w taki sposób wypracujemy najlepsze rozwiązanie na miarę tradycji i potencjału Polskiej Akademii Nauk, a zarazem na miarę społecznych potrzeb i wyzwań współczesności – mówił.

Potem nastąpiła krytyka. – Wyrzutem sumienia pozostaje ubieganie się polskich naukowców o granty międzynarodowe. Mówię wprost: musimy skończyć sytuacją, że do programów unijnych wpłacamy trzykrotnie więcej niż z tych programów pozyskujemy. Polski na to nie stać i Polska nie zasługuje na marnotrawstwo – wołał min. Gowin. Nie poprzestał na krytyce, ale przedstawił też propozycję dla akademików: – Dlatego będziemy pracować nad dodatkowymi systemami motywacyjnymi. Aktualnie wdrażamy w ministerstwie projekt dotyczący grantów międzynarodowych, zwłaszcza European Research Council. Mówiąc umownie: milion za milion. Za każde pozyskane euro z tych prestiżowych międzynarodowych grantach, uczelnia będzie otrzymywać identyczną kwotę z budżetu państwa – zapowiedział.

Minister Gowin przedstawił w Toruniu jeszcze jedną zupełnie nową koncepcję rozwiązania systemowego, o którym nie wspominał w opublikowanym w dniu uroczystości wywiadzie dla „Forum Akademickiego”: – W ubiegłych latach podejmowano kilkakrotnie tworzenie struktur umożliwiających najlepszym naukowcom realizację ambitnych programów badawczych. Ostatnimi takimi próbami są finansowane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej Międzynarodowe Agendy Badawcze i Centra Dioscuri pod patronatem Instytutu Towarzystwa Maxa Plancka, współfinansowane przez rządy polski i niemiecki. Bardzo dobre wyniki naukowe tych centrów i opinie wielu naukowców potwierdzają potrzebę istnienia i rozwoju takich struktur. Dotychczas jednak powstawały one na podstawie kilkuletnich grantów i przestawały istnieć, a w każdym razie niejasne było ich dalsze istnienie, po ich zakończeniu. Pracujemy nad stworzeniem rozwiązania systemowego, umożliwiającego długotrwałe funkcjonowanie tych centrów doskonałości naukowej. Oparte będą one na niezależności w doborze tematyki badawczej, odrębnym finansowaniu czy to ze środków krajowych, czy też unijnych, będą przyznawane na okres dłuższy niż cztery lata, chociaż oczywiście ich działalność będzie poddawana ewaluacji. Będziemy podejmować inicjatywę tworzenia nowych instytucji naukowych wzorowanych na tej jedynej jaskółce, jaką jest Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej. Tego typu międzynarodowych instytutów chcemy utworzyć w tej kadencji przynajmniej kilka – zapowiedział minister nauki.

Piotr Kieraciński

Fotorelacja na II stronie okładki.

Z rekordowym zyskiem

Tegoroczne Święto Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w dniu 19 lutego otworzyło obchody jego 75-lecia. Rektor UMK, prof. Andrzej Tretyn, który w tym roku kończy zarządzanie uniwersytetem, mówił o sukcesach uczelni, m.in. w konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza, ale także nowych inwestycjach, związanych z rozwojem uniwersytetu, w tym z uruchomieniem weterynarii i planami rozwoju nauk technicznych. Pochwalił się dobrą sytuacją finansową UMK: – Udało nam się nie tylko zlikwidować głęboki deficyt, grożący wręcz zapaścią finansową, ale corocznie podnosimy wartość nadwyżki – już dziś mogę poinformować, że rok finansowy 2019 zamknęliśmy rekordowym zyskiem na poziomie 45 mln złotych.

Podczas uroczystości miał miejsce wykład prof. Tomaso Poggio, laureata nagrody naukowej „Ratio et Spes”, którą odebrał podczas Gali Nauki Polskiej (więcej na str. 8). Wręczono też szczególne wyróżnienia UMK – Convallaria Copernicana. Nazwę Konwalia Kopernikań-



Fot. Andrzej Romaniński

ska zaproponowała dr Cecylia Iwaniszewska. Patron uczelni na kilku portretach przedstawiany jest bowiem z konwalią w ręku. Statuetkę wykonała prof. Alicja Majewska z Zakładu Rzeźby UMK. W tym roku laureatem nagrody został prof. Józef Szudy. Przez niemal trzy dekady z wielkim zaangażowaniem i powodzeniem wyznaczał on kierunki rozwoju Instytutu Fizyki i Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK, jako dyrektor instytutu, a także przez dwie kadencje dziekan wydziału. Jednocześnie kierował Zakładem Spektroskopii Fazy Gazowej, potem Zakładem Fizyki Atomowej, Molekularnej i Optycznej. Prof. Szudy był jednym z głównych inicjatorów powstania Krajowego Laboratorium FAMO w Toruniu i w latach 2001–2010

zasiadał w Radzie Naukowej Laboratorium. Jest członkiem rzeczywistym PAN. Był członkiem Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego i Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów oraz szeregu towarzystw naukowych, w tym Polskiego Towarzystwa Fizycznego.

Podczas tegorocznych Święta Uniwersytetu grono honorowych profesorów UMK powiększyło się o: Grzegorza Goździewicza z Wydziału Prawa i Administracji, Wiesława Kozaka z Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych oraz Andrzeja Nowickiego z Wydziału Matematyki i Informatyki. Tytuły te nadawane są profesorom o wybitnym dorobku naukowym, którzy w ostatnim roku akademickim odeszli na emeryturę.

W czasie uroczystości tytuły Ambasadorów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu wręczono pięciu absolwentom, którzy osiągnęli znaczące sukcesy w nauce, kulturze, sztuce, polityce albo działalności gospodarczej, promując jednocześnie uniwersytet w swojej codziennej działalności. Dr Stanisław Haftka jest ekspertem w dziedzinie chemii i fizyki polimerów, specjalistą w dziedzinie reologii, analizy termicznej DMA i spektroskopii. Kieruje działem marketingu niemieckiej firmy BIO-FED Branch of Akro-Plastic z Kolonii. Jest członkiem grupy naukowej w dziedzinie polimerów koncernu Hoechst AG, pracuje nad rozwojem nowych katalizatorów metalocenowych. Dr Paweł Neumann zajmuje się analizą strategiczną ryzyka kontraktowego i modelowania procesów biznesowych. Jest konsultantem i doradcą prezesa Zarządu Toruńskich Zakładów Materiałów Opatrunkowych S.A., zawodowo związany jest także z firmą konsultingową KarStanS Sp. z o.o. Ta Binh jest wietnamskim prawnikiem, współtwórcą pierwszego Wietnamskiego Kodeksu Morskiego. Pracował w wietnamskim w Głównym Urzędzie Morskim, był dyrektorem Departamentu Prawniczego w Vinalines (Vietnamese Shipping Lines), a w końcu prezesem Dong Do Marine. Organizował spotkanie wietnamskich absolwentów UMK z przedstawicielami uniwersytetu. Pani Tran Thi Hien, Wietnamka mieszkająca we Francji, pracowała we francuskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Jest sekretarzem naczelnym Stowarzyszenia FAAOD (Fond d'Alerte contre l'Agent Orange Dioxine), które wspiera ofiary amerykańskich nalotów z użyciem chemikaliów (substancji Agent Orange Dioxin) podczas wojny w Wietnamie w latach 1965-75. Janusz Żółtowski jest toruńskim samorządowcem, działaczem społecznym i gospodarczym. Obecnie pełni funkcję dyrektora TV Toruń.

PK



Fot. Andrzej Romaniński

Lekarze zdawali na wiosnę

Absolwenci Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego oraz Uniwersytetu Warszawskiego w Olsztynie okazali się najlepsi w poszczególnych kategoriach podczas wiosennej sesji Lekarskiego Egzaminu Końcowego.

Przystąpiło do niego 3689 osób. Uzyskały średnio 131,5 pkt. Najlepszy rezultat to 175 punktów (Warszawski Uniwersytet Medyczny), a najgorszy – 28 punktów (Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu). Wynik poniżej 56% osiągnęło 540 zdających (14,6%), co oznacza, że jeśli nadal myślą o karierze lekarza, będą musieli powtórzyć egzamin. Maksymalna liczba możliwych do zdobycia punktów wyniosła 197, ponieważ trzy zadania zostały unieważnione przez zespół rozpatrujący zastrzeżenia.

Po raz pierwszy LEK zdawały 392 osoby, z czego 252 (64,3%) z pozytywnym skutkiem. W tym gronie najlepszy średni wynik uzyskali absolwenci UWM (132,67 pkt.). Za nimi uplasowali się absolwenci Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego (130,55 pkt.) i Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu (128,17 pkt.). Warto dodać, że wielkopolska uczelnia jako jedyna znalazła się w trójce najlepszych także w dwóch pozostałych kategoriach: lekarzy, którzy ukończyli studia w ostatnich dwóch latach oraz ponad dwa lata temu: w obydwu zajęła 2. miejsce.

Lider wśród debiutantów w ubiegłorocznej sesji wiosennej – Collegium Medicum UMK im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy – zanotował tym razem spadek aż na 8. miejsce (122,89 pkt.). Ze 169 absolwentów uczelni zagranicznych egzamin zdało 102. Ich średni wynik to 113,30 pkt. Jeszcze gorzej wypadli absolwenci studiów angloję-

zycznych na polskich uczelniach medycznych (93,06 pkt.), z których o sukcesie może mówić jedynie siedmiu na 32 zdających.

Do LEK przystąpiło 3141 osób, które studia ukończyły w ciągu ostatnich 2 lat. Zdało 2855 (prawie 91%). Tutaj, podobnie jak przed rokiem, na czele są absolwenci CM UJ (143,61 pkt.). Na kolejnych miejscach są: UMP (141,51 pkt.) i WUM (140,29 pkt.). Najlepszy wynik uzyskali absolwenci Śląskiego Uniwersytetu Medycznego (133,22 pkt.) oraz CM UMK w Bydgoszczy (132,99 pkt.). Tradycyjnie już powodów do dumy nie mają też absolwenci uczelni zagranicznych (średnio 113,96 pkt., zdało 55 z 95 osób) i studiów anglojęzycznych (średnia 103,34 pkt., zaliczyło 27 z 70 osób).

Wśród lekarzy, którzy ukończyli studia ponad 2 lata temu (546 przystępujących, zdało 54%), najlepsi okazali się absolwenci: GUMed (122,20 pkt.) przed UMP (121,64 pkt.) i CM UJ (117,17 pkt.). Najlepszy wynik osiągnęli absolwenci anglojęzyczni (97,42 pkt.), z których zdał ledwie co trzeci.

W wiosennej sesji Lekarsko-Dentystycznego Egzaminu Końcowego równych sobie nie mieli absolwenci GUMed, którzy zajęli pierwsze miejsce we wszystkich trzech kategoriach, uzyskując w każdej najwyższą średnią liczbę punktów. Najwięcej punktów (161 na 198 możliwych do zdobycia) uzyskali absolwenci Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Do egzaminu przystąpiło w całym kraju 796 osób, a średni wynik to 111,6 pkt. Poniżej wymaganego progu (56% punktów) znalazło się aż 344 zdających, co oznacza, że będą musieli ponownie przystąpić do sprawdzianu swojej wiedzy.

MK

W Krakowie znajdują się na prawie

Absolwenci Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego po raz dwunasty z rzędu osiągnęli najlepsze wyniki podczas egzaminów na aplikacje prawnicze.

Ministerstwo Sprawiedliwości organizuje egzaminy wstępne na aplikacje: adwokacką, radcowską i notarialną od 2006, a na komorniczą od 2008 roku. Przez ten okres do egzaminów przystąpiło 136,1 tys. osób, a z nich pomyślnie udało się przebrnąć blisko 63 tys. Oznacza to zdawalność na poziomie 46%.

W ubiegłym roku do testu podeszło 6535 osób, tj. o ponad 400 mniej niż rok wcześniej. To najgorszy wynik od 14 lat. Kandydaci reprezentowali 51 uczelni, w tym 19 publicznych, 25 niepublicznych i 7 zagranicznych (Europa Universität Viadrina, Faculté de Droit et Science Politique Université Nice Sophia Antipolis, Uniwersytet Leiden, Uniwersytet Państwowy w Woroneżu, Uniwersytet w Birmingham, University of Westminster, University of Glasgow).

Spośród ubiegłorocznych absolwentów najwięcej przedstawicieli miały: Uniwersytet Warszawski (630), Uniwersytet Jagielloński (429) i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza (414). Uwzględniając konkretne aplikacje, liderami były: UW (adwokacka), UAM (radcowska), Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (notarialna) i Uniwersytet Wrocławski (komornicza). Egzaminy zdało 3570 osób, czyli 54,6% ogółu kandydatów. W trzech z czterech egzaminów odsetek zdających z powodzeniem był podobny. Do egzaminu na aplikację adwokacką przystąpiły 2384 osoby, z których zdało 1313 (55,1%). O aplikację radcowską starało się 3428 absolwentów, a zdało 1897 z nich (55,3%). Notarialną ścieżkę kariery obrało 576 osób, ale pierwszy etap pomyślnie zaliczyło 317 (55%). Zdecydowanie najgorszy wynik zanotowano wśród przyszłych komorników. Na egzamin stawiało się 147 osób, lecz zdała go niespełna co trzecia.

Najlepiej wypadli absolwenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, spośród których egzamin zdało 75,52% kandydatów. Od dwunastu lat dzierżą oni palmę pierwszeństwa. Drugie miejsce, podobnie jak przed rokiem, zajęli absolwenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (68,36%). Na podium, kosztem Uniwersytetu Gdańskiego (spadek aż na 9. miejsce – 56,79%), wskoczyli absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego (66,03%). W pierwszej dziesiątce znalazły się ponadto: Uniwersytet Łódzki (64,34%), Uniwersytet Szczeciński (62,22%), Uniwersytet Śląski (59,05%), Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego (57,06%), Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (56,97%) i Uniwersytet Wrocławski (52,01%). Wśród absolwentów z 2019 roku czołówka podobna: UJ (83,4%) przed UW (77,3%) i UAM (74,2%).

Wydział Prawa i Administracji poznańskiej uczelni, jako jedyny z tego grona, posiada kategorię A+. Ocena działalności naukowej i badawczo-rozwojowej tych jednostek pokazuje pewną prawidłowość: w czołowej dziesiątce są wydziały z dwoma najwyższymi kategoriami. Za wyjątkiem USz i UKSW (oba z kategoriami B), których absolwenci nie dość, że znaleźli się wśród najlepiej zdających, to zdołali wyprzedzić kilka bardziej prestiżowych, jeśli chodzi o ocenę, uczelni.

Do egzaminów przystąpiło 4216 kobiet, co stanowi 64,5% wszystkich zdających. Wynik pozytywny uzyskało 2279 z nich, zdawalność w tej grupie wyniosła 54,1%. Wśród wszystkich zdających 125 osób wskazało, że przystępuje do egzaminu po raz 5 lub więcej (w tym 3 osoby po raz 11 i 2 osoby po raz 10).

MK

Studenci innowatorzy

Studenci Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadek w Bydgoszczy oraz politechnik: Śląskiej, Świętokrzyskiej i Lubelskiej zdobyli główne nagrody w X konkursie „Student-Wynalazca”.

W tym roku wpłynęła rekordowa liczba 144 rozwiązań z 26 uczelni z całej Polski. Uznanie jury zdobył m.in. skonstruowany przez Łukasza Kwaśnego i Karolę Fatygę, doktorantów PL (na fot. ze współtwórcami rozwiązania: dr. inż. Dariuszem Zielińskim oraz mgr. inż. Bartłomiejem Stefańczakiem), transformator z magazynem bezwładnościowym i sposób jego sterowania. Rozwiązanie jest przełomowe, ponieważ może zastąpić klasyczny transformator energetyczny SN/nN wykorzystywany do zasilania domów jednorodzinnych, fabryk i wszystkich placówek wymagających dostarczenia energii elektrycznej. W skali kraju to ponad sto tysięcy urządzeń. Wprowadzenie nowego transformatora umożliwi gromadzenie energii przy zachowaniu wszystkich funkcjonalności klasycznych urządzeń tego typu.

Nagrodzono także cykl 45 wynalazków dotyczących wytwarzania bioaktywnych związków flawonoidowych w wyniku biotransformacji autorstwa Mateusza Łuznego, Ewy Kozłowskiej i Moniki Dymarskiej z UPWr. Mogą one zostać zastosowane jako substancje czynne leków lub składniki produktów spożywczych (suplementów diety). Posiadają m.in. właściwości antyoksydacyjne, przeciwnowotworowe, antydiabetyczne, antybakteryjne, przeciwgrzybicze czy przeciwwirusowe. Charakteryzują się słodkim smakiem, dlatego istnieje możliwość wytworzenia z nich niskokalorycznych słodzików o smaku odpowiadającym sacharozie, ale posiadających jednocześnie właściwości prozdrowotne.

Laureatką została również Paulina Kostrzewa-Demczuk z PŚK za zastosowanie polietylenoglikolu jako dodatku w wyrobach z masy siilkatowej. Wynalazek ten przyczyni się do podniesienia standardu oraz parametrów użytkowych mieszkań i domów wykonanych z bloczków i cegieł wapienno-piaskowych z dodatkiem polietylenoglikolu. Kolejny nagrodzony – Adam Świerczyński z PŚ – jest autorem urządzenia do optymalizacji procesu spalania paliw stałych w rusztowych kotłach energetycznych. Zapewnia ono eliminację niekontrolowanych i niepożądanych przedmuchów powietrza niebiorącego udziału w procesie efektywnego spalania, pozwala efektywnie spalać gorsze (wilgotniejsze), a tym samym tańsze paliwa, zwiększa sprawność cieplną procesu spalania, a także przyczynia się do ograniczenia emisji tlenków azotu. Doceniono również rozwiązanie Marty Gackowskiej, Sandry Śmigiel i Natalii Jerks z UTP, które opracowały system komunikacji roju dronów mający na celu unikanie kolizji, np. w trakcie pokazów świetlnych typu light show, misji poszukiwawczo-ratowniczych czy działań jednostek wojskowych.

W nagrodę wszyscy pojadą do Genewy, by zaprezentować swoje pomysły na Międzynarodowej Wystawie Wynalazków, gdzie zwycięzcy konkursu „Student-Wynalazca” zdobyli dotąd 16 złotych, 17 srebrnych i 7 brązowych medali.

Oprócz nagród głównych przyznano także sześć wyróżnień i dziewięć nagród specjalnych. W dotychczasowych 10 konkursach zgłoszono 791 rozwiązań, będących efektem prac badawczo-rozwojowych 1748 twórców.

Konkurs pod patronatem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego zorganizowała Politechnika Świętokrzyska.

MK



Fot. PŚK

Drewno w architekturze

Konferencje naukowe dotyczące architektury i budownictwa drewnianego nie należą do częstych wydarzeń w ostatnich latach w Polsce. Końcówka roku 2019 i początek obecnego obfitowały jednak w kilka tego typu spotkań, co cieszy nie tylko wielbicieli starego drewna.

W ostatnich dniach stycznia w Krakowie odbyła się II Międzynarodowa konferencja naukowa *Drewno w architekturze – Wood in Architecture*, zorganizowana przez Sekcję Architektury Drewnianej Komitetu Architektury i Urbanistyki Polskiej Akademii Nauk Oddział w Krakowie przy współudziale Katedry Kształtowania Środowiska Mieszkaniowego Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, Małopolskiej Okręgowej Izby Architektów Rzeczypospolitej Polskiej oraz Zakładu Budowlano-Konserwatorskiego „Arkady” w Jarosławiu. Spiritus movens wydarzenia był dr hab. inż. arch. Jan Kurek, emerytowany prof. PK, niestrudzony badacz i propagator drewnianego dziedzictwa kulturowego.

Ta z pozoru niszowa problematyka nie tylko ma wciąż nowych adeptów i wiernych badaczy, ale zaskakując organizatorów zgromadziła liczną publiczność. W trakcie wielu prezentacji okazało się, że potrafi także wywoływać bardzo silne pozytywne emocje i gorące dyskusje.

Konferencję rozpoczął o. Lucjan Bartkowiak CR, który w wystąpieniu *Materia jako nośnik ducha* zwrócił uwagę zebranych, aby zarówno przy projektowaniu i budowaniu, jak też przy interpretacji dzieł czasów minionych nie pomijać istotności sfery duchowej, jaka towarzyszyła i towarzyszy zawsze procesowi tworzenia architektury.

Duża grupa wystąpień dotyczyła historycznej drewnianej architektury w obszarze Karpat i – szerzej – Europy Środkowo-Wschodniej. Najwięcej miejsca poświęcono zabytkowej architekturze sakralnej z kręgu wschodniego chrześcijaństwa. Tematykę tę poruszali: Bogusław Buliński, Wasyl Słobodian, Paweł Sygowski, Włodzimierz Witkowski, Eugeniusz Zawaleń i Andrzej Żygadło.

Tematyki górskiej (lecz związanej z architekturą świecką) dotyczył wykład Agaty Nowakowskiej-Wolak odnoszący się do zabudowy Zakopanego i Podhala oraz szeregu negatywnych zjawisk, jakie ją dotyczą. Inna praca „górska” – Barbary Gmińskiej-Nowak – traktowała o drewnie w architekturze odległego Nepalu.

Na temat tradycyjnej architektury mieszkalnej na terenach wiejskich opowiadali Mojgan Aghaeimeybodi i Erfan Amiriazar z Teheranu (wystąpienie dotyczyło rejonu Kāpar w Iranie) oraz Bernadeta Schäfer (wykład odnosił się do wsi w dolinie Kamiennej). Drugim „azjatyckim” akcentem była prelekcja Konstancji Kusiak traktująca o tradycyjnej architekturze drewnianej w Japonii.

Bardzo ciekawy tekst na temat degradacji zabytkowej architektury drewnianej, ilustrowany świetnymi przykładami dotyczącymi obiektów mieszkalnych o konstrukcji ryglowej, wygłosił Tomasz Cykalewicz.

Osobną grupę stanowiły wykłady dotyczące stosowania drewna w architekturze współczesnej. Swoje wystąpienia temu tematowi poświęcili Antonio Frattari (ważny wykład na temat architektury tymczasowej, „schronieniowej”, w tym dla uchodźców), Jan Karpień-Bułęcka, Jan Kurek i Bogusław Podhalański.



Fot. Włodzimierz Witkowski

Oksana Pekarchuk poruszyła kwestie drewnianego detalu i drobnych budowli z drewna w historycznym Lwowie, a Mariia Nikolaeva przeniosła słuchaczy do Petersburga na Wyspę Wasilewską.

Niezwykle interesujące było wystąpienie Anastasii Christopoulou, reprezentującej zespół badaczy, do którego oprócz niej należą Tomasz Ważny, Barbara Gmińska-Nowak oraz Jennifer Moody, a które traktowało o badaniach dendrochronologicznych drewna w budowlach z okresu otomańskiego i weneckiego w Grecji.

Sabrina Zuccala zaprezentowała wykorzystanie nanotechnologii do ochrony i zabezpieczania powierzchni drewna.

Ogromne poruszenie wywołała świetnie przygotowana prezentacja Dominika Mączyńskiego na wciąż „gorący” temat ubiegłorocznego pożaru dachu katedry Notre Dame w Paryżu, wcześniejszych zabezpieczeń więźby (którą autor znał z autopsji) oraz badań naukowych, jakie przeprowadzono po pożarze.

Nie zabrakło niestety akcentów smutnych. Prof. Jan Kurek wspominał zmarłego badacza drewnianej architektury Angusa Fowlera, a Katarzyna Tur-Marciszuk swojego męża, Ireneusza Marciszuka, znakomitego fotografa, dla którego „historyczne drewno” stanowiło nieustanny przedmiot artystycznych inspiracji. Obaj zmarli byli postaciami znanymi większości zebranych, w tym także jako uczestnicy I Konferencji Drewno w architekturze w 2016 r.

Co ostatnio rzadkie, już w dniu rozpoczęcia konferencji zainteresowani od razu mogli zapoznać się ze starannie przygotowaną na tę okazję, bogato ilustrowaną monografią pod tym samym co konferencja tytułem, pod redakcją naukową Jana Kurka, wydaną przez Katedrę Kształtowania Środowiska Mieszkaniowego Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej.

Włodzimierz Witkowski

Motoszybowiec na wodór

W Politechnice Rzeszowskiej zbudowano pierwszy w Polsce lekki statek powietrzny napędzany przez hybrydowy zespół napędowy wykorzystujący ogniwa paliwowe zasilane wodorem. Związane 5 lat temu konsorcjum uczelniano-przemysłowe, w skład którego wchodzi: Politechnika Rzeszowska, Politechnika Warszawska, Akademia Górniczo-Hutnicza oraz partner przemysłowy Zakład Szybowcowy Henryk Mynarski z Jeżowa, zakończyło projekt finansowany przez NCBR pt. „Napęd hybrydowy wykorzystujący ogniwa paliwowe lekkiego statku powietrznego”. Używany dla projektu akronim AOS H2, zawiera w sobie nazwę platformy latającej (która jest następcą znanego już motoszybowca elektrycznego AOS 71) oraz symbol cząsteczki wodoru, który stanowi podstawowy gaz zasilający ogniwo paliwowe napędu. Liderem projektu jest Politechnika Rzeszowska, a kierownikiem prof. inż. Marek Orkisz, kierownik Katedry Samolotów i Silników Lotniczych PRz.

Podstawą do wniosku o finansowanie prac były wyniki dwóch zrealizowanych wcześniej projektów. Jeden (realizowany we współpracy z PW) dotyczył budowy motoszybowca elektrycznego AOS 71, a drugi (realizowany we współpracy z IEn Oddział Ceramiki Cerel w Boguchwale) umożliwił wykorzystanie ogniwa paliwowych do napędu małego bezpilotowego statku powietrznego. Zespół z PRz posiadał zatem sprawdzoną platformę latającą motoszybowca oraz wiedzę zdobytą w trakcie prac nad małym napędem wykorzystującym wodór.

Idea projektu sprowadzała się do zbudowania innowacyjnego źródła zasilania silnika elektrycznego w postaci baterii elektrochemicznej oraz równolegle generatora paliwowego zasilanego wodorem. Taki elektryczny hybrydowy zespół zasilający silnik elektryczny został zabudowany na motoszybowcu. Składa się on z generatora paliwowego o mocy 10kW oraz z baterii elektrochemicznej o mocy 30 kW. Sumaryczna moc 40 kW dostarczona do śmigła pozwala na samodzielny krótki start motoszybowca z pasa startowego. Moc generatora paliwowego wystarcza na swobodny przelot poziomy w czasie 20-25 min.

Generator energii elektrycznej z ogniwami paliwowymi do zasilania układu napędowego motoszybowca zaprojektował i zbudował zespół pod kierunkiem prof. Magdaleny Dudek z Wydziału Energetyki i Paliw AGH. Wytworzony generator o mocy 10 kW przepracował ponad 7 tys. godzin badań. Potwierdziły one nie tylko jego funkcjonalność i użyteczność, ale przede wszystkim bezpieczeństwo pracy.

Z kolei zespół z MEiL Politechniki Warszawskiej pod kierunkiem prof. Piotra Czarnockiego zaprojektował platformę latającą. Głównym konstruktorem płatowca AOS H2 jest mgr inż. Wojciech Frączek (również konstruktor poprzednika AOS 71). Pracownicy Zakładu Napędu Elektrycznego PW pod kierunkiem prof. inż. Grzegorza Iwańskiego zaprojektowali i wykonali unikatowe przekształtniki układu sterowania napędem i zadbał o integrację energetyczną wszystkich podzespołów napędu.

W Zakładzie Szybowcowym Henryka Mynarskiego w Jeżowie powstała kompozytowa wersja płatowca motoszybowca AOS H2.

W Katedrze Samolotów i Silników Lotniczych PRz zintegrowano elektryczny silnik i hybrydowy zespół zasilający z płatowcem AOS H2. Tutaj też pod kierunkiem dr. inż. Łukasza Święcha przeprowadzono wymagane przepisami lotniczymi próby statyczne konstrukcji. W laboratorium KSiSL PRz prowadzono, przy współudziale zespołów z AGH i PW, próby funkcjonalne zespołu napędowego, testowano system ładowania instalacji wodorowej, sprawdzając nieustannie jej szczelność. Za całość prac i koordynację współpracy odpowiadał pomysłodawca projektu dr inż. Piotr Wygonik.

W trakcie prac rozwiązano szereg problemów konstrukcyjnych. Zasobniki na wodór – dwie kompozytowe butle o pojemności łącznej 24 dm³, umieszczone symetrycznie po obu stronach kadłuba za kabiną pilota – wykonała polska firma. Umożliwiają one tankowanie wodoru pod ciśnieniem 200 bar, a przy wykorzystaniu dodatkowych urządzeń wspomagających nawet do 300 bar. Im większe ciśnienie w butlach, tym większy zasięg lotu. Instalacja wodorowa na pokładzie (pomiędzy butlami a ogniwem paliwowym) stanowiła wyzwa-



AOS H2 w trakcie próby na pasie startowym OKL PRz

nie w zakresie szczelności, minimalizacji masy i kontroli szczelności w trakcie pracy napędu (drgania, warunki atmosferyczne: deszcz, wilgoć). Konieczne było znalezienie sposobu odprowadzenia wody z płatowca w trakcie lotu jako wyniku reakcji chemicznej zachodzącej w ogniwie, rozwiązanie problemu doprowadzenia powietrza do ogniwa w celu dostarczenia z jednej strony tlenu do reakcji, a z drugiej chłodzenia ogniwa. Elektrycy musieli rozwiązać problem zjawiska towarzyszącego pracy ogniwa tzw. purge, które na krótki czas obniża moc generowaną przez ogniwo. Pakiet baterii również wytworzyła polska firma, spełniając cały szereg rygorystycznych wymagań. W trakcie integracji na płatowcu wystąpiły problemy niekompatybilności elektromagnetycznej, które przez wiele tygodni zajmowały zespół badawczy.

Motoszybowiec został dostarczony na lotnisko OKL Politechniki Rzeszowskiej. Pierwsza próba kołowania po pasie startowym miała na celu zapoznanie się pilota–operatora z zachowaniem statku powietrznego w warunkach rzeczywistych. Następne próby dotyczyły sprawdzenia (poprzez rejestrację parametrów pracy) osiągnięć

energetycznych zespołu napędowego w warunkach ruchu na pasie. Ostatnia próba miała na celu sprawdzenie własności aerodynamicznych i zachowanie się motoszybowca w fazie rozbiegu i przygotowania do oderwania. Wszystkie próby wykazały poprawność działania układu napędowego, motoszybowca, urządzeń pokładowych. Dalszych badań w locie nie wolno było prowadzić ze względu na brak przepisów, które umożliwiają wykonanie lotu statku powietrznego zasilanego wodorem.

Zbudowano funkcjonalny, innowacyjny, ekologiczny napęd, zintegrowano go z motoszybowcem tworząc gotowy do dalszych prac demonstrator technologii. Wytworzono funkcjonalny zespół napędowy. Dalsze prace będą kontynuowane aż do pełnego lotu. Konstruktorzy będą dążyli do obniżenia poziomu złożoności konstrukcji i zwiększenia podatności eksploatacyjnej statku.

W projekcie o wartości ponad 7 mln zł (w tym 5,4 mln zł grantu z NCBR) uczestniczyło około 30 osób.

Piotr Wygonik

Jak alternatywnie oczyścić ścieki?

Tradycyjne oczyszczalnie ścieków nie zawsze są najlepszym wyjściem. Generują wysokie koszty inwestycyjne, ale również te związane z utrzymaniem i konserwacją instalacji. Naukowcy z Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego opracowali ekonomiczną i ekologiczną alternatywę dla gospodarki ściekowej na terenach wiejskich. To pasywny system oczyszczania ścieków typu Constructed Wetlands.

– W porównaniu do nich systemy pasywne charakteryzuje prosta obsługa, odporność na nierównomierny dopływ ścieków i konkurencyjne koszty wynikające z braku konieczności mieszania, napowietrzania czy ogrzewania. Są przy tym opłacalne nawet dla mniejszych przepływów i nie pozostawiają osadów wtórnych – tłumaczy prof. Łukasz Drewniak z Wydziału Biologii UW, dodając do tego jeszcze ich uniwersalność (oczyszczają ścieki różnego rodzaju) oraz efektywność ekonomiczną (są opłacalne już dla 100 mieszkańców).

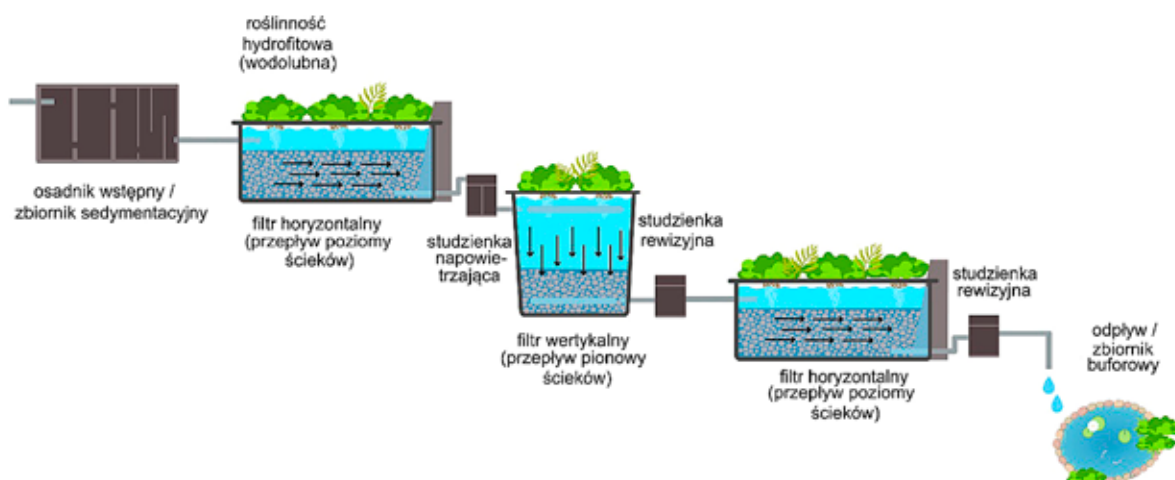
Proponowane przez naukowców z UW rozwiązanie naśladuje warunki hydrauliczne i siedliskowe naturalnych ekosystemów bagiennych. W takim gruntowo-roślinnym systemie zachodzi biologiczny proces oczyszczania z udziałem różnorodnych mikroorganizmów, zasiedlonych w rozwiniętym systemie korzeni i kłączy roślin wodnych i wodolubnych. Ogromną rolę do odegrania w systemach pasywnych mają właśnie mikroorganizmy: degradują i asymilują związki węgla, zatrzymują związki fosforu i metale ciężkie, odpowiadają za asymilację i ulatnianie związków azotu oraz wytrącanie związków siarki. To rozwiązanie naturalne i ekologiczne, w którym nie stosuje

się chemii. Zużywa się także o wiele mniej energii, w porównaniu do tradycyjnych oczyszczalni.

Dzięki temu, że na elementach tworzących system osadza się biofilm, system pasywny jest w stanie obsługiwać różną ilość ścieków. Przykładowo w miejscowościach turystycznych, w których liczba mieszkańców przez większą część roku nie przekracza 250, za to w sezonie zwiększa się kilkakrotnie, oczyszczalnie biologiczno-mechaniczne nie radzą sobie dobrze z tym problemem, generując znaczne koszty. Okresowo mniejsza ilość ścieków w systemie pasywnym nie jest problemem, ponieważ bakterie odpowiednio dostosują się do panujących aktualnie warunków. Przy tym ścieki nie są tłoczone wiele kilometrów do oczyszczalni, a następnie odprowadzane do rzeki, by bardzo szybko opuścić lokalny ekosystem. Wraz z pobieraną wodą zostają na miejscu. System trzyma wodę, która może swobodnie odparować i pozostać na danym terenie. To ważne, zwłaszcza na obszarach zagrożonych suszą.

– W naturalny sposób odzwierciedlamy system bagienny. Żyjące w nim organizmy dostosowują się do zmieniających się warunków: ilości materii do przetworzenia czy temperatury. W odróżnieniu od tradycyjnych systemów, gdzie trzeba precyzyjnie kontrolować warunki, odpowiednio napowietrzać czy utrzymywać stężenie pierwiastków, poprawnie uruchomiony system pasywny skutecznie działa przez lata bez większej ingerencji człowieka – dodaje prof. Drewniak.

BPUW



Inżynierowie zarabiają najwięcej

Czy wyższe wykształcenie oznacza wyższe wynagrodzenie? Ile zarabiały osoby z wykształceniem podstawowym w 2019 roku, a ile absolwenci uczelni? Odpowiedź na te i inne pytania znajdują się w poniższym artykule, który przedstawia dane z Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń na temat zarobków osób z różnym wykształceniem w 2019 roku. Badanie to jest prowadzone od 2004 roku przez specjalizującą się w badaniach i doradztwie HR krakowską firmę Sedlak&Sedlak.

W 2019 roku najczęściej zarabiały osoby z wykształceniem wyższym magisterskim inżynierskim. Mediana ich zarobków była o 1100 zł wyższa od osób z wykształceniem wyższym magisterskim i wyniosła 6300 zł. Najniższe zarobki odnotowano wśród osób z wykształceniem podstawowym i gimnazjalnym. Mediany wynagrodzeń tych osób były niemal o połowę niższe i wyniosły odpowiednio 3.250 zł i 3.234 zł.

Tabela 1. Miesięczne wynagrodzenia całkowite osób z różnym wykształceniem w Polsce w 2019 roku (brutto w PLN)

wykształcenie	próba	25% zarabia mniej	mediana	25% zarabia więcej
podstawowe	269	2.600	3.250	4.300
gimnazjalne	551	2.700	3.234	4.200
zasadnicze zawodowe	4.006	2.900	3.648	4.625
średnie lub pomaturalne	26.211	3.080	3.924	5.071
policealne	4.346	2.919	3.700	4.938
wyższe zawodowe	21.290	3.600	4.795	6.650
wyższe magisterskie	39.855	3.820	5.200	7.641
wyższe magisterskie inżynierskie	21.696	4.500	6.300	9.200

Źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń przeprowadzone przez Sedlak & Sedlak w 2019 roku

Wynagrodzenia osób po studiach licencjackich/inżynierskich

Wynagrodzenia osób z wykształceniem wyższym zależą od ukończonego kierunku studiów. Szczegółowe dane pokazują, że najczęściej zarabiali absolwenci informatyki (6.100 zł), elektroniki i automatyki

(5.900 zł). Najmniej zarabiali absolwenci kierunków sport i rehabilitacja (3.642 zł) i nauk pedagogicznych (3.493 zł).

Tabela 2. Miesięczne wynagrodzenia całkowite osób po wybranych kierunkach studiów licencjackich/inżynierskich (brutto w PLN)

kierunek studiów	próba	25% zarabia mniej	mediana	25% zarabia więcej
informatyka	3.232	4.497	6.100	8.880
elektronika i automatyka	964	4.560	5.900	7.900
mechanika i metalurgia	1.294	4.229	5.355	7.200
elektryka i energetyka	616	4.050	5.100	7.400
filologie obce	622	3.600	4.914	6.500
sport, rehabilitacja	148	2.778	3.642	4.525
pedagogiczne	693	3.042	3.493	4.500

Źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń przeprowadzone przez Sedlak & Sedlak w 2019 roku

Wynagrodzenia osób po studiach magisterskich

Wynagrodzenia osób po ukończonym II stopniu studiów znacząco rosły. Ponownie najwyżej zarabiali specjaliści z dziedziny informatyki (8.798 zł). Ich wynagrodzenia po obronie tytułu magistra rosły średnio o 44% w stosunku do płac absolwentów studiów I stopnia tego samego kierunku. Pensje po elektronice i automatyce rosły prze-

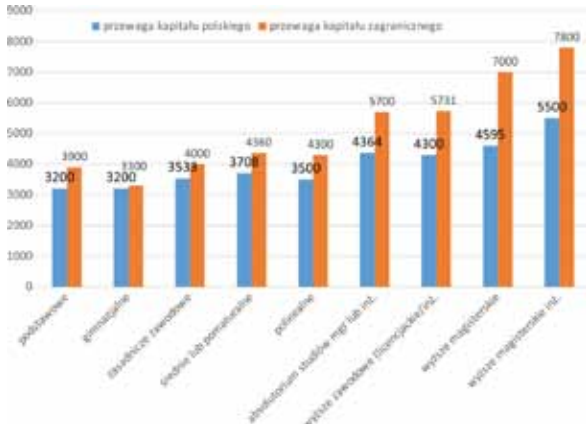
ciętnie o około 36%. W pozostałych, mniej specjalistycznych kierunkach wzrost wynagrodzeń nie był tak wysoki. Przykładowo różnica mediany wynagrodzeń pomiędzy I a II stopniem studiów pedagogicznych to 9%.

Tabela 3. Wynagrodzenia osób z tytułem magistra/magistra inżyniera (brutto w PLN) po wybranych kierunkach studiów

kierunek studiów	próba	25% zarabia mniej	mediana	25% zarabia więcej
informatyka	2.846	6.000	8.798	12.600
elektronika i automatyka	2.016	6.000	8.000	11.680
elektryka i energetyka	1.574	5.000	6.504	9.000
mechanika i metalurgia	2.964	5.000	6.495	9.000
filologie obce	1.624	4.210	5.500	7.306
pedagogiczne	2.218	3.056	3.817	5.094
sport, rehabilitacja	389	2.890	3.500	7.224

Źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń przeprowadzone przez Sedlak & Sedlak w 2019 roku

Wykres 1. Porównanie median zarobków osób z różnym wykształceniem zatrudnionych w firmach z różnym kapitałem (brutto w PLN)



Źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń przeprowadzone przez Sedlak & Sedlak w 2019 roku

Wynagrodzenia w firmach z polskim i zagranicznym kapitałem

Wynagrodzenia w firmach zagranicznych były wyższe od wynagrodzeń osób zatrudnionych w polskich przedsiębiorstwach. Największa dysproporcja w wynagrodzeniach na tym samym poziomie wykształcenia była po ukończeniu studiów magisterskich. Różnica w stawkach wynosiła 52%. Z danych wynika również, że w przedsiębiorstwach z kapitałem zagranicznym poziom wykształcenia zdecydowanie bardziej wpływał na wysokość zarobków, niż w firmach rodzimych.

Wykres 2. Mediana miesięcznych zarobków osób z różnym wykształceniem i stażem (brutto w PLN)



Źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń przeprowadzone przez Sedlak & Sedlak w 2019 roku

Wpływ wykształcenia na wynagrodzenie

Wynagrodzenia osób wchodzących na rynek pracy były podobne. W pierwszym roku zatrudnienia pracownicy z wykształceniem podstawowym, zawodowym i średnim zarabiali około 3.300 zł miesięcznie. Magiŝtry inżynierowie mogli liczyć na 4.000 zł miesięcznie. Różnica między tymi grupami była zatem niewielka i wynosiła raptem 700 zł. Jednak z upływem kolejnych lat kariery wynagrodzenia pracowników z wykształceniem średnim i wyższym rosły szybciej od wynagrodzeń osób z wykształceniem podstawowym i zawodowym. Po 10 latach pracy wynagrodzenia etatowców posiadających wykształcenie wyższe magisterskie inżynierskie prawie się podwoiły (wzrost o niemal 92,5%), podczas gdy płace osób z wykształceniem podstawowym wzrosły o 15%, a tych ze średnim o około 30%.

Dominik Czesak, Sedlak & Sedlak

Nowy rektor w Toruniu

Prof. dr hab. **Andrzej Sokala**, obecny prorektor ds. studenckich i polityki kadrowej, został wybrany nowym rektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Był jedynym kandydatem na to stanowisko, zgłoszonym czterokrotnie przez trzy grupy senatorów i przez Radę Uczelni. W głosowaniu 198 elektorów kandydaturę prof. Sokali poparło 181 z nich, przeciwko opowiedziało się dziesięciu, a pięciu wstrzymało się (oddano dwa głosy nieważne).

Prof. Andrzej Sokala urodził się w 1955 roku. Jest absolwentem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Studia ukończył w 1978 r., stopień doktora uzyskał w 1989 roku, dziesięć lat później habilitował się, a w 2011 r. został profesorem. Zajmuje się prawem rzymskim oraz prawem wyborczym. Jest kierownikiem Katedry Prawa Rzymskiego na Wydziale Prawa i Administracji UMK. W 2008 r. został także kierownikiem Centrum Studiów Wyborczych na UMK. Przez dwie kadencje pełnił funkcję dziekana Wydziału Prawa i Administracji, a od 2012 r. jest prorektorem uczelni ds. studenckich i polityki kadrowej. W latach 1991–2004 był dyrektorem toruńskiej delegatury Krajowego Biura Wyborczego, a w 2003 roku został członkiem Trybunału Stanu. Wykładał też w Kujawsko-Pomorskiej Szkole Wyższej w Bydgoszczy.

Prof. Andrzej Sokala jest pierwszym nowym rektorem wybranym w grupie uczelni badawczych wyłonionych w programie IDUB.



Fot. Andrzej Komarński

MK

Komisje

– zaszczyty, wpływy, obowiązki

Udział w postępowaniach awansowych wiąże się z ogromną ilością pracy, dodatkowymi zarobkami, ale także z możliwością wpływu na awanse naukowe. Powołanie do oceny dorobku badawczego innych uważane jest też za zaszczyt. To recenzenci i członkowie komisji habilitacyjnych, a zwłaszcza ich przewodniczący mają przemożny wpływ na kształtowanie się polskiego środowiska naukowego. Jak wiele recenzji można napisać w ciągu roku pracując naukowo, a ile – rezygnując z zajęć badawczych czy dydaktycznych? W ilu postępowaniach można

brać udział, aby nie zejść poza śliską linię ogólnikowości i ograniczenia się do lektury autoreferatów? Czy udział w postępowaniach może być źródłem dodatkowych, nieformalnych profitów? Jakże to mogą być profity i za co się je uzyskuje? Prof. Wojciech Przetakiewicz (czytaj wywiad na str. 22) jeszcze jako członek CK sporządził listę członków Sekcji VI Nauk Technicznych CK z przypisaną do każdego liczbą komisji habilitacyjnych, którym przewodniczą. Pozwalamy sobie ją opublikować, pozostawiając refleksję czytelnikom.

Wynagrodzenia za udział w postępowaniach awansowych określają przepisy. Inaczej kształtują się one w przypadku postępowań podlegających kontroli Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (do 30 kwietnia 2019 r.), a inaczej tych, które nadzoruje Rada Doskonałości Naukowej (po 30 kwietnia 2019 r.).

Wynagrodzenia recenzentów postępowań prowadzonych wg trybu sprzed 30 kwietnia 2019 r. są odniesione procentowo do stawki minimalnej wynagrodzenia profesora z 2016 r., które wynosi 5390 zł brutto. Za recenzję doktoratu należy się 34% tej kwoty, za recenzję w postępowaniu habilitacyjnym i profesorskim 50%. Za udział

Wynagrodzenia uczestników postępowań awansowych

w komisji habilitacyjnej 20%, za pełnienie funkcji jej sekretarza 35%, a za przewodniczącego 40%.

Wynagrodzenia uczestników najnowszych postępowań awansowych odniesione są do stawki minimalnej wynagrodzenia profesora uczelni publicznej, która wynosi 6410 zł brutto. Recenzent doktoratu otrzymuje 27% tej kwoty, habilitacji 33%, a recenzent dorobku w postępowaniu profesorskim 40%. Członek komisji habilitacyjnej zarabia 17% minimalnego wynagrodzenia profesora uczelni, a jej sekretarz i przewodniczący po 33%.

(mit)

Lista członków Sekcji VI Nauk Technicznych CK wraz z liczbą powołań na funkcje przewodniczących komisji habilitacyjnych w roku 2019 (kursywą zaznaczono osoby, które weszły także w skład Rady Doskonałości Naukowej; to jest 33 % składu Sekcji VI CK):

Janusz Aleksander Kacprzyk, informatyka, Instytut Badań Systemowych PAN, Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów PIAP, Wyższa Szkoła Informatyki Stosowanej i Zarządzania Wydział Informatyki – 50
Leszek Rutkowski, informatyka, Politechnika Częstochowska – 50
 Józef Gawlik, budowa i eksploatacja maszyn, Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki – 35
 Antoni Szydło, budownictwo, Politechnika Wrocławska – 34
 Adam Piotr Hamrol, budowa i eksploatacja maszyn, Politechnika Poznańska – 33
 Janusz Mrocza, elektronika, Politechnika Wrocławska – 32
 Józef Korbicz, automatyka i robotyka, Uniwersytet Zielonogórski – 31
Stefan Kazimierz Berczyński, budowa i eksploatacja maszyn, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie – 29
 Andrzej Materka, elektronika, Politechnika Łódzka – 26
Marian Kwietniewski, inżynieria środowiska, Politechnika Warszawska – 25
Marian Giżejowski, budownictwo, Politechnika Warszawska – 22
 Andrzej Ambroziak, inżynieria produkcji, Politechnika Wrocławska – 21
 Andrzej Demenko, elektrotechnika, Politechnika Poznańska – 21
Jan Marian Taler, energetyka, Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki – 20

Jan Awrejcewicz, mechanika, Politechnika Łódzka – 19
 Roman Bolesław Barlik, przewodniczący Sekcji VI CK, elektrotechnika, Politechnika Warszawska – 19
 Jan Wachowicz, górnictwo i geologia inżynierska, Główny Instytut Górnictwa – 17
Wojciech Stanisław Bonenberg, architektura i urbanistyka, Politechnika Poznańska – 16
 Wiesław Mieczysław Ostachowicz, mechanika, Instytut Maszyn Przepływowych im. Roberta Szwalskiego PAN, Politechnika Warszawska – 16
Janusz Krzysztof Kowal, mechanika, Akademia Górniczo-Hutnicza im. S. Staszica w Krakowie – 15
 Grażyna Olga Schneider-Skalska, architektura i urbanistyka, Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki – 15
 Krzysztof Roman Kozłowski, automatyka i robotyka, Politechnika Poznańska – 14
 Jan Michał Sieniawski, inżynieria materiałowa, Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza – 13
 Janusz Henryk Lewandowski, energetyka, Politechnika Warszawska – 12
 Antoni Józef Tajduś, górnictwo i geologia inżynierska, Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie – 12
Jerzy Robert Bałdya, inżynieria chemiczna, Politechnika Warszawska – 11
 Jerzy Stanisław Manerowski, transport, Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych, Politechnika Warszawska – 9

Józef Włodzimierz Woźniak, telekomunikacja, Politechnika Gdańska – 9

Wojciech Aleksander Przetakiewicz (gdy oddajemy numer do druku wciąż figuruje na liście członków Sekcji VI jako zastępca przewodniczącego, zatem umieszczamy go na tej liście), inżynieria materiałowa, Akademia Morska w Szczecinie – 7

Leszek Blacha, metalurgia, Politechnika Śląska – 6

Piotr Tatjewski, automatyka i robotyka, Politechnika Warszawska – 6

Andrzej Bolesław Jarzębski, inżynieria chemiczna, Instytut Inżynierii Chemicznej PAN, Politechnika Śląska – 5

Andrzej Świerniak, biocybernetyka i inżynieria biomedyczna, Politechnika Śląska – 4

Edward Guzik, metalurgia, Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie – 1

Kazimierz Jan Furtak, przewodniczący CK, budownictwo, Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki – 0

Ryszard Jerzy Korycki, włókiennictwo, Politechnika Łódzka – 0

Iskrzy na linii Nowy Targ – Warszawa

Wniosek dyscyplinarny o wydaleniu z uczelni oraz 3-letni zakaz wykonywania zawodu dla ks. rektora S. Gulaka

Jak poinformowały portal Podhale24.pl i „Tygodnik Podhalański”, rzecznik dyscyplinarny ministra nauki i szkolnictwa wyższego, dr hab. Radosław Giętkowski, prof. UG, zakończył postępowanie wyjaśniające i 3 marca br. złożył wniosek dyscyplinarny o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec rektora Stanisława Gulaka z Podhalańskiej Państwowej Uczelni Zawodowej w Nowym Targu.

W czerwcu 2019 r. red. Beata Zalot na łamach „Tygodnika Podhalańskiego” zarzuciła rektorowi liczne naruszenia praw autorskich zarówno w publikacjach naukowych, jak i w monografii, która posłużyła do habilitowania się rektora w Słowacji. Ze swojej strony w połowie maja 2019 r. pismo z zarzutami plagiatu skierował do Centralnej Komisji w Warszawie prof. Stanisław Hodorowicz, pierwszy rektor podhalańskiej uczelni. Pismo to, zgodnie z właściwością, prof. Kazimierz Furtak, przewodniczący CK, przekazał do MNiSW, gdyż ks. płk dr hab. S. Gulak habilitował się na Słowacji, stąd był poza jurysdykcją CK.

Rzecznik dyscyplinarny ministra uznał, że rektor S. Gulak w swojej pracy habilitacyjnej przywłaszczył sobie autorstwo fragmentów ośmiu utworów i wnioskuje o karę zwolnienia z uczelni i zakaz wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego na okres trzech lat. Postępowanie dyscyplinarne będzie toczyło się przed Komisją Dyscyplinarną Ministra Nauki, której przewodniczy dr hab. Piotr Dobosz, prof. UJ.

Rektor Gulak przez ostatnie 9 miesięcy bagatelizował zarzuty i sprawował funkcję rektora, jak gdyby nic się nie stało. Z całą pewnością nie poprawiło to wizerunku uczelni w mediach. W sierpniu 2019 r. wizytę w tej uczelni odwiedził prezydent Andrzej Duda. W normalnych okolicznościach rektor powinien zostać zawieszony przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego, tak jak zawieszają się profesora, który popełnił plagiat. Niestety, w Ustawie 2.0 nie ma już artykułu 149 z poprzedniej ustawy, który pozwalał ministrowi zawieszania rektora czy prorektora lub przewodniczącego komisji dyscyplinarnej uczelni w czasie postępowania wyjaśniającego lub dyscyplinarnego – podobnie jak mógł robić rektor w stosunku do nauczycieli akademickich. Takie uprawnienia dawał z kolei rektorowi stary art. 147, który stwierdzał: można zawiesić w pełnieniu obowiązków nauczyciela akademickiego, przeciwko któremu wszczęto postępowanie karne lub dyscyplinarne, a także w toku

postępowania wyjaśniającego, jeżeli ze względu na wagę i wiarygodność przedstawionych zarzutów celowe jest odsunięcie go od wykonywania obowiązków. Ten ostatni zapis przeniesiono do artykułu 302 nowej ustawy.

W obecnej ustawie art. 432 pozwala ministrowi w przypadku stwierdzenia naruszenia przez rektora przepisów prawa, wystąpić do kolegium elektorów albo podmiotu, który dokonał wyboru rektora albo go powołał, z wnioskiem o odwołanie rektora. Wniosek ten musi zostać rozpatrzony w terminie 30 dni od dnia jego doręczenia, a do czasu jego rozpatrzenia minister może zawiesić rektora w pełnieniu funkcji. Ustęp 4 powyższego artykułu zawieszania rektora w pełnieniu funkcji z mocy prawa, gdy toczy się przeciwko niemu postępowanie karne z oskarżenia publicznego o przestępstwo umyślne lub postępowanie o umyślne przestępstwo skarbowe.

Zatem obecnie, gdy w wyniku skandalu akademickiego rektor sam dobrowolnie nie podda się do dymisji, minister może jedynie wnioskować o zgodę kolegium elektorów na odwołanie rektora. I zapewne minister Gowin tak zrobi, gdyż 6 kwietnia 2020 r. odbędą się wybory rektorskie w podhalańskiej publicznej uczelni zawodowej, do których może przystąpić rektor S. Gulak. Minister powinien też złożyć w prokuraturze rejonowej w Nowym Targu zawiadomienie o podejrzeniu naruszenia prawa autorskiego przez rektora Gulaka, co mogłoby doprowadzić do postawienia zarzutów, gdyż plagiat jest przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego.

Obrońcą rektora Gulaka jest dr hab. Edward Malak, obecnie pracujący w nowotarskiej uczelni. Osiem lat temu prof. Malak, który jest historykiem nauki zainteresowanym lotnictwem, pracował na Politechnice Warszawskiej i był rzecznikiem dyscyplinarnym rektora. Zapamiętałem go jako „rzecznika o gołęmbim sercu”, który miesiącami prowadził postępowania wyjaśniające i nie kwapił się do surowego karania plagiatorów. Po odejściu z Politechniki prof. Malak kierował Muzeum Techniki w Warszawie i pracował w Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach.

Tę ciekawą sprawę będziemy monitorować.

(MW)

Mały musi się bardziej starać

Dwugłos profesorów **Tomasza Szemberga** i **Mariusza Wołosa** na temat koncepcji uczelni badawczej przedstawionej przez Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie.



Fot. Arch. prywatne

Mariusz Wołos: W listopadzie 2018 roku jako prorektor UP ds. nauki powołałem interdyscyplinarny zespół 14 naukowców, który zajął się przygotowaniem wniosku w konkursie. Jednocześnie wezwałem społeczność uczelni do składania propozycji działań projektowych.



Fot. Arch. prywatne

Tomasz Szemberg: Byliśmy pozytywnie zaskoczeni odzewem. Zgłoszono ponad 200 różnorodnych propozycji. Stanęliśmy przed problemem połączenia ich w spójny program działań.

MW: Ten etap prac okazał się pouczającym doświadczeniem, które ujawniło ogromny potencjał środowiska naukowego uniwersytetu – potencjał, który z powodu różnych barier nie był wcześniej w pełni wykorzystywany i którego istnienia nie byliśmy do końca świadomi.

TS: Dla wszystkich członków zespołu była to też dobra okazja do całościowego spojrzenia na prowadzone w UP badania naukowe, także w kontekście międzynarodowym. Zidentyfikowaliśmy potrzeby i oczekiwania kadry w zakresie rozwoju zawodowego oraz doskonalenia zarządzania uczelnią.

MW: Na podstawie zgłoszonych projektów powstała lista 12 priorytetowych obszarów badawczych oraz lista działań mających na celu pełniejsze wykorzystanie odkrytego potencjału naukowego uczelni oraz zwiększenie jakości i skuteczności badań.

TS: Z pewnym zaskoczeniem przyjąłem wiadomość o powołaniu przez prof. Kazimierza Karolczaka, rektora UP, na pełnomocnika ds. przygotowania wniosku. Oczekiwałem, że w naszej uczelni ta rola przypadnie raczej humanistyce niż profesorowi matematyki.

MW: Matematyka spoza uniwersytetu mieli też swój udział w przygotowaniu bardzo rzetelnej, miejscami boleśnie szczerzej, analizy SWOT. Posłużyła ona skróceniu listy POB-ów. Przy ich wyborze

kierowaliśmy się realnymi możliwościami uczelni, ale także tradycją ze wskazaniem na osiągnięcia w zakresie pedagogiki.

TS: W efekcie wskazaliśmy 7 POB-ów: 1. Kognitywistyka i neurokognitywistyka; 2. Technologia poszerzonej/mieszanej i wirtualnej rzeczywistości; 3. Społeczno-psychologiczne aspekty procesów kształcenia; 4. Rozwój i edukacja człowieka w biegu życia – badania i współczesne trendy; 5. Przymusowe migracje i zbrodnie przeciwko ludzkości. Pamięć i postpamięć w procesie edukacji; 6. Matematyka: algebra, analiza i podstawy; 7. Materia i materiały – fizyka, technika i technologia.

MW: Jak można było oczekiwać, aż 3 POB-y (nr 1, 3 i 4) związane są bezpośrednio z podstawową misją uniwersytetu, którą jest kształcenie nauczycieli. POB dotyczący migracji nie tylko odzwierciedla unikalne w skali kraju pod względem jakości i zakresu badania w tym zakresie, ale odpowiada wyzwaniom, przed którymi stoi społeczność międzynarodowa. POB-y 2 i 7 dotyczą nowoczesnych technologii. Rozszerzona i wirtualna rzeczywistość, stanowiące przedmiot POB-u 2, to w szczególności przyszłość edukacji opartej na nauczaniu na odległość, masowym wykorzystaniu ogólnodostępnych zasobów internetowych oraz hybrydowych formach nauczania.

TS: POB 7, dotyczący nowych materiałów i technologii, odpowiada wyzwaniom i zapotrzebowaniu nowoczesnej gospodarki opartej na wiedzy. POB 6 jako jedyny nie ma charakteru interdyscyplinarnego, jednak przewidziane w nim badania podstawowe oraz badania nad skutecznymi metodami edukacji matematycznej mają, choć nie wprost, fundamentalne znaczenie dla rozwoju społecznego i gospodarczego kraju.

MW: Działania projektowe zebraliśmy w 10 grup. Fundamentalną rolę miała odgrywać ewaluacja i regularny międzynarodowy monitoring realizacji projektu. Chodziło nam o uniknięcie pułapki, w którą wpadły KNOW-y.

TS: Z kolei umiędzynarodowieniu uczelni służyć miało powołanie Interdyscyplinarnego Centrum Studiów Zaawansowanych. W Polsce nie ma jednostki tego typu działającej na wyższej uczelni.

MW: Temu samemu celowi, w połączeniu ze wzrostem mobilności kadry i zwiększeniem atrakcyjności UP jako miejsca prowadzenia badań w kontekście międzynarodowym, miały służyć programy planowanych szkół letnich i konferencji. Istotnym wsparciem dla badań naukowych i rozwoju kadry ma być powołanie Biura Wspierania Badań. Jego zadaniem jest efektywne wspieranie kadry w aplikacjach o granty krajowe i międzynarodowe. To działanie będzie realizowane bez względu na wynik konkursu.

TS: Niemal połowę budżetu projektu, około 30 mln zł, zaplanowaliśmy na modernizację i uzupełnienie infrastruktury laboratoryjnej w ciągu pierwszych trzech lat jego realizacji. Niestety, nie ma jak tego zrobić bez wzrostu corocznej subwencji o 10%, tutaj dwuprocentowy wzrost nie wystarczy. To duży cios dla nadziei sporej grupy naukowców z nauk ścisłych i technicznych.

MW: Uniwersytet Pedagogiczny nie znalazł się co prawda w dziesiątce szkół wyższych, które uzyskały status uczelni badawczej, jednak przeprowadzone analizy i starannie zaplanowane działania pozwoliły na uzyskanie jasnego obrazu stanu uczelni i ściśle określenie wektorów głównych działań w przyszłości. O ile uzupełnienie wyposażenia laboratoriów nie jest możliwe w zaplanowanej skali bez uzyskania dodatkowych środków, to władze UP są zdeternowane, by pewne działania – np. systemowe wsparcie naukowców w apliko-

waniu o granty krajowe i międzynarodowe, wsparcie logistyczne w organizacji szkół i konferencji międzynarodowych, wprowadzenie bardziej konkurencyjnego, grantowego systemu rozdziału w uczelni środków na badania oraz wspieranie dużych projektów – prowadzić bez względu na nasz wynik w ministerialnym konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza”.

TS: Istotnie, porażka zwiększa pragnienie sukcesu, a uzyskane doświadczenia z pewnością przydadzą się w kolejnych konkursach,

nie tylko związanych z inicjatywami MNiSW. Udział w programie IDUB był dla UP pouczającą lekcją. Jak stwierdził prof. Sijbalt Noorda, który kierował panelem oceniającym nasz wniosek, był on spójny i przekonujący, ale nie miał szans wobec wniosków UJ czy UW, z którymi przyszło nam konkurować.

MW: Niemniej, jest jasne, że wniosek stanowi drogowskaz działań na najbliższe lata.

Wyjaśnienia

Prof. **Paweł Cięszczyk**, prorektor i rektor elekt gdańskiej Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu, przysłał wyjaśnienia dotyczące spraw opisanych w artykule na temat problemów tej uczelni, opublikowanym w FA 2/2020.

1. Projekt Belt&Road nie jest realizowany przez gdańską uczelnię (AWFiS). Umowami strony są AZS AWFIS (podmiot formalnie niezależny od uczelni) i Uniwersytet Sportowy w Pekinie. AWFIS nie jest stroną umowy i nie ma wglądu w jej treść, co w sposób oczywisty czyni kuriozalnymi żądania są przeprowadzenia audytu „projektu realizowanego w AWFIS” itd. Jedyną umową, która wiąże AWFIS z tym przedsięwzięciem, jest porozumienie uczelni z AZS AWFIS w sprawie odpłatnego wykorzystywania obiektów, na których realizowane są zajęcia z grupami sportowców z Chin. Zgodnie ze Statutem AWFIS, podpisanie umowy na szkolenie młodocianych sportowców bezpośrednio przez uczelnię byłoby złamaniem prawa.

2. Akademię AWFIS nie jest remontowany na potrzeby uczestników projektu. Remonty odbywają się zgodnie z wcześniej przyjętym planem. Część pokoi została doposażona. Zakupiono między innymi dłuższe łóżka dla siatkarzy, przy czym zakupy te zostały zrealizowane ze środków projektowych. Uczelnia nie partycypowała w tych kosztach, wręcz przeciwnie – odniosła z tego tytułu korzyść, gdyż zgodnie z umową nowe meble przeszły na jej własność.

3. Rzeczywiście, w dniu 16 października 2019 dr hab. Waldemar Moska na posiedzeniu Senatu AWFIS zrezygnował z funkcji rektora, przy czym powodem, jaki podał, była chęć ponownego poddania się ocenie środowiska akademickiego (w uczelni rozsiewane były plotki, jakoby rektor nie miał już żadnego poparcia wśród pracowników AWFIS), a nie choroba. Finalnie kolegium elektorów wybrało go ponownie na tę funkcję przy jednym głosie wstrzymującym.

4. Nieprawdą jest, że w dniu 16 października 2019 prorektorzy – prof. Władysław Jagiełło, prorektor ds. nauki i prof. Barbara Duda-Biernacka, prorektor ds. kształcenia – zrezygnowali z funkcji. Według Statutu AWFIS w przypadku rezygnacji rektora, funkcję tę obejmuje najstarszy wiekiem prorektor. Tymczasem tak prorektor ds. nauki, jak i prorektor ds. kształcenia nie zdecydowali się na objęcie funkcji rektora. W dalszym ciągu pełnili oni jednak funkcje prorektorów. W tej sytuacji zdecydowałem się na objęcie obowiązków rektora, a nie „ostałem” się, jak napisano w artykule, do czasu jego wyboru. Nie miało zatem miejsca powoływanie prorektorów po ponownym wyborze W. Moski na stanowisko rektora.

5. W kontekście pełnienia przeze mnie obowiązków rektora AWFIS informacja o tym, że w 2017 roku pracowałem w Uniwersytecie Szczecińskim, mogłaby wskazywać na dobór do władz rektorskich AWFIS

osób przypadkowych, mających krótki staż pracy w tej uczelni i nie znających jej specyfiki. Tak nie jest. Pracuję bowiem w AWFIS od 2012 roku.

6. To fakt opublikowania przeze mnie wielu publikacji z Impact Factor wpłynął na to, że udało mi się uzyskać dofinansowanie unijne na budowę Centrum Badań Strukturalno-Funkcjonalnych Człowieka Uniwersytetu Szczecińskiego, a nie odwrotnie. Choć jestem specjalistą w zakresie kultury fizycznej, to od 2008 r. interesuję się genetyką (wtedy opublikowałem pierwszą pracę na ten temat), a CBSFC wybudowałem w 2016 roku. Wkrótce potem odszedłem z US.

7. Nie jest prawdą, że moje publikacje z zakresu genetyki sportowej zaczęły się pojawiać w AWFIS dopiero po objęciu przeze mnie funkcji prorektora ds. studenckich w tej uczelni. Pierwsze moje publikacje z zakresu genetyki jako pracownika AWFIS (również we współautorstwie z innymi pracownikami AWFIS) zostały opublikowane już w 2012 roku, przy czym moją współpracę naukową z pracownikami AWFIS rozpocząłem dużo wcześniej – w 2010 roku.

8. Zarzuty, o których wspomina się w dalszej części artykułu, na razie nie znalazły potwierdzenia w orzeczeniach sądów lub komisji dyscyplinarnych, a postępowania w prokuraturze i przed rzecznikiem dyscyplinarnym ministra mają charakter wyjaśniający.

9. Rektor Moska jest specjalistą z zakresu kultury fizycznej, podobnie jak zdecydowana większość pracowników zatrudnionych w AWFIS (również ja). Jego wkład pracy w powstanie publikacji naukowych z zakresu genetyki polega m.in. na klasyfikowaniu zawodników do poszczególnych klas rozgrywkowych oraz ze względu na charakter wykonywanego wysiłku. Został on szczegółowo wyjaśniony i potwierdzony podpisami współautorów tych prac. Zdumiewa mnie fakt kwestionowania tych oświadczeń bez przedstawienia jakichkolwiek dowodów.

Całość tej sprawy traktuję jako element nieczystej gry wyborczej. Świadczyć mogą o tym materiały rozpisane hejtu, jaki kilku pracowników AWFIS zaplanowało i prowadziło przeciw społeczności akademickiej AWFIS.

Paweł Cięszczyk

Red.: Do spraw gdańskiej AWFIS zapewne powrócimy, gdy do redakcji dotrą nowe informacje na temat postępowań prowadzonych przez rzecznika dyscyplinarnego ministra nauki i gdańską prokuraturę okręgową.

Przeprosiny

Przepraszamy Pana Profesora Pawła Cięszczyka, obecnego prorektora i rektora elekta gdańskiej AWFIS, za publikację jego zdjęcia w stroju rektorskim przy artykule opublikowanym w FA 2/2020, w którym opisujemy podejrzenia o nieprawidłowości w gdańskiej uczelni sportowej, które są przedmiotem postępowań wyjaśniających prowadzonych przez rzecznika dyscyplinarnego ministra nauki i Prokuraturę Okręgową w Gdańsku, co mogłoby sugerować jego bezpośrednie zaangażowanie w te zdarzenia.

Redakcja

Rozmowa z prof. Wojciechem Przetakiewiczem, byłym wiceprzewodniczącym Sekcji Nauk Technicznych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów

Trywializacja awansów naukowych

Do Rady Doskonałości Naukowej weszło wielu członków CK, a tym samym odtworzyły się w niej układy, sposoby myślenia i działania. Nie ma „higienicznej” przerwy między tymi dwoma instytucjami, która pozwoliłaby z czystym sercem dobrze myśleć o radzie. Weszli w jej skład także koledzy, co do których pracy mam poważne zastrzeżenia.

Zrezygnował pan z pracy w Centralnej Komisji z własnej woli i to na rok przed zakończeniem jej ostatniej kadencji.

To była – w sumie spontaniczna – forma protestu przeciwko temu, co obserwowałem w środowisku Sekcji Nauk Technicznych CK. Chodzi przede wszystkim o to, że koledzy zaniedbywali właściwy dobór składów komisji habilitacyjnych. Przy ich konstrukcji często nie kierowano się kompetencjami osób wyznaczanych do komisji, skład był raczej efektem powiązań koleżeńskich. W okresie kierowania resortem nauki przez min. Barbarę Kudrycką postawiono tezę, że kariery naukowe młodych pracowników są w różny sposób hamowane i należy je przyspieszyć. Dziś już widać, że to przyspieszenie przyjęło głównie formę stopniowego obniżania wymogów wobec kandydatów do awansu, szczególnie habilitantów. Następowala i trwa do dziś, mimo wprowadzenia Ustawy 2.0, trywializacja postępowań awansowych, zwłaszcza habilitacyjnych.

Co pan rozumie przez trywializację?

Niefirasobliwość wykazywaną na wstępnym etapie procedowania sprawy, a zwłaszcza jednoosobowe, zamiast komisyjne, analizowanie dokumentów wniosku awansowego i wnioskowanie do rady wydziału lub rady naukowej o podjęcie postępowania. Najczęściej czyni to prodziekan lub zastępca dyrektora do spraw naukowych, będąc niekiedy w wyraźnym konflikcie interesów, co jest przemilczane. Pokłosiem tej niefirasobliwości było wpłynięcie do Prezydium CK w IV kwartale 2019 r. kilkudziesięciu wniosków habilitantów o umorzenie ich postępowań.

Z jakiego powodu?

Domniemywam, że powodem było pojawienie się pierwszych negatywnych recenzji i widmo klęski aplikującego o awans. Kolejną nieprawidłowość, to obsadzanie części składu komisji habilitacyjnej, czyli funkcji sekretarza, recenzenta i członka, pracownikami jednostki, w której jest zatrudniony kandydat. Aspekt merytoryczny trywializacji postępowań awansowych to przede wszystkim ogólnikowe i grzecznościowe recenzje. Recenzje wydawnicze rozprawy są mało przydatne autorowi,

ale ich pozytywny wydźwięk szkodliwie utwierdza go w przekonaniu, że jego dzieło jest wartościowe. Nie jest to więc pomoc, a wręcz demoralizacja. Nierzetelne recenzje w toku postępowania wymagają zdecydowanego potępienia, gdyż są brzemienne w skutki, zwłaszcza w przypadku porażki kandydata i jego dalszych odwołań. Kolejny element trywializacji postępowania, to bezproduktywna rola członków komisji habilitacyjnych, których zaangażowanie w ocenę dorobku bywa symboliczne, zdaniem niektórych, odwrotnie proporcjonalne do wynagrodzenia. A przecież te osoby mają, niestety, tak samo ważny głos przy podejmowaniu uchwały i mogą stanowić przysłowiowy „języczek u wagi”. Chyba najważniejszym elementem wypacającym postępowania jest zasada jawnego głosowania przy podejmowaniu uchwały komisji, zwłaszcza przy takiej jej obsadzie, jak to przedstawiłem. To przekleństwo postępowań habilitacyjnych.

Nie dało się tej sprawie rozwiązać w gronie członków sekcji czy całej komisji?

Zrobiono zbyt mało. Prawie nikt, poza mną, nie wnioskował o korektę obsady części składów komisji habilitacyjnych, błędnie proponowanych przez jednostki. Prof. Roman Barlik, przewodniczący Sekcji Nauk Technicznych, wielokrotnie też apelował, by członkowie sekcji nie brali udziału w komisjach habilitacyjnych częściej niż raz w miesiącu. Niestety wiele osób lekceważyło te zalecenia. Gdy podsumowałem wyniki udziału w komisjach powołanych w ubiegłym roku, włos mi się zjeżył na głowie. Od trzydziestu do pięćdziesięciu funkcji przewodniczącego komisji na jedną osobę w ciągu roku oznacza, że co tydzień lub nawet częściej, gdy odliczyć wakacje, kieruje się kolejną komisją. To nie jest fizycznie możliwe. Ta ilość nie może przejść w jakość. Sprawa, która wymaga staranności i namysłu, została potraktowana niemal taśmowo.

Czy to był moment, gdy wysłał pan kolegom informację o swojej rezygnacji?

Tak. Od jakiegoś czasu wątpiłem w możliwość naprawy sytuacji w CK. Rezygnację zgłosiłem w trakcie posiedzenia

Sekcji Nauk Technicznych, uzasadniłem ją, potem wyszedłem. Informację o mojej decyzji wraz z uzasadnieniem rozesłałem do ponad dwudziestu ośrodków akademickich, które mają uprawnienia do nadawania stopni naukowych w dyscyplinie inżynieria materiałowa, a zatem zatrudniają moich wyborców do CK. Wysłałem ją także do kilku osób, które pracują w tej dyscyplinie w innych ośrodkach akademickich. Moja aktywność w CK przez dwadzieścia lat – sześć kadencji z woli wyborców – wynikała nie z konieczności realizacji rutynowych zadań, a raczej z potrzeby przeciwdziałania nieprawidłowościom w procesach awansowych oraz prowadzenia pewnych działań prewencyjnych. Nie mogłem się teraz zachować inaczej.

Jak adresaci zareagowali na pana pismo?

Tuż po tym posiedzeniu skierowano do mnie głosy wyrażające nadzieję, że zmienię decyzję. Wsparli mnie m.in. przewodniczący sekcji i kilku kolegów. Sytuacja jednak zabrnęła zbyt daleko, żebym mógł się wycofać. Dostałem też głosy wsparcia od kilku osób, które podobnie jak ja nie obsadzały mnóstwa komisji habilitacyjnych i negatywnie oceniają to zjawisko. Natomiast ci, którzy w sposób jaskrawy nadużywali członkostwa w komisjach, złamali zasady etyki, które w takim gremium powinny obowiązywać, nie odnieśli się do mojej decyzji i uzasadnienia. Dostałem też kilkanaście listów z podziękowaniem z różnych jednostek, którym wysłałem wiadomość o swojej rezygnacji z misji powierzonej mi przez środowisko nauk o materiałach. Od dłuższego czasu zwracałem uwagę zarówno w swoim środowisku – Komitetu Nauk o Materiałach PAN, czy Polskiego Towarzystwa Materiałoznawczego, jak też w środowisku Sekcji Nauk Technicznych CK – że są jednostki naukowe, które obniżają wymagania wobec kandydatów do awansu. Nazwałem to drogą awansową przez dziurę w płocie. Były to niektóre wydziały także dużych uczelni. Kolesiostwo odgrywa tam poważną rolę w procedowaniu spraw awansowych.

Zjawisko patrzenia przez palce na słabe wnioski awansowe, a zarazem niezwykle rygorystyczne traktowanie innych, także bardzo przyzwoitych wniosków, nie jest nowym zjawiskiem. CK była za to krytykowana od lat. Co się stało, że nagle teraz tak radykalna decyzja?

Powodem jest masowa skala wniosków awansowych, wywołana zmianą ustawy, przy czym chcę zaznaczyć, że sama ustawa nie była podłożem do powstania negatywnych zjawisk. Zdobylbym się na określenie, że jest to skutek niewłaściwie ukształtowanej mentalności dużej części środowiska naukowego, czyli przyzwolenia na łamanie zasad etyki naukowej i na marnej jakości awanse. Słabe wnioski przechodzą przy dużym aplauzie, przy bardzo korzystnych, czasami niemal jednowymyślnych wynikach głosowania. Ma się wrażenie, że nie są ważne pre-



Fot. Arch. prywatne

Prof. dr hab. inż. **Wojciech Przetakiewicz** (ur. w 1950 r.) jest od 23 lat profesorem w Akademii Morskiej w Szczecinie. 35 lat pracował w Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie m.in. kierował Zakładem Metaloznawstwa, był prodziekanem i dziekanem Wydziału Mechanicznego oraz prorektorem ds. dydaktycznych. Jest autorem ok. 270 publikacji naukowych z zakresu inżynierii materiałowej. Specjalizuje się w metaloznawstwie i inżynierii powierzchni. Wypromował dziesięciu doktorów nauk technicznych. Jest członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Materiałoznawczego. Przez ostatnie dwie kadencje pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Komitetu Nauki o Materiałach PAN. W latach 2000–2019 był członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, ostatnio wiceprzewodniczącym Sekcji Nauk Technicznych.

dyspozycje i osiągnięcia kandydata, ale zdolności przekonywania tego, kto przedstawia te osiągnięcia komisji habilitacyjnej czy radzie wydziału. Śledząc protokoły różnych posiedzeń rad w związku ze sprawami awansowymi, widzę, że nie ma dyskusji naukowej, nie ma wymiany poglądów. Albo jest to skutek narzucania poglądów przez osoby o dużym autorytecie, którym nikt nie śmie się sprzeciwić, albo po prostu ludziom brakuje poczucia współodpowiedzialności za jakość procesów awansowych.

Może te uchybienia to jednak wina masowości wniosków awansowych z wiosny 2019 r.?

Nie było powodu do pośpiechu, chyba że chodzi o datę 30 kwietnia. Ale już recenzenci i rady wydziałów nie musieli się śpieszyć. Nie było żadnego powodu, by traktować złożone wnioski w sposób płytki i pobieżny. Wprost przeciwnie, masowość powinna wzbudzić czujność rad wydziałów, recenzentów, członków CK. Trzeba było się nad tym rzetelnie pochy-

lić i dokładnie zweryfikować wnioski. Przecież jest jasne, że były one przygotowywane pośpieszenie, mogły zatem być przedwczesne. Wielu kandydatów zdecydowało się na ryzyko, myśląc, że może się uda. Czasami odnosiłem wrażenie, że zamiast dyskusji nad dorobkiem, miałem do czynienia z działaniami służącymi ochronie kandydata przed weryfikacją czy też o wyrwanie go z jakiejś opresji, obronę człowieka, który uwierzył, że należy mu się status samodzielnego pracownika, podczas gdy jeszcze nie dojrzał on do naukowej samodzielności. A przecież awans nie jest opresją. Trzeba udokumentować, że się należy, a jeśli jeszcze się nie należy, trzeba dalej prowadzić badania naukowe i gromadzić dorobek do czasu, gdy będzie odpowiedni. Sądzę, że wielu kandydatów w staraniach o awans w większym stopniu bierze pod uwagę czekające ich przywileje – większą niezależność w działalności naukowej, wyższe stanowisko i zarobki, prestiż w środowisku zawodowym – niż wynikające z awansu obowiązki. Ja natomiast awans postrzegam przede wszystkim jako osiągnięcie statusu naukowca przygotowanego do samodzielnego generowania poważnych zadań badawczych oraz mającego zasób wiedzy i predyspozycje niezbędne do poprawnego wypełniania roli mistrza naukowego.

Uściślmy jeszcze, o jakich awansach rozmawiamy?

Przede wszystkim o habilitacjach. Udzielenie wydziałom autonomii w sprawie awansów, a zwłaszcza habilitacji, czyli samodzielności naukowej zakończonej uchwałą o nadaniu stopnia, spowodowało erozję zasad i norm. Winę za to ponoszą często pojedyncze osoby, które w danym środowisku mają duży autorytet i potrafią narzucić innym swoje poglądy, kryteria, sposób myślenia. Nie zawsze stoją za takimi działaniami czyste intencje, zwłaszcza rzetelność naukowa. CK ma wciąż bezpośrednią pieczę nad wnioskami profesorskimi. Ta procedura jest bardziej rzetelna, znacznie lepiej weryfikuje jakość dorobku; istnieje większa selekcja i lepsza kontrola; jest pięciu recenzentów, a potem jeszcze rzeczoznawca. I niewątpliwie to zasługa komisji.

Bardzo ciekawy wydaje się wątek wpływowych ludzi, którzy jawnie łamali zasady akademickie, aby forsować swoich faworytów.

W środowisku inżynierii materiałowej mogę wskazać jednostki, w których takie zjawisko wystąpiło w sposób jaskrawy. To Wydział Mechaniczny Politechniki Łódzkiej, Wydział Mechaniczny Technologiczny Politechniki Śląskiej oraz Wydział Mechaniczny Politechniki Gdańskiej. W tych ośrodkach najczęściej dochodziło do łamania zasad, obniżania poziomu wymagań, koleśiostwa. Przypuszczam, że w innych dyscyplinach też można wskazać jednostki, gdzie częściej niż w innych dochodzi do podobnych nadużyć.

Nie boi się pan o tym głośno mówić?

Oczywiście, mam obawy. Jedna z habilitantek już pozwała mnie za krytykę jej dorobku naukowego i dydaktycznego.

Sąd przyjął pozew zawierający takie zarzuty?

Tak, ale rozprawa jeszcze się nie odbyła. Wróć do awansów. Teraz nie ma już uchwały rady wydziału w sprawie awansu, lecz jest decyzja administracyjna, co niesie za sobą szereg konsekwencji. Na pewno nie służy to doskonaleniu awansów, bo może się kończyć właśnie oddawaniem do sądów rezultatów krytyki naukowej. Tymczasem jest ona immanentną cechą działalności naukowej i trudno sobie wyobrazić postęp w nauce bez dyskusji i krytyki.

Ma pan świadomość, że już nigdy nie będzie w podobnej instytucji jak CK, choćby z racji wieku?

To prawda. Obawiam się nawet, czy koledzy zechcą mi teraz powierzać recenzowanie prac awansowych i dorobku naukowego, gdyż uchodzę za recenzenta surowego, a moją decyzją chyba podkreśliłem pewnego rodzaju bezkompromisowość, która niestety rzadko jest oczekiwana od recenzentów dorobku. Z drugiej strony, szanowano mnie za to, że nigdy nie napisałem „laurki”, nawet gdy chodziło o doktoraty uczniów moich przyjaciół.

Pan mówi o słabościach działań sekcji CK, ja z kolei znam sytuację, gdy Prezydium CK ratowało honor komisji, który mocno nadwyrężały decyzje sekcji.

Zapewne bywa różnie. Często jednak sprawy naganne, o których donoszono do CK, nie trafiały tam, gdzie powinny, czyli do sekcji, tylko pozostawały na poziomie prezydium. Często rozmywały się tam na podstawie opinii osób, o których z góry było wiadomo, że napiszą pozytywne recenzje czy ekspertyzy. Tym samym niejednokrotnie właśnie komisja chroniła plagiatorów czy osoby, które niezbyt rzetelnie podeszły do swojej pracy awansowej.

Czy CK powinna nadal istnieć w tej sytuacji?

Nie mam wesołych myśli. CK w tej formule i przy takim stylu działania na pewno nie zapewnia jakości awansów, które ma nadzorować. Z drugiej strony, historia CK właśnie się kończy. Problem w tym, że do Rady Doskonałości Naukowej weszło wielu członków CK, a tym samym odtworzyły się w niej układy, sposoby myślenia i działania. Nie ma „higienicznej” przerwy między tymi dwoma instytucjami, która pozwoliłaby z czystym sercem dobrze myśleć o radzie. Wszli w jej skład także koledzy, co do których pracy mam poważne zastrzeżenia. Takie są prawa demokracji. Rozszerzono grono wyborców o doktorów habilitowanych. Niejeden z nich czuje wdzięczność wobec swoich recenzentów za to, że stopień uzyskał, ulega ich presji i traci samodzielność. Nie chcę tu krzywdzić uczciwych i kompetentnych, którzy stanowią większość i w CK, i w RDN. Ustawa definiuje główne zasady działania CK i RDN – tam eksponuje się rzetelność i transparentność.

Powróciłbym do kwestii ponadczasowej, jaką są recenzje.

Wypowiedziano na ich temat wiele krytycznych uwag, które jednak nie zmieniły tego obszaru działalności okołonaukowej w naszym kraju. Recenzentów cechuje często brak odwagi w wypowiedzianiu krytyki, lęk przed ostracyzmem środowiska, kierowanie się chęcią nieszkodzenia kandydatowi do awansu. A przecież nie o to chodzi! Nie chodzi o samego kandydata, ale o wartość, jaką wnosi do nauki. Czy zasługuje ona na wyróżnienie, czy przeciwnie. Zauważyłem, że nawet osoby o dużych kompetencjach uginają się pod presją kandydata, jego mentora czy ich otoczenia, i starają się stosować sofistyczne sztuczki w recenzjach, żeby obronić osobę i dorobek, które na to nie zasługują; dobiera się fałszywe argumenty, żeby udowodnić, że kiepskie jest dobre.

Pana odejście z CK jednak nie jest antidotum na te patologie, które je spowodowały.

Nie jest. Są też tacy, którzy mi powiedzieli, że zdezeretrowałem, np. redaktor Marek Wroński. Jednak musiałem w jakiś sposób zmanifestować protest przeciwko zdecydowanie nagannym praktykom, które miały miejsce w Sekcji Nauk Technicznych.

Pamiętam pana wcześniejszy apel do członków komisji habilitacyjnych.

To chyba był wstęp do mojej decyzji o rezygnacji, gdy jeszcze miałem nadzieję na poprawę sytuacji. Podkreślałem w apelu konieczność bardzo wnikliwej analizy wartości dorobku naukowego kandydatów do stopnia doktora habilitowanego. Obecnie wymusza to fakt wypłynięcia do CK w pierwszych miesiącach ubiegłego roku kilkakrotnie większej niż zazwyczaj liczby wniosków awansowych. Dzieje się tak już po raz drugi w ostatniej dekadzie i wszyscy wiedzą, że nie jest to efekt „klęski urodzaju w polskiej nauce”, lecz wyłącznie zmiany procedur. Przy masowym pojawieniu się pośpiesznie przygotowywanych wniosków habilitacyjnych jakość może przegrać z ilością. Musi więc temu towarzyszyć wyjątkowo rzetelna ocena dorobku naukowego kandydatów.

Z mojego doświadczenia wynika, że wielu członków komisji habilitacyjnych większą uwagę zwraca na wskaźniki bibliometryczne niż na naukową wartość rozprawy lub cyklu publikacji, które – z mocy ustawy – stanowią zasadniczą podstawę do ubiegania się o stopień naukowy. Zapewne tylko lenistwo członków komisji habilitacyjnych sprawia, że do lektury autoreferatu ograniczają zapoznanie się z dorobkiem kandydata do awansu, bez dokładnego poznania głównego dzieła. To może skutkować nierzetelną oceną dorobku.

Przedstawiony do oceny zbiór publikacji powinien – tak jak to rozumiem – odzwierciedlać zrealizowanie określonego programu badań, który ma wyraźnie sformułowany cel i zakres, a kończącego się pewnym uogólnieniem wyników, potwierdzających założone tezy i stanowiących istotny wkład do wiedzy. Niestety coraz liczniejsze są „rozprawy habilitacyjne”, w których sztucznie łączy się w tzw. cykl wybrane publikacje, których wspólny mianownik jest sformułowany zbyt ogólnie, a całość nie spełnia wymogów ustawowych. Akceptacja takiego stanu rzeczy przez gremia decyzyjne deformuje procesy awansowe, zachęca do nierzetelności i szkodzi nauce.

Ma pan zapewne na myśli porównanie poziomu habilitacji z okresu dominacji rozpraw z przygotowywanymi obecnie?

Powołam się na własne doświadczenie. W czasach, gdy zdecydowanie przeważała habilitacja w formie książkowej i obowiązywało kolokwium habilitacyjne, wykonałem 81 recenzji, z których pięć zawierało wniosek negatywny. I tak „wyróżniałem się” wówczas ostrością oceny w swojej dyscyplinie. W ostatnich pięciu latach jako przewodniczący komisji habilitacyjnych napisałem 25 opinii. Aż w co piątej zanegowałem wartość głównego osiągnięcia kandydata.

Co zmieniła w zakresie awansów Ustawa 2.0?

Przede wszystkim nowe wymogi wywołały panikę, o której mówiliśmy. Fala trwogi, która przelała się przez polskie jednostki naukowe – a zwłaszcza uczelnie, gdzie w miejsce rad wydziałów powstały, często na bazie nawet kilku jednostek, rady dyscyplin – była nieuzasadniona. Odbieram to jako wyjątkową porażkę polskiego środowiska naukowego rozłożoną na raty. Pierwsza rata to lawina wniosków, jaka spłynęła do CK do 30 kwietnia 2019 r. Druga to wręcz obłęd w zakresie obron prac doktorskich w okresie przed 30 września. Odbywały się nawet w weekendy, a na ostatni dzień września zwoływano nadzwyczajne posiedzenia rad wydziałów, by „taśmowo” nadawać stopnie doktora.

Mówmy jednak o Konstytucji dla Nauki, czyli o przyszłości.

Cieszę się, że nie ma już obowiązku habilitowania się. Dobrze oceniam zapis, że dwie negatywne recenzje powodują negatywny finał starań habilitanta o awans. Dobrze, że komisja

habilitacyjna może przeprowadzić kolokwium habilitacyjne, choć uważam, że powinno ono być obligatoryjne.

Więcej nowych rozwiązań oceniam negatywnie: możliwość kandydowania do Rady Doskonałości Naukowej doktorów habilitowanych. Biorąc pod uwagę udział takich członków RDN w ocenie kandydatów do tytułu profesora doznaję nieodpartego skojarzenia, że np. kandydatów na mistrza egzaminują czeladnicy. Jest to nieakceptowalne. W nauce nie ma miejsca na demokrację.

Jawne głosowania nad uchwałą komisji habilitacyjnej to, obok nierzetelnych recenzji, główna przyczyna negatywnej selekcji kandydatów do grona samodzielnych pracowników naukowych. Chyba tylko brak wyobraźni i znajomości zwyczajów w polskim środowisku naukowym mógł podpowiedzieć utrzymanie tej zasady. Wydelegowanie do składu komisji trzech pracowników jednostki, w której zatrudniony jest kandydat, to w praktyce trzy głosy „tak”, nawet gdy dorobek naukowy pretendenta nie spełnia wymogów. Tylko osoba o wyjątkowo niezależnej pozycji może sobie pozwolić w takiej sytuacji na sprzeciw, czyli po prostu – na rzetelność. W takim układzie ocena dorobku nie jest obiektywna. Jeśli w opisanym układ koleżeńskim wejdzie choć jedna osoba „zewnątrzna”, to z uwagi na przewagę głosów poparcia, czyli 4:3, wynik całej procedury jest w zasadzie przesądzony ze szkodą dla nauki, a tak naprawdę także dla kandydata i jego przyszłych podopiecznych. Kilka takich sytuacji znam z własnego doświadczenia.

A jak pan postrzega kwestię przewodów doktorskich i postępowania o nadanie tytułu?

Z doktoratami nigdy nie było większego problemu, ale obserwuję obniżanie wymagań. Jestem przeciwny możliwości uzyskaniu stopnia doktora na podstawie zbioru opublikowanych i powiązanych tematycznie, zespołowo przygotowanych artykułów naukowych. Po takim doktoracie i podobnej habilitacji uczony nie nabędzie umiejętności samodzielnego pisania poważniejszych opracowań naukowych. Wyprecyzuje się natomiast w pisaniu niedługich artykułów, z ograniczoną dyskusją naukową wyników, często według jednej „matrycy”, z zamiarem szybkiego gromadzenia punktów. Za niewłaściwą też uważam możliwość uzyskania doktoratu przez osoby bez magisterium. Po nadaniu stopnia doktora taka osoba uzyskuje automatycznie wykształcenie wyższe. Stopień naukowy nie zastąpi wiedzy pozyskiwanej podczas dwuletnich studiów magisterskich. Tego faktu nie zmienia zakłęcie o najwyższej jakości osiągnięć naukowych, bowiem dobrze wiadomo, że wkrótce okaże się ono pojęciem naprawdę względnym.

Zawsze byłem przeciwny istnieniu funkcji promotora pomocniczego, która niestety pozostała, bo legalizuje ona niedostatek kompetencji – może to kompensować kopromotor – lub lenistwo promotora. To drugie, choć wysoce nieetyczne, jest dość powszechne.

Wprowadzenie przepisu, w myśl którego stopień doktora nadaje się osobie spełniającej także inne, od literalnie zapisanych w ustawie, wymagania określone przez podmiot doktryzujący, doprowadzi do nierówności wymagań w różnych jednostkach, a to – jak już wykazuje doświadczenie – skutkuje „pielgrzymkami” kandydatów do miejsc, gdzie próg wymagań jest niższy.

Najmniej kontrowersji budzą kryteria nadawania tytułu profesora, ale mnie niezmiernie dziwi brak ustawowych warunków dotyczących osiągnięć w zakresie kształcenia kadry naukowej. Zupełnie nie rozumiem popłochu zaistniałego w ostatnim roku wśród kandydatów, w sytuacji faktycznego ograniczenia wymogów uzyskania tytułu.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Hiperlękowa rzeczywistość a edukacja do słabości

Lęk znajduje doskonałe podłoże do rozwoju tam, gdzie jednostki nastawione są na rywalizację, a indywidualny sukces ma większe znaczenie niż kooperacja i wzajemne wsparcie. Ma to miejsce w tak zwanych społeczeństwach wysokich prędkości, gdzie liczy się przede wszystkim to, by być maksymalnie efektywnym i skutecznym.

Każda epoka wywołuje w ludziach jakieś obawy, kiedyś związane głównie z zagrożeniami pochodzącymi z zewnątrz – przyrodą, zwierzętami, żywiołami – obecnie częściej znajduje swe źródło w określonych stosunkach społecznych czy tradycjach kulturowych, a także, co nie mniej istotne, epatujących strachem hiperlękowych mediach. Pojawiają się diagnozy wieszczące nadejście wieku niepokoju i lęku kulturowego. O ile pod koniec XX wieku diagnozowano głównie stany depresyjne, przejawiające się w uogólnionym pesymizmie, braku wiary we własne możliwości, o tyle początek wieku XXI obfituje w zaburzenia o charakterze lękowym. Trudno definiowany niepokój wydaje się być nierozdzielnie związany z naszym istnieniem. Stąd blisko do przekonania, że w zasadzie lęków nie można uniknąć, gdyż wpisane są one w ludzką egzystencję, co powoduje swoistą ich naturalizację i bezwarunkową akceptację.

We współczesnych społeczeństwach obserwujemy stan, który można określić jako czujność lękową. To stan ciągłego napięcia, wyczekiwania na to, co złego może się wydarzyć, nieadekwatnie i w sposób wyolbrzymiony do realnych potencjalności. Strach, lęk i panika moralna stały się głównymi rysami współczesnej nam kultury. Znakomita psycholożka Karen Horney uznawała, że to właśnie kultura odpowiada za generowanie naszych lęków, dotykając najczulszego rdzenia osobowości. Mamy do czynienia z procesem, który socjolog Anthony Giddens określa mianem permanentnego wytwarzania niepewności. Prowadzi to do wzrostu poczucia wszechobecności lęków, a w konsekwencji ukształtowania utrudniających, a nawet uniemożliwiających aktywność postaw lękowych. (Szerze omówienie tego problemu odnajdzie czytelnik w tekście *Kultura lęku* (nie tylko) technologicznego, do pobrania: https://www.magdalenaszpunar.com/_publikacje/2018/MSzpunar-1.pdf.)

Lęki różnego pochodzenia stały się kulturową metaforą odsłaniającą lękowe uwikłanie człowieka ponowoczesnego. Przenikliwy filozof Peter Sloterdijk wskazuje, że przychodzi nam żyć w czasach przerażonych wspólnot, zyskujących miano pokoleń lęku. Co ważne, nauka i postęp nie wyeliminowały lęku, wręcz przeciwnie, wydaje się, że nierzadko odczuwamy

go coraz więcej i intensywniej. Niektórzy badacze sugerują, iż zachowania lękowe są obecnie u ludzi tak częste, że w sposób uprawniony możemy mówić o epidemii lęku. Badania wskazują, że nawet jedna trzecia populacji wykazuje różnego rodzaju zaburzenia lękowe, a u 6 procent przejawiają się one w sposób intensywny. U osób tych pojawia się tak zwany lęk uogólniony, a więc taki, który nie posiada skonkretyzowanego przedmiotu.

Cynizm i brak zaufania

Strach stanowi ważny sygnał ostrzegawczy dla naszego organizmu, jednak staje się on dysfunkcyjny, gdy „włączony” jest nieustannie i pojawia się niezależnie od wystąpienia źródła zagrożenia. Lęki, infekując nasze umysły niczym złowieszcze pandemie, odrzucają wszystko to, co racjonalne, co mogłoby zanegować irracjonalne podszepty, stając się *signum temporis* naszych czasów. Multiplikując się analogicznie jak plotka czy miejska legenda, konstruują narrację o współczesnym świecie, który staje się wobec nas wrogi i złowieszczy.

Noblistka Olga Tokarczuk zwracała uwagę, iż lęk jest emocją, która oddziela ludzi, sprawiając, że stają się oni wobec siebie podejrzliwi i nieufni, dzieląc świat na „swoich” i „obcych”. W takiej optyce drugi staje się wyłącznie tym, który chce nas wykorzystać do własnych celów, zniszczyć i unicestwić. Wypadkową takiego przekonania staje się cynizm i brak zaufania wobec innych, ale w konsekwencji także do samego siebie. Nieufający nikomu i niczemu człowiek poddany logice złowieszczego świata działa w myśl destrukcyjnej zasady – zniszczę albo zostanę zniszczony.

Jeśli przyjrzymy się samej etymologii słowa „lękać”, trzeba wskazać, iż pierwotnie oznaczała ona tyle co pochyłać się, zginać. Taką postawę możemy obserwować właśnie u osób załękniowych. Nie zawsze jest to kurczenie fizyczne, a raczej metaforyczne chowanie się do własnej, wewnętrznej kryjówki, gdzie embrionalna postawa ciała próbuje powrócić do prenatalnego poczucia bezpieczeństwa. Józef Tischner pisał o człowieku z kryjówki, który załękniowy zewnętrznym światem chowa się do własnego, introwertycznego azylu, odcinając się od złowrogiej rzeczywistości.

Zwykle lęk definiuje się jako przykry, intensywnie odczuwany stan złego samopoczucia, uczucie bliskiego i niesprecyzowanego zagrożenia, w zetknięciu z którym człowiek czuje się bezsilny. Strach i lęk nie są jednak tożsame, choć w ten sposób funkcjonują w potocznych ujęciach. Dla zrozumienia właściwości lęku ważne jest zwrócenie uwagi, iż owemu trudno definiowalnemu zagrożeniu niełatwo przypisać jakiś konkretny obiekt. Nie musi to oznaczać, iż obiekt lęku jest fikcyjny, bywa tak, że po prostu nie potrafimy dokonać jego konkretyzacji. W przypadku zaś strachu obiekt obawy jest z reguły łatwo definiowalny, stanowiąc reakcją na zagrożenie o charakterze realnym. Co zatem sytuacja lękowa oznacza dla jednostki? Oznacza wyczerpujący i mocno wyniszczający stan, w którym nastawiony na atak organizm, nie znając źródła zagrożenia, nieustannie czuwa w przykrym napięciu.

Brak pewności

Jak wykazują badania, występowanie lęku wiąże się z pozycją społeczną jednostki. Okazuje się, że zaburzenia lękowe dotyczą szczególnie ludzi z niższych warstw społecznych, ponieważ dysponują oni mniejszymi możliwościami, a więc i sposobami radzenia sobie z sytuacjami trudnymi, które to właśnie ich dotyczą najczęściej. Świat nie jest bowiem taki, jaki jest, ale taki, jakim się nam jawi. Jak pokazują badania Davida Altheide, przeciętny Amerykanin, pomimo że jego sytuacja życiowa jest lepsza niż jego rodziców, twierdzi, że jest bardziej narażony na zagrożenia, niż miało to miejsce dwadzieścia lat temu.

Ciekawe są także badania dotyczące sprawców najpoważniejszych przestępstw. Mówią one o tym, iż sprawcy wyjątkowo okrutnych zabójstw – zabójcy seryjni, zabójcy na tle seksualnym – charakteryzują się bardzo wysokim poziomem lęku, choć ich działania wskazywałyby na coś zupełnie przeciwnego. Okazuje się, że w przypadku tych osób wyparty całkowicie ze świadomości lęk zostaje zastąpiony w strukturach psychicznych wysokim poziomem ryzyka, brawurą, manifestowaniem odwagi, agresją i brutalnością zachowań.

Czego się lękamy? Zazwyczaj tego, co jest nietypowe, nieznanne, wychodzące poza dobrze oswojone schematy poznawcze, klisze i znane tropy. W związku z tym, iż w przeszłości trajektorie życiowe były mocno ograniczone, niepokoje i lęki były przewidywalne i dookreślone głównie przez naturę. Obecnie mówimy o refleksyjnych biografiach ludzi, którzy posiadają niemal nieskończony wybór w obszarze kształtowania swojego życia. Życie – ujmując po Baumanowsku – staje się

obecnie płynne. To proces z jednej strony pozytywny, z drugiej – permanentna niestabilność, wykorzenienie, destabilizacja rodziny, wysoka mobilność, a także brak oparcia w religii przyczyniają się do wzmożonej lękliwości ludzi. Trudno znaleźć stabilne i trwale podwaliny, na których można by się oprzeć i a priori im zaufać. Jedyna rzecz, jaka wydaje się pewna, to właśnie brak pewności.

Czego nakazują nam się bać media

Szczególnie sfera popkultury z rozkoszą produkuje lęki, eksploatując i wykorzystując je na wszelkie możliwe sposoby. Socjolog Frank Furedi uważa, że żyjemy w kulturze strachu. Właściwie dla niej jest stałe poczucie zagrożenia, którego zniesienie i wyeliminowanie z życia jest niemożliwe. Za stan ten odpowiadają głównie media, zerujące na podsycaniu, ale i generowaniu poczucia powszechności lęków. Stają się one – posiłkując się terminem Iana Wilkinsona – wielką fabryką strachu. W związku z tym, iż treści medialne są wysyczone w wysokim stopniu obrazami przemocy i negatywnym, przeceniamy obecność stra-



Rys. Sławomir Makiel

chu w naszej codzienności, a reakcje na niego stają się wyolbrzymione i nieadekwatne.

W konsekwencji niepokój zaczyna budzić te zjawiska, które realnie nie stanowią żadnego zagrożenia. Inaczej ujmując, obawiamy się raczej tego, czego nakazują nam się bać media: spektakularnych katastrof, brutalnych napadów, obcych czy dziesiątkujących nas wirusów. Parafrazując Johana Huizingę, media nie tyle nas dzisiaj zabawiają, ile zastraszają na śmierć. Pomocą w zrozumieniu tego fenomenu staje się tak zwany syndrom złego świata. Badania, znane szerzej jako teoria kultury, dowodzą, że postrzeganie rzeczywistości u intensywnych i sporadycznych widzów telewizji różni się znacząco na niekorzyść tych pierwszych. W wyniku intensywnego kontaktu z obrazami medialnymi tworzy się konstrukcja świata odczytywanego jako zagrażający i wrogie, a ocena rzeczywistości jest znacznie zniekształcona i przesiąknięta strachem. Gerbner dowodzi, iż intensywni oglądacze są przekonani, że do przestępstw dochodzi dziesięciokrotnie częściej, niż ma to miejsce w rzeczywistości, osoby takie przeceniają również możliwość doświadczenia przemocy bezpośredniej.

Za powszechność lęków, które wytwarzają media, odpowiada strategia uniwersalizacji. Dyskurs medialny wywołuje wrażenie, że wydarzenia (nawet te odległe) mogą dotyczyć każdego, stąd każdy powinien czuć się zagrożony, a przynajmniej być czujny. Funkcjonujące w ten sposób media prowadzić mogą do wytwarzania tak zwanej paniki moralnej, która przejawia się w ogólnym poczuciu zagrożenia, niepokojem i braku stabilności. Stanowi ona wyolbrzymioną, wzmocnioną przez media reakcję na niewielkie akty dewiacji. Zwykle rozpoczyna się ona od zaniepokojenia jakimś zachowaniem grupy lub jednostki, które stają się tak zwanym złem społecznym. Kolejnym elementem jest uczucie wrogości wobec tych, którzy zagrażają wartościom, interesom, a nawet egzystencji społeczeństwa. To, czy jest to zagrożenie realne, czy całkowicie imaginatywne, nie ma przy tym żadnego znaczenia. Po uczuciu wrogości pojawia się społeczny konsensus co do tego, że zagrożenie istnieje, jest realne i poważne, domaga się zatem podjęcia konkretnych działań. Ten czynnik generuje dysproporcję, czyli zaniepokojenie, które jest nieproporcjonalne do obiektywnego, możliwego zagrożenia. Kluczową rolę odgrywają tutaj media, które mogą na przykład stosować wyolbrzymione, odpowiednio zaprezentowane dane statystyczne potwierdzające skalę i istotność problemu. Wystarczy, że telewizja posłuży się odpowiednim podkładem muzycznym, tonem głosu i kadrowaniem obrazu, bo wywołać nastrój zagrożenia, a nawet panikę. Mówimy w tym przypadku o tak zwanej spirali znaczenia, która oznacza proces publicznego nadawania rangi ważności określonym problemom społecznym, przy czym sam czas ekspozycji danej problematyki w mediach może wpływać na pozycjonowanie jej doniosłości przez widzów.

Stosunek do czasu

Wydaje się, że możemy nawet mówić o powstaniu swoistej polityki lęku: określone grupy interesu przy wsparciu kontrolowanych przez siebie mediów wytwarzają pewne formy niepewności po to, by kształtować załęczoną świadomość społeczną. Załęczonymi ludźmi łatwiej bowiem sterować i manipulować, a tworzenie figury wroga pozwala owe lęki kanalizować. Jeśli dodamy do tego podsycane, wrzące emocje, nietrudno o katastrofę. Na tym właśnie zasadza się polityka lęku, by grać na emocjach, na tym co wrze, co jest niejasne, niezrozumiałe, a przez to łatwo generujące ekstremizmy i postawy wrogości.

Przy analizie zachowań lękowych ważne jest uwzględnienie perspektywy czasowej. Psychiatrzy wskazują, iż to właśnie sto-

sunek do czasu ma kluczowe znaczenie dla kondycji zdrowia psychicznego. Jak pokazują badania, osoby leczące się psychiatrycznie wykazują wyższy poziom lęku w stosunku do upływu czasu, negatywnie myślą zarówno o przeszłości, jak i o przyszłości. Na przykład pacjenci ze schizofrenią wykazują duże problemy w myśleniu o przyszłości, zaś osoby z depresją intensywnie zaabsorbowane są myśleniem o przeszłości.

Lęk może być rozumiany jako wypadkowa pewnych procesów społecznych i dominujących w danym czasie wartości kulturowych. Skoro powiedzieliśmy, że lęk ma charakter osobniczy, to czy właściwe i uprawnione jest mówienie o wieku niepokojem lub kulturze lęku? Badania Jeana Delumeau pozwalają udzielić pozytywnej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Pomocną kategorią w tym zakresie jest ukuta przez tego badacza kategoria transpozycji, która oznacza przejście emocji z poziomu jednostkowego na zbiorowy. Nie bez znaczenia jest także to, co w literaturze naukowej opisane jest jako klimat emocjonalny, charakteryzujący dominujące nastroje w jakimś narodzie lub grupie. To właśnie on określa to, co i jak odczuwamy, a także wskazuje na działania aprobowane i negowane. To, co określamy mianem kultury emocjonalnej, wskazuje na całokształt przekonań co do tego, co jednostki powinny odczuwać w danej sytuacji, a także jak adekwatnie dane emocje wyrażać.

Lęk jest emocją niezwykle destruktywną. Nie tylko utrudnia myślenie, nierzadko je uniemożliwia, sprawiając, że ludzie działają nie ku polepszeniu swej sytuacji, lecz ku ograniczeniu odbierającego chęć życia lęku, wycofując się z jakiegokolwiek aktywności społecznej. Trzeba przy tym wyraźnie wskazać, że lęk znajduje doskonale podłoże do swojego rozwoju tam, gdzie jednostki nastawione są na rywalizację, a indywidualny sukces ma większe znaczenie niż kooperacja i wzajemne wsparcie. Ma to miejsce w tak zwanych społeczeństwach wysokich prędkości, gdzie liczy się przede wszystkim to, by być maksymalnie efektywnym i skutecznym. Jednostki pozostają z dojmującym wrażeniem, że „nie są dość” atrakcyjne, szczupłe, bogate, kreatywne, dobrze zarabiające. Goniąc za czymś, co stale przesuwa horyzont pragnień i staje się nieuchwytnie, wpędzają same siebie w stan niezadowolenia i rosnącej frustracji, gdyż „dosyc” i satysfakcja nie nadchodzą nigdy. Biegniemy za chimera ideału, który nie istnieje, zatem zrealizowanie go jest niemożliwe.

W społeczeństwach, w których przyznawanie się do słabości stanowi nieakceptowaną wadę, trudno otwarcie mówić o własnych lękach, niepewnościach i okazywać słabość. To, że jednak o czymś mówić nie chcemy, wykluczamy z dyskursu, odwracamy oczy, nie rozwiązujemy problemu. W rzeczywistości polskiej edukacji brakuje tego, co proponuję określać mianem edukacji do słabości. Oznacza ona przyzwalanie na to, że ma się pełne prawo do gorszego dnia, że nie zawsze trzeba być na sto procent, że wątpliwości i rozterki powinny być akceptowane, wskazując na wysoki stopień refleksji. Przyznawanie się do własnych obaw i lęków nie powinno stanowić czegoś, przed czym należy się bronić i czego należy unikać za wszelką cenę. Trzeba dać sobie pełne prawo do słabości. Po latach pracy akademickiej jestem przekonana, że równie ważne jak przekazywanie różnorodnych teorii czy koncepcji, które stanowią istotę procesu dydaktycznego, jest uczenie tego, jak radzić sobie z trudnościami życiowymi, akceptować własną niedoskonałość, braki i egzystencjalne pęknięcia. To właśnie słabość czyni nas ludźmi, oddalając od perspektywy niezawodnie skutecznego, acz emocjonalnego zombie.

Dr hab. Magdalena Szpunar, prof. UJ, socjolog, pracuje w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Andrzej W. Nowak

Czy przegrywamy wojnę idei?

Wbrew stereotypowi to nie osoby w „czapeczce z aluminiowej folii” chroniącej przed promieniowaniem telefonów komórkowych są odpowiedzialne za to, że poglądy irracjonalne załamywały sferę publiczną.

Związki pomiędzy lękami i nauką trzeba rozpocząć od przypomnienia oświeceniowo-racjonalistycznej obietnicy, dzięki której nauka uzyskała tak wysoki status w nowoczesności. Nauka, poznanie naukowe, a następnie technonaukowy sukces pragmatyczny były obietnicą wyzwolenia ze świata przygodności i determinizmów. Zarówno natura zewnętrzna, jak i wewnętrzna miały zostać okiełznane. Condorcet, pisząc na wyścigi ze śmiercią swój *Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje*, miał nadzieję, że uda nam się rozszerzyć królestwo wiedzy, rozumu i pewności. To właśnie pewność miała nam pozwolić opanować lęki, zakończyć setki lat życia w strachu, w świecie, w którym każda złamana noga czy rozwolnienie mogły oznaczać śmierć, a choroba rodzica to poniewierka albo i śmierć dzieci. To koniec świata, w którym wiosnę wita się z lękiem, martwiąc się, czy wystarczy zapasów. To nadzieja na świat, w którym nie trzeba zimą wyganiać starców na mróz.

Condorcet był matematykiem, statystykiem – to ważne, ponieważ naukowa możliwość racjonalnego opisu, a następnie oszacowania go pozwoliły na to, aby obietnica nauki została częściowo spełniona: świat przestał przerażać swą przygodnością, gdyż przynajmniej częściowo został uporządkowany. Racjonalność widziała samą siebie w świecie, który uprzednio przekształcała.

Na końcu swego traktatu Condorcet szkicował plan ubezpieczeń społecznych, systemu szacowania ryzyka i racjonalnego sposobu opanowania go przez aparat państwowy dla dobra całego społeczeństwa. Uwagi te zostały potwierdzone przez ówczesną praktykę. Jak wskazują Foucault i Hacking, szacowanie ryzyka, sprzężenie statystyki i państwa pozwoliły na wytworzenie tzw. urzędów bezpieczeństwa, czyli – dzięki statystyce, biurokracji i racjonalizacji rzeczywistości – zarządzanie tym, co do niedawna wydawało się podlegać jedynie kaprysom przyrody albo bóstw: głodem, powodzią, chorobami. W toku rozwoju nowoczesności państwo i nauka sprzęgały się coraz silniej, połączone z nowoczesną edukacją powszechną nie tylko rugowały obszary tego, co budziło lęk, ale porządkowały rzeczywistość, racjonalizowały ją. Wraz z symbolicznym wprowadzeniem systemu metrycznego początkowo Francja, a następnie dal-

sze części Europy i świata zaczęły być coraz bardziej more geometrico.

Przesyłka zwrotna i spłacanie długów

Nowoczesność, której symbolem był mariaż nauki i państwa (początkowo imperiów, później państw narodowych), swój sukces zawdzięczała temu, że owa maszynieria usuwania niepewności (a więc i lęków) była aż nadto skuteczna. Mariaż państwa i nauki, tak efektywny w zmienianiu rzeczywistości, zaczął coraz wyraźniej ujawniać swe faustowskie oblicze. Znamy to dobrze, pierwsze krytyki nazbyt pospiesznego rugowania dziwności świata, nazbyt pospiesznego odcinania się od lęków pojawiły się ze strony takich osób jak Humboldt czy Goethe, starających się zachować równowagę pomiędzy oświeceniową racjonalizacją rzeczywistości i jej przekształcaniem a romantycznym kontemplowaniem jej wraz z przyzwoleniem zarówno na zachwyt jak i na misterium tremendum.

Nie miejsce tutaj na pełen rys historyczny, warto jednak zauważyć, że głos optymistyczny przez dziesięciolecia dominował, ze swoją kulminacją w latach „wysokiej nowoczesności” (high modernizm) 1945-1960. Niestety przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, globalna rewolta 1968 roku, aż po kryzys naftowy oraz załamanie się pewności co do trendu sekularyzacyjnego, symbolizowane przez Chomeiniego oraz Jana Pawła II, wyznaczyły kres tego optymizmu. To, co wyparte, zaczęło domagać się uwagi. Racjonalność i jej przymierze z nauką i techniką stały się problematyczne. Zamiast przynosić stabilizację i niweczyć lęki, same zaczęły być ich źródłem.

Oczywiście jednym z głównych problemów był zimnowojenny strach przed zagładą atomową. Ruch antyatomowy, oprócz rozsądnych postulatów walki o jedynie pokojowy atom, stał się niestety rozsądkiem antynaukowych wystąpień. Podobnie rosnące zainteresowanie problemami środowiska, symbolizowane przez książkę Rachel Carlson *Silent Spring*, roznieciło falę reakcji. I podobnie jak z atomem, część z nich to były rozsądne głosy domagające się regulacji przemysłu i biznesu, ale niestety część zasilila chemiofobiczne i naukofoficzne ruchy neoluddyczne. Wreszcie symbolem – późniejszym – stał się Czarnobyl. Rok 1986 to zarówno pamiętna katastrofa w elek-

trowni jądrowej, jak i data wydania książki Ulricha Becka *Spoleczeństwo ryzyka*. Od tej pory nie pewność, lecz ryzyko stało się wyznacznikiem nowoczesności. Także wiara w dobro, jakie przynosi racjonalne planowanie, została podana w wątpliwość, a symbolem owego zwątpienia była Brasília, najdoskonalej wcielona utopia oparta na ideach Le Corbusiera, Oscara Niemeyera, Lucio Costy i Karty Ateńskiej.

Obiekcje czy można racjonalnie uporządkować rzeczywistość, które zaczęły się mnożyć wraz z krytyką rozwiniętej nowoczesności, stały się powszechne, a przykładem ich może być książka *Seeing Like a State: How Certain Schemes to Improve the Human Condition Have Failed* napisana przez Jamesa C. Scotta.

Przytłoczona ciężarem „przesyłek zwrotnych”, nieoczekiwanych efektów własnych działań, nowoczesność refleksyjna zgodnie z nazwą musiała zmieścić w sobie zarówno dawne nowoczesne ambicje, jak i uporanie się ze skutkami ubocznymi, z wypartymi i nieprzewidzianymi skutkami działań.

Wszystko to zaowocowało katastrofalnymi następstwami dla naszych „światów życia” (lebenswelt) i możliwości kulturowej, psychologicznej „obróbki” rzeczywistości. W świecie przednowoczesnym, kiedy nasze światy życia ulegały zachwianiu (np. przez śmierć osób bliskich, pandemię, wojnę), istniały tradycyjne, religijno-filozoficzne sposoby ponownej stabilizacji. Jak wskazywał Krzysztof Abriszewski w swej książce *Kulturowe funkcje filozofowania*, przykładem takiej strategii są *Wyznania* napisane przez św. Augustyna po śmierci przyjaciela. W świecie przednowoczesnym mieszanka myślenia apokaliptycznego, zdanie się na los pozwalały poradzić sobie z realnością zagrożenia. Lęki, strach były dzięki temu osławiane.

Jak wspomniałem wyżej, nowoczesność radziła sobie inaczej, z jednej strony walczyła z tym, co powodowało lęki, poprzez likwidację źródła (racjonalizacja i zmiana świata), z drugiej – w przypadku tych źródeł lęku, których łatwo się usunąć nie dało – wypierała je. Dziś, w epoce drugiej, refleksyjnej czy – jak pisał Bauman – płynnej nowoczesności, doświadczamy równocześnie dwóch procesów. Mamy do czynienia z uświadomieniem sobie nowych źródeł lęków (zmiana klimatyczna, zanieczyszczenie środowiska, złożoność technologiczna etc.), które są o tyle problematyczne, że pozostają częścią dawnego rozwiązania. Jak pokazuje przykład ruchów antyszczepionkowych, znikome ryzyko pojawienia się relatywnie mało szkodliwego odczynu poszczepiennego jest źródłem lęku o wiele silniejszego i łatwiejszego do politycznego zagospodarowania niż lęki przed chorobami zakaźnymi, powodowanymi przez nie śmiercią czy powikłaniami. Destabilizacja naszych światów życia przez nazbyt złożoną rzeczywistość nie są już łagodzone przez skuteczny w nowoczesności mariaż nauki i państwa. Steve Fuller mówi, że w ponownie zaczarowanym świecie neoliberalnym grozi nam światopogląd karmiczny: powrót wiary w przeznaczenie, tym razem jednak przybierający postać „bioliberalizmu”, czyli przekonania, że los jednostki predestynują geny i IQ.

Odin, dwa, tri – w świecie bez „Sondy” rodzi się Kaszpirowski

Proces ten przyspieszył wraz z upadkiem „realnego socjalizmu”. Obietnice sięgające jeszcze rosyjskiego kosmizmu (Fiodorow, Ciołkowski), nadzieje na podbicie przyrody, wyrugowanie chorób (a nawet śmierci) nie zostały wypełnione. Związek Radziecki się rozpadł, a symbolami zawiedzionych nadziei były katastrofa w Czarnobylu i wysychające morze Aralskie. Przestaliśmy wierzyć, że mariaż nauki, techniki i państwa pomoże w zapanowaniu nad światem. Zrobiliśmy to dokład-

nie w tym samym czasie, w którym złożoność systemów eksperckich oraz to, w jaki sposób zaczęły one kształtować nasze światy życia, osiągnęły poziom jak nigdy dotąd. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych straciliśmy (bezwrotnie?) pewną szansę. Byliśmy w sytuacji doktora Frankensteina, oto nasze dzieło – nowoczesność – ujawniło się wraz z wszystkimi wadami, potwornościami, ale niestety, jak twierdzi Bruno Latour, powtórzyliśmy błąd: zamiast adoptować, zrozumieć potwora i go poprawić – wygoniliśmy go w ciemność. Dziś już nie pamiętamy, że krytykiem ZSRR był nie tylko religijno-nacjonalistyczny Solżenicyn, ale i Sacharow – wierzący w konwergencję, uniwersalny, demokratyczny, oparty na racjonalności naukowy świat.

W humanistyce nadkrytyczna krytyka nowoczesności, symbolizowana przez postmodernizm, nie podsunęła rozwiązania dla nowej nadłożonej fazy nowoczesności, ale jako rozwiązanie zaproponowała podminowanie racjonalności i uniwersalizmu. Zamiast kontynuacji nowoczesnej pracy na rzecz stabilizacji rzeczywistości i odczarowywania, nastąpiło jej ponowne zaczarowanie. Nie bez winy są tu też inspiracje czerpane z nauk przyrodniczych – jak pokazuje Adam Curtis w swoim hipnotycznym filmie dokumentalnym *All Watched Over by Machines of Loving Grace*, trzy z nich najsilniej wspierały proces ponownego zaczarowania rzeczywistości oraz odejście od wiary w możliwość racjonalnego nią kierowania, odpolitycznienia: niektóre interpretacje neodarwinizmu, cybernetyki i teorii systemu oraz nadużywanie metafory ekosystemu. Wszystko to w połączeniu z „ideologią kalifornijską” doprowadziło w latach dziewięćdziesiątych do legitymizacji neoliberalizmu i wiary, że rzeczywistość „sama się zorganizuje”, a zasadą owej organizacji jest „wolny rynek”.

W tym miejscu dochodzimy do ważnego momentu: kto zyskał na tym, że przestaliśmy wierzyć w możliwość porządkowania rzeczywistości? Kto był i jest beneficjentem świata, w którym kultura jest przeniknięta przez nowe zaczarowanie, a jedyną „racjonalnością” społecznie postrzeganą jest ta definiowana przez neoliberalny sposób myślenia? Do tego – jak pokazali Philip Mirowski w *Science-Mart: Privatizing American Science*, Henry A. Giroux w *Neoliberalism's War on Higher Education* czy Colin Crouch w książce *Psucie wiedzy. Ukryte skutki finansowego zawłaszczania życia publicznego* – neoliberalizm okazał się wyjątkowo zgubny dla systemu wiedzy. W okresie stabilnej nowoczesności naukowcy byli w trudnym sojuszu z państwem (i wojskiem!) i odpowiednio kapitalistyczną albo „realnie socjalistyczną” ekonomią. Przykładowo wysoki prestiż fizyki teoretycznej jest ściśle związany z sukcesem programu Manhattan i rozwojem broni atomowej. Po okresie 1989-1991 alternatywa socjalistyczna przestała się liczyć (nawet jeśli nigdy tak naprawdę nie była w pełni ani alternatywna, ani socjalistyczna). To spowodowało, że ów wymuszony sojusz został poważnie nadwątlony – z trudnego sojusznika nauka i szkolnictwo wyższe stały się dla rynku zasobem do zużycia. To spowodowało poważną erozję stabilizacyjnej i regulacyjnej roli, jaką (techno)nauka odgrywała w społeczeństwie. Stając się zasobem dla rynku, nauka nie jest dłużej częścią tych sił, które w imię racjonalności właśnie rynek starały się regulować i kontrolować.

Warto też przypomnieć, że rozwinięcie się internetu, początkowo w imię innowacyjności niepoddanego takiej kontroli jak prasa czy telewizja, stało się dziś jedną z ważniejszych społecznie „infrastruktur lęku”. Urynkowanie informacji, pogoń za „klikalnością”, wytworzenie pozoru debaty przez umożliwienie wypowiedzi wszystkim uczyniły z internetu, szczególnie tego z okresu sieci społecznościowych, podstawowy generator społecznych lęków, także tych związanych z nauką. Aby nie zatrzy-

mać się jedynie w tym miejscu analizy, warto od razu zauważyć, że to nie sam internet jest problemem, lecz brak regulacji i urynkowanie informacji i komunikacji.

Handlarze strachem i ignorancją

Dziś wiemy, że korelacja pomiędzy neoliberalizacją kapitalizmu, deregulacją a szerzeniem się strachu, lęków nie jest przypadkowa. Przynajmniej od czasu książek Naomi Oreskes i Erika M. Conwaya *Merchants of Doubts* oraz Jane Mayer *Dark Money. The*

Hidden History of the Billionaires Behind the Rise of the Radical Right, śledząc powiązania instytucjonalne oraz finansowe, możemy analizować, w jaki sposób wpływowi i zamożni osoby pokroju braci Koch wpływały na politykę, poglądy i upowszechnianie się pewnych światopoglądów oraz wytwarzały funkcjonalne dla nich strach, wątpliwości i ignorancję. Na przełomie lat 60. i 70., zdaniem wielu wpływowych i bogatych osób, USA zaczęły zmierzać w złym kierunku, a oznaką tego były bunt studentki, osiągnięcia ruchu praw obywatelskich, rodzący się



rys. Sławomir Mielak

ruch ekologiczny. Ruchy te miały jeden wspólny czynnik: bezpośrednio albo pośrednio zaczęły domagać się ograniczenia dla dużych przedsiębiorstw i korporacji.

Jesteśmy dziś bardziej świadomi roli internetu w szerzeniu fake newsów, nakręcania spirali paniki, a dzięki wspomnianym wyżej badaczkom i badaczom wiemy dużo więcej o uwarunkowaniach instytucjonalnych i ekonomii politycznej irracjonalizmu. Dlatego kluczowe jest spostrzeżenie, że irracjonalne poglądy nie są w przeważającej mierze dziełem „szaleńców”, osób siedzących w piwnicy i łączących czerwoną nitką zdjęcia UFO z wycinkami z gazet przypiętymi na ścianie. Wbrew stereotypowi to nie osoby w „czapeczce z aluminiowej folii” chroniącej przed promieniowaniem telefonów komórkowych są odpowiedzialne za to, że poglądy irracjonalne załamy sferę publiczną. Takie osoby też istnieją, ale są raczej efektem procesu, raczej symptomem niż przyczyną. Analiza współczesnego irracjonalizmu przesunęła się z epistemologii sprawdzania prawdziwości poglądów i szukania kryteriów demarkacji fałszu od prawdy w stronę szukania mechanizmów socjologicznych, instytucjonalnych, ekonomicznych, które stabilizują i umożliwiają szerzenie danych poglądów. Wszystko to spowodowało, że dziś jesteśmy już bardziej zaawansowani w analizie współczesnego irracjonalizmu, a także że perspektywa jego analizy stała się silnie upolityczniona i nie stroni od odwołań do analizy ekonomicznej (follow the money).

Dyskusja wokół globalnego, antropogenicznego ocieplenia ujawniła, że denialści zmian klimatycznych to nie wspomniane „dziwne osoby w foliowych czapeczkach”, ale koncerny naftowe, które choć od lat dysponowały wiedzą o globalnym ociepleniu na swój prywatny użytek, zaś dla opinii publicznej produkowały i wspierały denializm klimatyczny. Podobnie ruch antyszczepionkowy: oprócz przestraszonych złożonością świata i medycyny rodziców gromadzi on też „zawodowych antyszczepionkowców”, którzy na niszczeniu podstaw zdrowia publicznego robią kariery polityczne i pieniądze. Nazywane jest to strategią FUD (Fear, Uncertainty and Doubt) i ściśle wiąże się z funkcjonowaniem neoliberalnego kapitalizmu. Szerzenie strachu, zwiększanie atomizacji społecznej, podrywanie zaufania społecznego do instytucji publicznych jest funkcjonalne dla świata, w którym rządzi „prawo silniejszego”. Tymi silniejszymi mogą być ruch religijny, obracający miliardami koncern czy wpływowa organizacja polityczna. Dzieje się tak, gdyż kiedy przestaje działać siła racji, to zaczyna działać racja siły.

Prawozorem tego była tzw. strategia tytoniowa, czyli opisana przez Oreskes i Conway taktyka, jaką przyjęły początkowo koncerny tytoniowe w sporze o korelację pomiędzy paleniem papierosów a nowotworami. Przestraszone możliwością wypłaty odszkodowań i utraty zysków koncerny wynajęły agencje PR, aby znaleźć rozwiązanie. Dość szybko się okazało, że będzie bardzo trudno zaatakować bezpośrednio badania dotyczące nowotworów i im zaprzeczyć. Znalaziono jednak szybko inny sposób, zaczęto „sprzedawać wątpliwości” („doubt is our product”). Zaczęto wytwarzać równoległy obieg ekspercki, raporty, organizować konferencje, „fakty medialne”. Wszystko po to, aby stworzyć wrażenie, że wokół tego zagadnienia wciąż toczy się debata naukowa, a jej wyniki nie są ani pewne, ani ostateczne. Takie „sceptyczne” stanowisko, domaganie się stuprocentowo pewnych danych dobrze „sprzedawało” się publicznie, tym bardziej że ówczesne społeczeństwa zaczynały być coraz bardziej krytyczne wobec nauki, państwa i planowania. Koncerny tytoniowe, podobnie jak w późniejszym okresie naftowe, wytwarzały własne ekspertyzy naukowe, które odpowiednio potwierdzały szkodliwość palenia tytoniu i wpływ spalania paliw kopalnych na zmianę klimatyczną. Tyle tylko, że dla szerszej sfery publicznej prezentowały bardziej „sceptyczne”

i „zatroskane” oblicze. Głównymi „złymi” w tej opowieści są George Marshall Institute, Tobacco Industry Research Committee, Amerykański Instytut Naftowy (API), Cato Institute, Hertland Institute i ich sponsorzy: ExxonMobil, Philip Morris C., Tinto Group, General Motors. Warto też wymienić naukowców, którzy w dużej mierze stali za rozwojem i legitymizowaniem tej strategii: William Nierenberg, Robert Jastrow, Frederick Seitz, Fred Singer. Nieprzypadkowo byli oni w czasach zimnej wojny „jastrzębiami” związanymi z przemysłem i wojskiem, a po jej zakończeniu swą energię w walce z „czerwonym zagrożeniem” (Red Scare) przekuli w walce z jakimikolwiek próbami regulacji wielkiego biznesu i korporacji. W świecie mnożenia wątpliwości społeczeństwo pozostawione wobec zamętu nie ma narzędzi, aby móc skutecznie walczyć z zagrożeniami.

Przykładem politycznej wagi istnienia uregulowanej metrologii z rodzimego podwórka jest długoletnia walka działaczy środowiskowych i miejskich, aby upowszechnić świadomość dotyczącą poziomu smogu. Wiarygodne metrologiczne, dostępne publicznie dane są pierwszym krokiem do tego, aby dane zjawisko oszacować, a następnie podjąć racjonalną politykę zmniejszenia zagrożeń. W przypadku smogu wiemy, że wymaga to ograniczeń, które dotkną przemysł samochodowy, spalanie węgla w starych piecach czy drewna w kominkach klasy średniej. Szerzenie wątpliwości, rozciąganie dyskusji w nieskończoność, mnożenie kontrekspertryz, wytwarzanie alternatywnych „ekspertów medialnych” mają na celu rozpalanie nieistniejącej kontrowersji, przeciąganie jej, co pozwoli przeciągnąć okres, w którym nie dokona się racjonalna regulacja dotycząca danego problemu. Widzimy na przykładzie smogu, ale też dobitnie na przykładzie zmiany klimatycznej, że szerzenie zamętu, strachu i wątpliwości jest funkcjonalne dla tych, którzy nie chcą się poddać regulacji opartej zarówno na wiedzy evidence based, jak i towarzyszącej jej pronaukowej, proracjonalnej woli politycznej.

Wysłuchajcie wszystkich, lobbysta rozpoznaj swoich

Kończąc, pragnę wyrazić zaniepokojenie proponowaną przez MNiSW nowelizacją Konstytucji dla Nauki i propozycją powołania komisji do spraw wolności w systemie szkolnictwa wyższego i nauki. Sprowokowane sprawą dyscyplinarną prof. Ewy Budzyńskiej zmiany mają na celu wymuszenie na uczelniach wolności głoszenia poglądów. Okoliczności ogłoszenia noweli uwikłane są w aktualne „wojny kulturowe” i zaskakująco korelują z podobną propozycją kontrowersyjnego think tanku Ordo Juris. Sprowokowana doraźnym sporem nowelizacja jest niebezpieczna, gdyż otwiera uczelnie na wpływ wszelkich działań lobbystycznych, wykraczających dalece poza kontrowersję wokół prof. Budzyńskiej i siły w to zaangażowane. Przymuszenie uczelni, aby stały się hyde parkami, to spowodowanie, że liczyć się będzie głos najsilniejszy, najgłośniejszy, a nie ten uzasadniony, oparty na badaniach evidence based. Konfiguracja tego, kto jest najsilniejszy, pewnie będzie zmienna w czasie, podobnie jak sojusze, ale kluczowa jest niebezpieczna zasada: nie liczy się racja, lecz ilość pieniędzy, liczba „lajków”, odsłon internetowych, tekstów w prasie.

Jak wskazałem wyżej, w epoce neoliberalnej rozprzęgnięcia sojuszu nauki i państwa nadwątlilo jej stabilizacyjną rolę. Świat nauki postrzegany jest jako ten, który zamiast uspokajać i stabilizować nasze światy życia, przyczynia się często do destabilizacji i zamętu. Legitymizacji nauki nie pomoże to, że uniwersytety staną się areną starć pozanaukowych lobbystów.

Dr hab. Andrzej W. Nowak, prof. UAM, filozof, Instytut Filozofii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Interesuje się problematyką z zakresu ontologii, w tym ontologii społecznej, studiów nad nauką oraz socjologią wiedzy.

Łukasz Jach

Naukowe lęki i nadzieje w świecie sprywatyzowanych przeżyć

Konieczność przyjęcia stanowiska naukowego wbrew własnym przekonaniom, a zarazem niejako pod prąd utrwalonym tendencjom obcowania ze sprywatyzowanymi przekazami, może budzić opór i tendencje do bagatelizowania płynących ze świata nauki doniesień.

„Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. (...) W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki”.

Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*

„Martwa Gwiazda rozświetlała kosmos przez godzinę i dwadzieścia pięć minut, po czym nagle znikła. Dopiero wtedy sieć radioteleskopów mogła odkryć jej pozostałości – szybko obracającą się gwiazdę neutronową, która wysyłała wyraźnie wyodrębniony impuls elektromagnetyczny. (...) Pojawienie się Martwej Gwiazdy było niewątpliwie ważnym wydarzeniem w historii ludzkości. (...) Mimo to świat fascynował się tym ciałem niebieskim zaledwie dwa tygodnie”.

Cixin Liu, *Era supernowej*

Nic nowego pod Słońcem

W swojej pracy pod tytułem *Nowoczesny mit. O rzeczach widzianych na niebie* Carl Gustav Jung zastanawiał się nad tym, dlaczego w drugiej połowie XX wieku pojawiają się tak liczne doniesienia o rzekomo widzianych na niebie statkach kosmicznych. Szwajcarski psychoanalityk dostrzegł analogie pomiędzy treścią tych opowieści a występującymi w dotychczasowej historii ludzkości przekazami na temat objawień bóstw, aniołów czy herosów. Zdaniem Junga w komunikatach tego rodzaju dochodzą do głosu uniwersalne, niezależne od miejsca i czasu aspekty ludzkiej psychiki, zaś ich zawartość zależy od aktualnego kontekstu. W świecie, w którym ludzkość rozszarpała atom, opracowała silniki rakietowe i wystrzeliła sondy kosmiczne, prze-

kazy rodem z mitów i legend tracą siłę oddziaływania. Na ich miejsce pojawiają się jednak nowe, dla których paliwem są najnowsze odkrycia naukowe.

Na podobne zjawisko zwrócił uwagę w jednym z tekstów zamieszczonych w zbiorze *Niebezpieczne idee we współczesnej nauce* Jordan Pollack. Według cybernetyka niektóre przekazy formułowane na podstawie ustaleń współczesnej nauki przypominają wizje zagłady rodem z dawnych proroctw religijnych, mówiących o wydarzeniach mających nadejść w czasach ostatecznych. W noworocznym numerze „Tygodnika Powszechnego” (nr 1-2/2020) Łukasz Lamża podjął temat lęków związanych z globalnymi wydarzeniami mogącymi zająć lub się nasilić w XXI wieku. Wszystkie opisane tam niepokoje – od ocieplania się klimatu, przez projektowanie ludzi dzięki metodom inżynierii genetycznej, na przejęciu kontroli bądź zniszczeniu ludzkości przez Kurzweilowską cyfrową osobliwość kończąc – mają swoje źródła w sferze nauki i technologii. Co ciekawe, ani słowem nie wspomina się tam o lękach związanych z wojną, zjawiskiem znanym ludzkości od zarania dziejów, którego emanacją był jeden z czterech jeźdźców Apokalipsy.

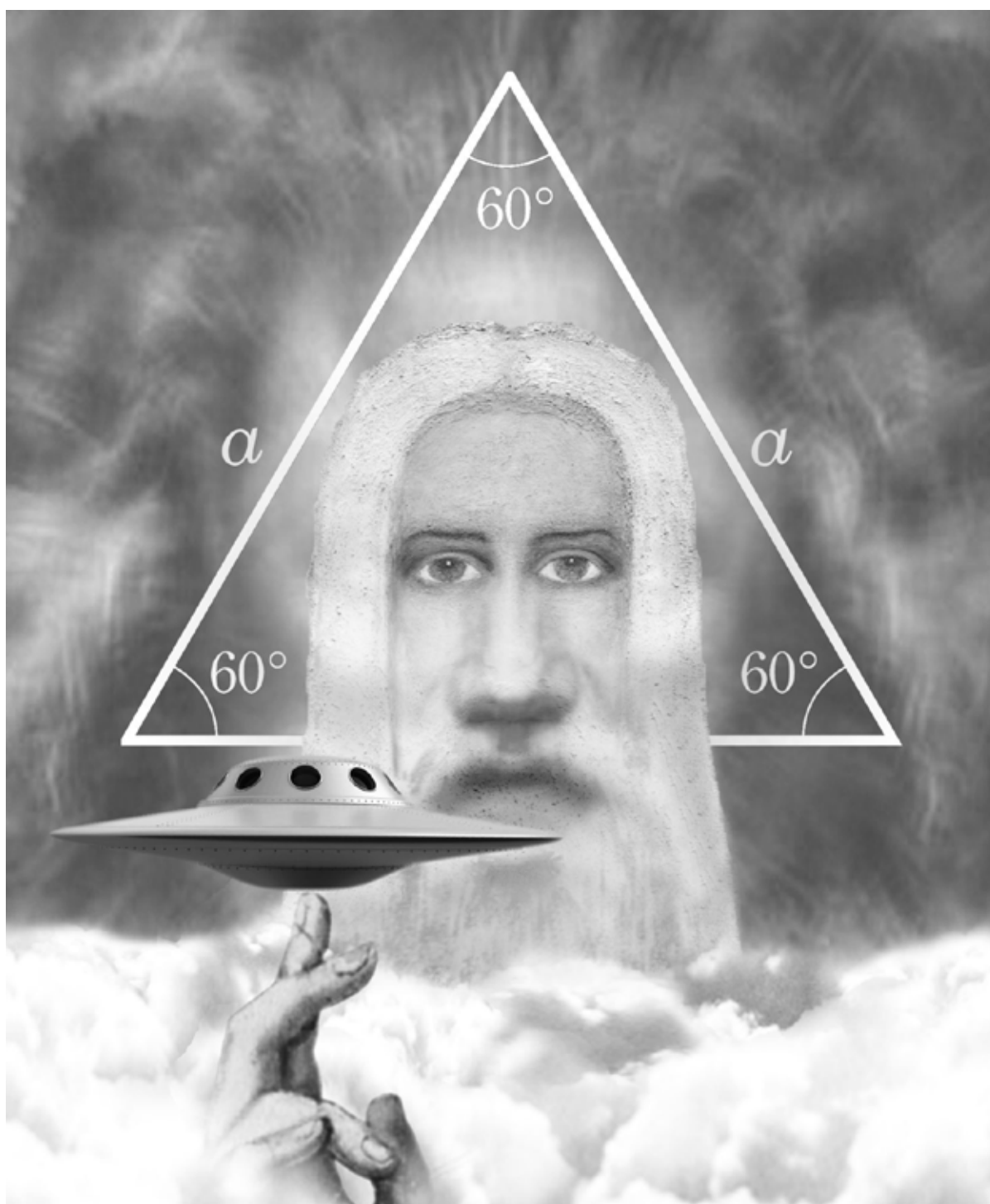
Na podłożu kontekstu naukowego powstają jednak nie tylko budzące strach wizje zagłady, lecz także tchnące nadzieją obietnice naukowego raju. Postulaty ruchów trans- i posthumanistycznych obejmują wykorzystanie naukowych odkryć i dokonań w celu podarowania ludziom tego, o czym wspomina się w przekazach religijnych: eliminacji bólu, wyzwolenia od ograniczeń ciała, rozwinięcia osobistych zdolności, prawdziwej równości między ludźmi, a nawet osiągnięcia nieśmiertelności. Helge Kragh w *Wielkich spekulacjach* omawia nawet współczesne koncepcje eschatologii fizycznej, odnoszące się do ostatecznych losów wszechświata i zanurzonego w nim człowieka.

Naukowa platforma streamingowa

Powyższe konteksty oraz stereotypowe skojarzenia mówiące o nauce jako źródle, z którego można głównie czerpać, zdają się sugerować, że człowiek „pochwycony” przez treści zawierające naukowy kod będzie przeżywał coś w rodzaju doświadczenia religijnego rodem z koncepcji Rudolfa Otto, gdzie przeżycia grozy, tajemnicy i mocy przeplatają się z fascynacją i poczuciem uwznioślenia. Sytuacja wydaje się nieco bardziej złożona, jeśli wziąć pod uwagę diagnozy Jacka Dukaja. W zbiorze esejów zatytułowanym *Po piśmie* zauważa on, że współczesnymi sposobami odbierania przez człowieka dowolnych treści zarządzają mechanizmy kultury transferu przeżyć oraz daleko posuniętej indywidualizacji. Dukaj wskazuje, że o ile w dotychczasowych dziejach trwały epoki przekazu słownego i pisemnego, o tyle dziś – za sprawą rozwoju nowych technologii – liczy się przede wszystkim możliwość osobistego doświadczenia, zanurzenia w opowiedzianą historię i przeżycia związanego z nią pakietu emocji. Jakkolwiek silne, przeżycia te powinny mieć jednak głównie prywatny charakter, dając człowiekowi poczucie doświadcze-

nia czegoś zarazem niepowtarzalnego, jak i doskonale dopasowanego do jego kondycji, potrzeb i światopoglądu. Przekazy niedopasowane, niewpisujące się w dotychczasowy profil, doświadczane są jako nieprzyjemne, budzące lęk i motywację do szybkiego powrotu ku temu, co już oswojone, a trend ten wzmacniają dodatkowo zaawansowane algorytmy przetwarzające dane o naszej cyfrowej aktywności. Sprawia to, że współczesny człowiek może spędzić wiele godzin, przeglądając programy informacyjne, ofertę Netflix'a czy stronę główną Facebooka, ani razu nie napotykając treści niezgodnych ze swoimi zainteresowaniami czy punktem widzenia.

Z punktu widzenia reguł związanych z kulturą transferu przeżyć przekazy osadzone w kontekstach naukowych zdają się bardzo dobrze zaadaptowane do współczesności. Jako emanacje jakościowych, emocjonujących narzędzi oddziaływania można wskazać tu chociażby hucznie celebrowane festiwale nauki, działalność popularyzatorów przybliżających sekrety nauki w oddziałujących na wszystkie zmysły eksperymentach czy półki sklepów z zabawkami uginające się od zesta-



wów małego naukowca bądź małego programisty. Spójrzmy w tym kontekście na tytuł książki Neila de Grasse Tysona *Astrofizyka dla zabieganych*: z jednej strony obiecuje się tu wejście w świat zaawansowanych zagadnień naukowych, z drugiej zaś możliwość przyswojenia treści bez specjalnie dużego wysiłku oraz konieczności dokonywania zmian w rutynie dnia codziennego. W połączeniu z zamieszczonym w górnej części okładki napisem „Bestseller nr 1 w USA” otrzymujemy zaś następujący komunikat: „Uwaga! O tym wiedzą i mówią prawie wszyscy! Jeśli nie znasz – przeczytaj, a łatwo wrócisz do głównego nurtu informacji”. Pewne niedogodności mogą jednak sprawiać awersja do nudy oraz pogoń za nowością i widowiskowością, także charakteryzujące współczesną kulturę. Nie co dzień w mediach pokazywane są fotografie powierzchni Plutona przypominające profil Disneyowskiego psa o tym samym imieniu (Pluto), zdjęcia opisywane jako portret czarnej dziury, testowe starty rakiet przystosowanych do lotów załogowych czy informacje o narodzinach modyfikowanych genetycznie bliźniąt. Etykiety sensacji przykleja się więc niekiedy do treści, które z punktu widzenia samych naukowców wydają się być znacznie mniej spektakularne. Na rynku prasy można znaleźć tytuły dotyczące tematów naukowych, ale formalnie mające wiele wspólnego z tabloidami i podobnie jak one opierające się na silnie emocjonalnych przekazach, zarządzających między innymi lękami oraz nadziejami swoich odbiorców.

Drugi z wymienianych przez Dukaja aspektów współczesnego przeżywania kultury jest z punktu widzenia relacji pomiędzy nauką a szerokim gronem jej odbiorców nieco bardziej problematyczny. Trudno bowiem pogodzić wartości naukowe, takie jak obiektywność, intersubiektywność i wolność w komunikowaniu prawdy, z postulatami radykalnego indywidualizmu, w którym każda jednostka może uważać własne przekonania i upodobania za obowiązujący kontekst doboru i oceny docierających treści. W rzeczywistości złożonej z osobistych baniek informacyjnych nauka nie pełni funkcji „opowiadacza” o świecie, ale raczej dodatkowego kontekstu uwiarygodniającego lub ubogacającego opowieści snute przez poszczególne osoby. Zapotrzebowanie na konkretne treści naukowe nie jest w tym przypadku punktem wyjścia do wyrabiania sobie określonego światopoglądu, ale raczej jego konsekwencją. Najdobitniej ujął to Jonathan Haidt mówiąc, że zbiór istniejących obecnie wyników badań naukowych jest jak postawiony na przyjęciu szwedzki stół, na którym każdy znajdzie coś dla siebie.

I w tym właśnie miejscu może tlić się zarzewie strachu przed nauką – nie tyle ze względu na treść jej przekazów, ile specyficzną formę obcowania z nią. Konieczność przyjęcia stanowiska naukowego wbrew własnym przekonaniom, a zarazem niejako pod prąd utrwalonym tendencjom obcowania ze sprywatyzowanymi przekazami, może budzić opór i tendencje do bagatelizowania płynących ze świata nauki doniesień. W tym kontekście, jako przedstawiciele grup uporczywie uciekających przed wynikami badań naukowych przywołuje się niekiedy płaskoziemców, młodoziemców lub negacionistów klimatycznych. To przykłady tyleż wyraziste, co bardzo uskrąjające. Zastanówmy się jednak przez chwilę, czy wśród naszych własnych przekonań nie ma i takich, które motywowałyby do stawania w kontrze do naukowych ustaleń. Dobrym punktem wyjścia może być tu namysł nad statusem Plutona, który zgodnie z ustaleniami Międzynarodowej Unii Astronomicznej od 2006 roku nie jest już uznawany za planetę. Tych, dla których Pluton wciąż jest planetą, być może pocieszy to, że pół roku później Izba Reprezentantów Nowego Meksyku wydała rezolucję mówiącą, że na niebie tego stanu Pluton planetą pozostanie na zawsze. Oto jak kwestie naukowe mogą się przeplatać ze sferą emocji i sentymentów.

Na tropach scjentystycznego światopoglądu

Takie właśnie, na przykład emocjonalne, aspekty ustosunkowywania się ludzi do nauki, naukowców i naukowych odkryć są najbardziej interesujące dla psychologa. Co sprawia, że część ludzi chętnie zaprasza naukę do swoich prywatnych baniek informacyjnych – niekiedy nawet dając jej przyzwolenie na dokonywanie modyfikacji we własnym obrazie świata – a inni są wobec niej nastawieni sceptycznie, a nawet wrogo? Pytanie to od pięciu lat stanowi kontekst badań, które prowadzę wraz z magistrantami, opierając się na założeniach autorskiej koncepcji scjentystycznego światopoglądu, nazywanego w skrócie scjentoteizmem. Punktem wyjścia było w tym przypadku założenie, że ludzie mogą się różnić od siebie pod względem tendencji do uzasadniania własnych przekonań i zachowań ustaleniami naukowymi, jak również działania na podstawie opinii formułowanych przez naukowców oraz uznawania języka naukowego za najdoskonalszy i najbardziej wartościowy sposób odnoszenia się do świata oraz występujących w nim zjawisk. Na tej podstawie skonstruowany został Kwestionariusz Opinii o Nauce, badający nie tylko ogólny sposób spostrzegania nauki, ale również poziom uznania dla niepodważalności podstaw nauki, postrzegania naukowców jako jedynych wiarygodnych ekspertów, pokładania w nauce nadziei związanych z przyszłością świata i ludzkości oraz dostrzegania w niej narzędzia praktycznego wpływu na codzienną rzeczywistość. Przeprowadzone dotychczas badania wskazują, że aspekty scjentystycznego światopoglądu raczej nie wiążą się ani z rzeczywistą wiedzą o świecie, ani z wykształceniem, ani skłonnością do poszukiwania nowych informacji i poszerzania posiadanego ich zakresu. Wygląda to trochę tak, jakby światopogląd ceniący sobie naukowe sposoby opowiadania o świecie kształtował się w oderwaniu od tego wszystkiego, co nauka ma dostarczać w ramach swoich podstawowych zadań.

Scjentystyczny światopogląd zdaje się mieć jednak szereg odniesień do aspektów motywacyjnych i emocjonalnych. W jednym z badań wraz z Patrycją Kropiwnicką zaprojektowaliśmy procedurę, w której uczestnicy poddawani byli wstępnemu pomiarowi samooceny, a następnie rozwiązywali specjalnie przygotowany test wiedzy przyrodniczej – łatwy bądź trudny – lub stanowili członków grupy kontrolnej. W dalszej kolejności badani wypełniali kwestionariusz odnoszący się do aspektów scjentoteizmu. Wyniki pokazały, że osoby o wysokiej samoocenie wypełniające łatwe testy, mogące dawać wyższe poczucie biegłości w kwestiach naukowych, cechował bardziej pozytywny stosunek do sfery naukowej niż członków dwóch pozostałych grup. Badani z wysoką samooceną wypełniający testy trudne wykazywali natomiast najniższy poziom przychylnych nauce przekonań. Rezultaty te sugerują, że społeczny odbiór nauki, rozpięty gdzieś między entuzjazmem a oporem i lękami, może brać się z tego, w jaki sposób kontekst naukowy współgra z tym, jak ludzie postrzegają samych siebie. Gorzki wniosek jest jednak taki, że pozytywny stosunek do nauki może brać się z samozadowolenia kształtującego się na bazie poczucia związanych z nią kompetencji, opartego jednak na bardzo powierzchownych przesłankach. Wtedy zaś, gdy nauka odsłania swoje trudniejsze, bardziej wymagające oblicze, implikujące rewizję wcześniejszych przekonań o samym sobie, reakcją może być bardziej sceptyczny stosunek do nauki i bagatelizowanie jej znaczenia. Może zatem naukowcy zawdzięczają tabloidowemu podejściu do nauki więcej, niż można byłoby w pierwszej chwili przypuszczać?

W innych badaniach wraz z Agnieszką Sławik i Olgą Pabian sprawdziliśmy, w jaki sposób światopogląd scjentystyczny rezonuje ze sferą wyznawanych przez ludzi wartości i celów życiowych. Bardziej entuzjastyczne poglądy na temat aspektów zwią-

zanych z nauką szły w parze między innymi z ukierunkowaniem na władzę, sukces finansowy i zdrowie. Natężenie scjentystycznego światopoglądu malało natomiast wraz ze wzrostem ukierunkowania na tradycję, duchowość i wspólnotowość. Być może więc doniesienia naukowe z góry są skazane na zróżnicowane sposoby odbioru przez szersze grono ze względu na różnice w zakresie wartości orientujących ich codzienne życie. Co dla jednych źródłem nadziei, to dla innych zagrożeniem. Dziewiętnastowieczni luddyci niszczyli maszyny, ponieważ bali się, że za sprawą intensywnej ingerencji technologii w obszar pracy zostanie im ona odebrana. Z drugiej strony, ten sam postęp technologiczny może być ujmowany również jako szansa na wyzwolenie od konieczności wykonywania ciężkiej, monotonnej lub po prostu nieprzyjemnej pracy. Możliwości wchodzenia całościowo rozumianej nauki w ludzkie życie są jeszcze większe, czemu towarzyszy zapewne większy potencjał lęków i nadziei.

Niespokojne sny naukowców

Wskazane wątki prowadzą do niewygodnego pytania o granice społecznej propagacji bądź popularyzacji nauki. Kierując się diagnozami Dukaja, można byłoby przypuszczać, że granice te wyznaczane są z jednej strony przez możliwość wygrywania przez komunikaty naukowe w rywalizacji o uwagę i zainteresowanie odbiorców z innego rodzaju treściami, z drugiej zaś przez możliwość wpisywania się przekazów naukowych w indywidualne bańki treści, z którymi człowiekowi po prostu miło i przyjemnie jest obcować. W kontekście przytoczonych wyników badań nad światopoglądem scjentystycznym wydaje się, że granice mogą przebiegać także wzdłuż prognozy złożoności i skomplikowania pewnych problemów oraz zakresu możliwości pogodzenia ze stanowiskiem nauki w kwestiach, w których do głosu dochodzą również wyznawane wartości.

Temat związanych z nauką lęków i nadziei nie dotyczy jednak wyłącznie sfery jej powszechnego odbioru, ale również samych badaczy. Dobrym źródłem informacji na temat tego, co budzi strach lub optymizm naukowców są ich odpowiedzi na corocznie zmieniane, poruszające wyobraźnię pytania publikowane na stronie www.edge.org. Pytanie o to, co może napaść optymizmem, zostało zadane w 2007 roku, a dziś – z perspektywy ostatnich trzynastu lat – ciekawą rozrywką może być ocena tego, czy opinie te można uznawać za nadal aktualne. Pytanie o to, czym powinniśmy się martwić, zadano natomiast w roku 2013 (przykładowo związany z NASA klimatolog Gavin Schmidt mówił wtedy o braku powiązania pomiędzy doniesieniami medialnymi a ich rozumieniem, a psycholog ewolucyjny Geoffrey Miller martwił się rozwojem chińskiej eugeniki).

Pytanie podsumowujące trwający przez dwadzieścia lat projekt Edge zostało zadane przedstawicielom świata nauki w 2018 roku. Brzmiało ono „Jakie jest ostatnie pytanie?” i w pewnym sensie łączyło w sobie zarówno naukowe nadzieje, jak i naukowe lęki. Jako przedmiot refleksji na dziś (lub zgodnie z regułami kultury transferu przeżyć – na moment do następnego przeblysku zaabsorbowania czymś innym) na chybił-trafił wybierzmy sobie jedno z nich. Mnie udało się wylosować to zadane przez fizyka Maxa Tegmarka: „What will be the literally last question that will preoccupy future superintelligent cosmic life for as long as the laws of physics permit?” (Jakie będzie dosłownie ostatnie pytanie, które zajmie przyszłe superinteligentne życie kosmiczne tak długo, jak pozwalają na to prawa fizyki?).

Dr Łukasz Jach, Instytut Psychologii UŚ. Badacz psychologicznych kontekstów odbioru nauki. Autor książki „Nauka jako obiekt kultu. Wprowadzenie do koncepcji scjentoteizmu” (2015) oraz „Światopogląd scjentystyczny – korelaty i uwarunkowania” (w druku).

Szukasz wydawcy?

Nie czekaj do terminu rozliczenia grantu!

wycena – niezależni recenzenci – redakcja i skład – przygotowanie do druku



**ZYSKUJESZ
DARMOWY DRUK***

Oferta ważna do 29 maja 2020 roku.

publikujz nami.pwn.pl

 PWN

**TOP
MARKA** 2019



Piotr Pawlak

Misz-masz (pseudo) naukowy

Festiwale nauki, noce naukowców, uniwersytety trzeciego wieku, przedszkolne robotyki, mobilne laboratoria, doświadczalnie... Chcemy nauki, ale jej nie rozumiemy.

Rys. Sławomir Makal

Z Noblem to jest tak... – to znaczy z Noblem nagrodą, a nie Noblem Alfredem. Wyczekując co roku Nobla pokojowego, dowiadujemy się, że ktoś się postarał, by świat lub jakiś jego fragment był lepszy, albo że według kogoś postępować będziemy tak, by świat lub jego fragment stał się lepszym. Kiedy sekretarz szwedzkiej Akademii Królewskiej przedstawia laureata literackiej Nagrody Nobla, wiadomo, że jutro w księgarniach nie dostaniemy już jego książek. Szczęśliwy ten, kto czyta i przeczyta jeszcze raz, bo w domowej biblioteczce przynajmniej jeden taki duży łotek już jest. Zresztą w przypadku tej nagrody mamy niezłe doświadczenie, właśnie przeżywaliśmy piątego już Nobla dla polskiego literata. Cu-do-wnie! Fizycy to z kolei odrębny temat. To chyba w mniemaniu większości zainteresowanych i niezainteresowanych po prostu „mózgi” tego świata. Nieważne czy patrzą przez teleskop, odbywali staż w CERN-ie, pracują nad kwarkami czy odkryli grafen. Umysłem pojąć to wszystko trudno, więc na pewno się Nobel należał. Do chemii to mamy trochę stosunek osobisty czy – jak to teraz się nazywa – narodowy. Dwa medale dla Marii Skłodowskiej-Curie potrafi wymienić każdy o dowolnej porze dnia i nocy. Ekonomię lubią wszyscy, niech tylko rośnie.

No i wreszcie fizjologia i medycyna – wydawać by się mogło, odkrycia naukowe, które dotyczą lub będą dotyczyć naszego

życia dużo bardziej namacalnie niż pozostałe 175-gramowe (waga medalu Noblowskiego) dokonania. Ale z tymi Noblami, nazwijmy je biologicznymi, o życiu, mam wrażenie, jest pewien kłopot. Pytanie bowiem, na ile odkrycia w dziedzinie biologii są zrozumiałe dla przeciętnego zjadacza chleba i czy w ogóle kiedyś były, mimo że komitet noblowski złożoność problemu potrafi genialnie ująć w jednym zdaniu (nie mylić z „and the Oscar goes to...”).

Za odkrycia organizacji i funkcjonowania komórek

Coraz rzadziej w przypadku dostojnych nagród słyszymy o szczepionce lub przełomowej technologii, jak w przypadku amplifikacji (powielania) DNA (PCR – Nobel co prawda w dziedzinie chemii, ale o potężnym znaczeniu dla biologii i medycyny, Kary Mullis 1993), która umożliwiła wszelkie analizy genetyczne. Pośród dziesiątek nagród za odkrycia organizacji i funkcjonowania komórek, tkanek, narządów, szlaków metabolicznych, odpowiedzi immunologicznej, dziś poznajemy autofagosom (Ohsumi 2016) czy niekodujące cząsteczki RNA, regulujące skomplikowaną maszynę ekspresji genów w komórkach (Fire, Mello 2006). Technika zapłodnienia in vitro (Edwards 2010), tomografia (Cormack, Hounsfield 1979), rezonans magnetyczny (Lauterbur, Mansfield 2003), elektrokardiogram (Ein-

thoven, 1923) to coś, z czym spotykamy się na co dzień, jeśli nie w życiu, to w prasie, mediach, internecie. Priony (Prusiner 1997), *Helicobacter pylori* (Marshall, Warren 2005), malaria (Ross 1902), tyfus (Nicolle 1928), żółta febra (Theiler 1951), HPV i HIV (Bárre-Sinoussi, Montagnier, zur Hausen 2008) skojarzą się dość łatwo, ale reprograming komórek w kierunku pluripotencji (Gurdon, Yamanaka 2010) może wywołać konsternację. Pawłowa (1904) też nietrudno skojarzyć, przechodząc w porze lunchu obok restauracji. Cykl dobowy dotyczy każdego żywego organizmu na planecie Ziemia (Hall, Rosbash, Young 2018), który zawiera DNA (Crick, Watson, Wilkins 1963), zorganizowane w chromosomy (Morgan 1933), których elementy mogą być ruchome (McClintock 1983), a same są chronione przez telomery (Blackburn, Greider, Szostak 2009). Streptomycyna (Waksman 1952) i penicylina (Fleming, Chain, Florey 1945), insulina (Banting, Macleod 1923) lub inne takie pewnie zagościły choć raz w domowej apteczce.

Tysiące followersów za sobą

Wcześniej radzono sobie z gruźlicą (Koch 1905), na którą do dziś szczepimy maluchy w pierwszej dobie życia, choć o tym można by podyskutować. Niestety w obecnych czasach trudno nie być osaczonym przez pseudonaukę, która wyprowadza na manowce. Przykładów tryliardy: woda strukturyzowana, naprawianie kodu genetycznego... W głowie pomysły się nie mieszczą i dosłownie, i w przenośni. Dlaczego w przeddzień Nowego Roku wierzymy, że preparaty agresywnie reklamowane w radio na tzw. kaca nam pomogą? Dlaczego jesteśmy w czółowce zjadaczy suplementów diety i dajemy wiarę, że zadziałają? Dlaczego ufamy zmieniającym się piramidom żywienia? Kremy antyaging, naprawiające DNA, dieta oparta na genomie? Niedługo dzięki rozwojowi polskiej branży monopolowej kupimy rzemieślnicze piwo antyaging, co spotka się z wielką aprobatą.

Na tapecie szczepionki – gorący temat ostatnich lat, w którym niechętnie słuchany jest głos lekarzy, mikrobiologów czy immunologów. Z wczorajszym Andrew Wakefieldem było jak z dzisiejszym brexitem. Wysnuł hipotezę, opublikował wątpliwe wyniki w jednym z najbardziej poczytnych czasopism medycznych na świecie, „The Lancet”, i gotowe. Jedną ideą, jedną chwilą, siedmioma stronami papieru tak namieszał w świecie medycznym, że antyszczepionkowcy rozkwitli. To, że artykuł został wycofany z publikacji, to pewnie wina lobby farmaceutycznego. No więc nie szczepimy, bo rtęć, bo aluminium, bo formamid, bo autyzm, bo NOP (niepożądane odczyny poszczepienne), bo po co, bo chorób już nie ma, bo w nosie mam odpowiedzialność zbiorową, bo nie. Idea potrafi włączyć lawinę, którą trudno zawrócić. Przykłady można oczywiście mnożyć, skutki będą różne, czasem nieprzewidywalne. Rozmawiamy o kalendarzu szczepień, ale raczej nie o braku szczepień. Niedługo ludzie przemierzali setki kilometrów do Paryża, gdy się dowiedzieli o skutecznej szczepionce na wściekliznę. Rzykowali, bez szerokich badań klinicznych, by ratować życie.

Co się stało, że przestajemy czekać na naukę i wolimy domorosłą pseudonaukę? Skąd się biorą ludzie, którzy mogą korelować wszystko ze wszystkim i twierdzić, że działa. Wystarczy jeden przypadek, cud – i mamy już setki, tysiące followersów za sobą. Tymczasem niezłe doniesienie z „Lancet”, „Science” czy „Cell” nawet nie przebija się przez nagłówki gazet. Młody jestem, pewnie dlatego nie przypominam sobie tak wielu ruchów wątpliwych w naukę. Może to przez internet, jego powszechny dostęp, fora, wymianę myśli i spostrzeżeń, po prostu swobodny przepływ informacji. Problemy chowane w domu wyszły na zewnątrz i otworzyły drogę do dyskusji, ale też spekulacji. Wybieramy wiedzę, która nam pasuje.

Obecnie bardzo wierzymy naukowcom w ocieplanie klimatu i tegoż katastroficzne skutki w nieodległej przyszłości.

Przez procesy cywilizacyjne sami zapędzamy się w kozi róg, gasimy pożary, ograniczamy freon, rezygnujemy z plastiku, tniemy puszcze i wybijamy dziki, a z drugiej strony rozkręcamy hodowlę zwierząt do granic fizjologii. Zaczynamy sobie szukać miejsca w kosmosie, jakbyśmy sami czuli, że zmiany w środowisku idą zbyt szybko i żaden gatunek nie jest w stanie się do nich zaadaptować. W szale odrzucamy plastik, stawiamy na drewno, używamy toreb wielorazowych, a nawet szyjemy własne, mięso pakujemy coraz częściej we własne pojemniki. Protestujemy, choć pewnie nie do końca rozumiemy. Oszczędzamy wodę, montujemy panele słoneczne, chcemy koniecznie uczestniczyć w ratowaniu świata, żeby nasze dzieci miały tak jak my, a nie musiały walczyć o wodę. Te działania nie wynikają wcale z zalewu rzetelnych badań naukowych, tylko z medialnych, selektywnych przekazów o stanie świata, które powoli docierają do świadomości.

Politycy nie słuchają naukowców

Dane szokują i wywołują strach. Dzisiejsze doniesienia o koronawirusie wydają się jednak zmieniać optykę i coraz częściej padają pytania o... szczepionkę. Boimy się o naszą przyszłość, o powietrze, wodę, o zanieczyszczenia, jednym słowem o nasze zdrowie. Co ciekawe, ten sam strach, dotyczący zdrowia i poparty tysiącami badań na przestrzeni setek lat, nagle wywołują zupełnie odwrotne reakcje. Dlaczego nie chcemy stosować procedur medycznych? Skąd tak niekonsekwentne podejście do tych tematów i tak różne poziomy zaufania do nauk medycznych i nauk ekologicznych? Łączy je w gruncie rzeczy jedno – dziedziną nauki o życiu. O życiu właśnie. Żyjemy w czasach tworzenia organoidów, edycji genomu zarodkowego, coraz bardziej realnych ksenotransplantacji, terapii genomowych i powszechnego, niedrogiego sekwencjonowania genomów, wojen technologicznych, tymczasem debatujemy o sprawach, które właściwie powinny być traktowane jako pewniki. Tworzymy prawo regulujące zapłodnienie pozaustrojowe, które właśnie na świecie obchodziło swoje czterdzieste wiecie od momentu urodzenia pierwszego dziecka, nie mówiąc oczywiście tutaj o zapłodnieniu in vitro wcześniej stosowanym u zwierząt. Tymczasem odkrywamy ślady zanieczyszczenia powietrza w łożyskach ciężarnych kobiet.

Oczywiście nigdy regulacjami nie wyprzedzimy nauki, ale czy nie łatwiej i lepiej mówić o przyszłości i zagrożeniach wynikających z niektórych eksperymentów, aniżeli wracać myślami do mniej istotnych problemów podszytych ideologią? Dlaczego politycy nie słuchają naukowców? Wszak wszystkie partie mają ich również w swoich szeregach. Czasami mam wrażenie, że naukowcy też siebie nawzajem nie słyszą. Jakby sobie nie ufali. Entomolog być może nie posłucha neurologa, genetyk może nie usłyszeć argumentów psychologów, a inżynierowie nie będą ufać ornitologom. Każdy mówi swoje. Tymczasem warto zaszczepić(!) swój umysł sprawdzonymi, rzetelnymi informacjami, pobudzić w sobie ciekawość. Festiwałe nauki, noce naukowców, uniwersytety trzeciego wieku, przedszkolne robotyki, mobilne laboratoria, doświadczalnie... Chcemy nauki, ale jej nie rozumiemy.

Uwielbiamy doświadczać, lecz wiemy lepiej od innych. Może zabrzmiało to trochę naiwnie, jednak zaufajcie nam. Każdy prawdziwy naukowiec dąży do poznania, do odkrycia, do przełomu. Każdy, nie tylko ten z Noblem. Niewielu się udaje i nieliczni potrafią znieść gorzkie ziarno porażki czy raczej braku wielkiego sukcesu. Wszak nie jest wcale łatwo zrozumieć świat w minutę, nawet jeśli stworzony w dni siedem.

Dr Piotr Pawlak, embriolog doświadczalny i genetyk, Katedra Genetyki i Podstaw Hodowli Zwierząt, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Grzegorz Filip

Bomby i kapiszony

Jedni naukowcy opowiadają się po tej, drudzy po tamtej stronie. Zdania są podzielone. Komu wierzyć?
To zamieszanie obniża społeczne zaufanie do nauki.

W dawnych czasach lęk przed nieznanym lub słabo poznawalnym wykorzystywany był przez elity władzy przeciwko poddanym w celu utrzymania ich w korbach. Obrazowo pokazuje to Bolesław Prus w *Faraonie*, gdy kapłani, wiedząc, kiedy nastąpi zaćmienie słońca i jakie ono zrobi wrażenie na ludzie egipskim, planują wykorzystanie tego zjawiska do realizacji celów politycznych. Współcześnie rolę egipskich kapłanów przejęły media elektroniczne i społecznościowe, to one dyktują tematy, którym mają się danego dnia poświęcić odbiorcy i użytkownicy, one narzucają ton, narrację, sposoby oceny zjawisk i osób. I nie muszą w zasadzie czekać na tak spektakularne zjawisko, jak zaćmienie słońca, którego zresztą nikt się już dzisiaj nie obawia. Wystarczy pretekst, by można było wywołać kryzys. Egipscy kapłani wykorzystywali ciemnotę ludu, media wykorzystują naszą łatwowierność, nieuważę, powierzchowność odbioru treści, co ułatwia im manipulację i kreowanie baniek informacyjnych. Stąd medialne bomby i kapiszony. Dzisiejsze media mniej informują, bardziej dyktują nam, co mamy myśleć.

Lęk przed zjawiskami astronomicznymi, których naturę poznają w naszych czasach uczniowie szkół podstawowych, zastąpiły inne lęki, na przykład przed szczepionkami, energią jądrową czy żywnością modyfikowaną oraz ich wpływem na nasze zdrowie. Kilkadziesiąt lat temu nasi dziadkowie popukaliby się w głowę, gdyby im ktoś opowiedział, jaką wagę będziemy przywiązywać w XXI wieku do żywności, jej pochodzenia, jakości, czystości. Odbiorcy wiadomości oczekują gwarancji: zdrowe – niezdrowe, bezpieczne – niebezpieczne. A ponieważ media dawno już się wyrzekły odpowiedzialności za słowo, rozluźniły związek między podawanymi informacjami a prawdą, ludzie są zdezorientowani i łatwo o wywołanie paniki. Tymczasem jedni naukowcy opowiadają się po tej, drudzy po tamtej stronie. Zdania są podzielone. Komu wierzyć? To zamieszanie obniża społeczne zaufanie do nauki. Możecie sobie mówić – myśli obywatel – że nauka nigdy nie przynosi rozstrzygnięć ostatecznych, że teorie są falsyfikowane i zmieniają się paradygmaty, że badania nie wytrzymują replikacji, ale ja chcę wiedzieć, czy mam zaszczyć dziecko, czy nie! I ma rację.

Gdy wiedza nie daje jednoznacznych odpowiedzi, pojawia się wiara albo niewiara. Ale też wiedza bywa po prostu niedostateczna. I nie dlatego, że jej nie szukamy, dlatego że się jej nie dostarcza. Wszystkie kryzysy – szczepionkowy, klimatyczny czy GMO – wyrastają z podejrzeń, że komuś zależy na ukrywaniu prawdy, ktoś na nim zarabia. Media nie są wolne od uwarunkowań ekonomicznych, przeciwnie,

są im silnie poddane, nie jest od nich wolna również nauka, szczególnie nauki o zdrowiu, które generują produkty i procedury kupowane przez miliardy klientów. Wiemy o tym i, kiedy chodzi o nasze zdrowie, nie ufamy ani mediom, ani nauce. To naturalne.

Dlatego bardzo mnie irytują postawy uczonych, którzy zamiast wytłumaczyć swoje racje, kpią z zaniepokojonych, zamiast użyć prostego języka, uciekają w naukowy żargon, puszą się i demonstrować arogancję, zamiast ułożyć sobie prostą, dobrze uargumentowaną wypowiedź do kamery, wikłają się i płaczą. Takie postawy nie przywrócą zaufania do nauki. Do mediów nie wystarczy przyjsć z racjami, za którymi stoją wyniki badań. Trzeba jeszcze... Jeszcze! Trzeba przede wszystkim umieć je przekazać.



Rys. Sławomir Mielak

W oparach nowomowy

Modernizacyjny i projakościowy charakter niektórych regulacji projektowanych przez „elity” nie jest, niestety, odpowiednio komunikowany. Pozycja władzy stwarza pokusę używania wartościującej nowomowy. Tymczasem potrzebny jest nie język wartościowania, lecz język wartości.

Reforma ministra Gowina stała się katalizatorem sporu o fundamentalne wartości życia naukowego. Oś antagonizmu wyznaczają romantyczne ideały tradycyjnego etosu naukowego i technokratyczne reguły „naukowego Monopoli” podporządkowane wygodzie ewaluatorów. W tej debacie z uprzywilejowanej pozycji w wyrażaniu opinii obficie korzystają „elity” polskiej polityki naukowej. Uciekają się przy tym niekiedy do języka, który opisywać można w kategoriach nowomowy. Tymczasem w dyskusji o organizacji nauki potrzeba języka wartości, a nie języka wartościowania.

Innowacyjna mobilność dziedziczenia prestiżu doskonałości naukowej

Jeśli Czytelnik powziął podejrzenia, że powyższy śródtytuł pozbawiony jest sensu, to jak najbardziej ma rację. To sformułowanie jest bowiem zlepkiem sloganów, które od dłuższego czasu serwują polskim naukowcom „elity” polityki naukowej. Rdzeniem tej nowomowy jest słownictwo silnie wartościujące, a pozbawione konkretnego znaczenia. Uwagę chciałbym tu więc zwrócić na kilka kwestii: kto mówi o organizacji nauki w Polsce, w jakich okolicznościach i w jaki sposób.

Nowomowę kojarzy się zwykle z PRL-em. Niektórzy mówią też o nowomowie unijnnej. Wszystko to poniekąd racja, ale samego zjawiska nie można zawęzić do tych dwóch jego postaci. To, co się zwykło określać mianem „nowomowy”, jest w istocie pewnym ponadczasowym rodzajem perswazyjnego użycia języka, którego podstawowym celem jest „wmyślenie” do głów odbiorców określonej wizji świata i określonego systemu wartości. Zachowania nowomowne są więc odwiecznym narzędziem polityki definiowanej jako zdobycie i utrzymanie władzy. Gdy dopuszczają się ich politycy, realizuje się oczywisty porządek rzeczy. Gdy zaś po takie instrumentarium perswazji werbalnej sięgają naukowcy, ocena sytuacji znacznie się komplikuje – bo czy naukowcomi godzi się manipulować słowami i wartościami w imię uczestnictwa we władzy nad życiem naukowym? Nowomowa w debacie nad nauką w Polsce nie jest, rzecz jasna, cechą specyficzną „epoki Gowina”. Obecna była już za czasów jego poprzedników.

„Elitę” polskiej polityki naukowej tworzą politycy (z ministrem na czele), część wyższego aparatu urzędniczego w ministerstwie oraz pewna – stosunkowo nieliczna, ale podlegająca niewielkim rotacjom – grupa naukowców zbliżonych do każdej kolejnej władzy naukowej. Całokształt uzupełniają jeszcze

pojedynczy badacze niedocenieni na krajowym podwórku, za to zdobywający uznanie za granicą i namaszczeni przez ministerstwo i „elitę” na merkurysy światowej nauki, której standardy z trudem przebijają się do polskiego zaścianka.

Pierwsze pytanie brzmi więc, kto mówi o (re)organizacji życia naukowego w Polsce. W tej charakterystyce akademickich kręgów „elity” nazwiska nie padną. Nomina sunt odiosa.

Generalnie akademicka „elita” polityki naukowej to liczne „gremia gadających głów”, po części złożone z postaci typu „czasy się zmieniają, ale pan zawsze jest w komisjach”. Ciała zajmujące się polityką naukową od dekad siedzą i radzą, jak usprawnić i ulepszyć. I od dekad z tym samym skutkiem. Jest to osobliwa kategoria „osób z doświadczeniem w polityce naukowej”, która oczywiście hoduje swój młody narybek, głównie w aparacie punktozy.

Udoskonalanie utrudnia normalną pracę

Taka akademicka „elita” polityki naukowej w większości nie ma „demokratycznej” legitymacji środowiskowej. Przy jej wykształcaniu nie zadziałały oddolne mechanizmy reprezentacji. Nie zawsze decydujące były rzeczywiste osiągnięcia naukowe. Przede wszystkim jednak z perspektywy młodego badacza przyglądającego się polskim strukturom „naukowej władzy” zarówno wśród starej, jak i dopiero awansującej „elity” polityki naukowej trafiają się postaci dramatycznie niewiarygodne.

Bo jak wiarygodny może być ktoś, kto granty ERC (skądinąd elitarne) ubiera w slogan „doskonałość naukowa” i stara się je uczynić badawczą cnotą nad cnotami, a sam nigdy grantu ERC nie zdobył ani się przypuszczałnie o niego nie starał? (Ponoć dobry oficer to taki, który woła „za mną”, ale – jak wiadomo – są i tacy generałowie, którzy potrafią jedynie krzyknąć „naprzód!”).

Jak wiarygodny może być ktoś, kto przez wszystkie przypadki odmienia „mobilność” i stwierdza, że powstawaniu patologicznych układów sprzyja model, w którym absolwent danej uczelni robi w niej doktorat, habilitację i profesurę, a sam magisterium, doktorat i habilitację zrobił na tej samej uczelni, dla odmiany profesurę uzyskał wprawdzie gdzie indziej, ale w tym samym mieście (wszystko to oczywiście w Polsce, nie za granicą)?

Jak wreszcie, choćby w najmniejszym stopniu, wiarygodny może być jakiś naukometrysta-karierowicz, który w kontekście wyborów do Rady Doskonałości Naukowej ośmiela się

sugerować, że z perspektywy obiegu międzynarodowego bezwartościowy jest dorobek badaczy niemających żadnych dokumentów w jedynie słusznej bazie, podczas gdy jego własne wiekopomne „dzieło” habilitacyjne do tego stopnia zatrzęsło uprawianą przezeń dyscypliną, że przez ładnych parę lat od publikacji w (najbardziej chyba inkluzywnym) Google Scholar odnotowało cytowania (wraz z autocytowaniami) dające się policzyć na palcach jednej ręki? Król jest nagi. Nie pomaga mu nawet starannie skrojony garnitur. Bibliometryczny bóg go jednak opuścił. Takie są skutki, gdy pozycji w życiu naukowym nie buduje się dzięki rzeczywistemu dorobkowi badawczemu, a jedynie drogą eksperckiej quasi-urzędniczej kariery w aparacie punktozy, robionej nie w murach akademii, lecz na korytarzach i w kularach ministerstwa.

Mamy zatem w Polsce cały legion najwybitniejszych na świecie speców od „polityki naukowej” i znawców niezawodnych metod osiągnięcia światowej czołówki („dogonimy, przegonimy!”), którzy jednak nie dostrzegają jednej zasadniczej sprzeczności. Ustawiczne udoskonalanie, reformowanie i ocenianie – stanowiąc rację bytu wielu takich wiecznych ulepszaczy – równocześnie bardzo skutecznie utrudnia normalną pracę polskim naukowcom, którzy funkcjonować muszą w zmieniających się wciąż warunkach organizacyjnych i ewaluacyjnych, niejednokrotnie ustalanych wstecz.

Między zmurszałą tradycją a szklaną wydmuszką

W jakich okolicznościach „elita” uprawia swoją nowomowę? Nie da się ukryć, że organizacja polskiej nauki od dawna w cudowny i przedziwny sposób rozpięta jest między zmurszałą tradycją wioskowej hierarchii a lśniąca fasadą i szklaną wydmuszką światowej nowoczesności oraz prestiżu mierzonego tym, kto ma większego Hirscha. W takim bałkańskim kotle naukowych ideałów iskrą na proch okazała się reforma Gowina. Oczywiście wojna na i o wartości życia naukowego od dawna tliła się gdzieś w tle, ale w kontekście Ustawy 2.0 rozgorzała na dobre. Jedną z przyczyn jest to, że bibliometryczne wskaźniki, które mniej lub bardziej udanie opisują obieg wiedzy w naukach ścisłych i przyrodniczych, przemocą próbuje się rozciągać także na humanistykę.

W pierwszym okresie „szerokiego konsultowania” założeń reformy przekaz był wyraźnie jednokierunkowy (a to bardzo sprzyja nowomowie). Jak wyglądał „dialog” i „wymiana opinii” na NKN-ie, wszyscy obecni doskonale widzieli. Nie było miejsca na ewolucyjną syntezę tradycyjnych ideałów uprawiania nauki (wyznawanych w większym stopniu przez humanistów i część przedstawicieli nauk społecznych) z nowszymi rozwiązaniami wykorzystującymi liczbowe miary opisu nie tyle samych ustaleń naukowych, ile form ich komunikowania. W drugiej fazie do głosu doszli przeciwnicy zmian oraz tych zmian radykalni zwolennicy. W całej konstelacji dyskutantów obok ministra i dogadanej z nim „elity” polskiej polityki naukowej pojawili się obrońcy status quo oraz – na przeciwnym biegunie – tropiciele „nauki równoległej”, dla których zmiany są niesatysfakcjonujące, gdyż wciąż nie zapewniają dostatecznie dogodnych warunków do oblawy na „leśnych dziadków”. Wszystkie te grupy produkują swoje teksty, a cała wojna o wartości wyznawane w życiu naukowym jest o tyle ciekawa, że krzyżuje się w niej i przeplata wiele różnych frontów definiowanych przez rozmaite konfiguracje naukowych wartości, a często po prostu interesów.

W tym gąszczu wojujących stron uwagę zwrócić chciałbym jednak na język „elity” polskiej polityki naukowej, bo właśnie ci gracze są w pozycji siły, z której mogą dominować komunikację poglądów i wartości, a zarazem uprawiać zachowania nowomowne.

Inwentarz idei i wokabularz światowego postępu jest przy tym dość ograniczony. Gdy uważniej prześledzić treści nadawane przez rozmaite „etatowe autorytety” polskiej polityki naukowej (zarówno te o ugruntowanej pozycji w „klubie”, jak i te dopiero w trakcie „awansu”), odnieść można smutne wrażenie, że w miejsce tradycyjnego (niech będzie, że idealistycznego i romantycznego) etosu badawczego propagują kadłubową i instrumentalną protezę zredukowaną wyłącznie do takich „ideałów” jak indeks Hirscha, jedynie słuszna komercyjna baza bibliometryczna, ranking szanghajska i grant ERC. Są przy tym nasi krajowi udoskonalacze dość mało oryginalni. Kluczowe jednostki ich nowomownego leksykonu to mniej lub bardziej fortunne kalki z naukowej nowomowy anglojęzycznej. Dość wspomnieć o brytyjskim Research Excellence Framework, australijskim Excellence in Research for Australia czy przede wszystkim ERC-owskim excellence jako jedynym kryterium w ocenie wniosków. Stąd nagle nad Wisłą taka popularność i potrzeba doskonałości naukowej, która zdeklasowała ongiś niepodzielnie królująca innowacyjność.

Nauka to ludzie i badania

Być może jakieś „naukowe ekscelencje” zechcą potem wykipić moje spostrzeżenia i „pochwałą” mnie za to, że ktoś w końcu dyskutuje o wartościach, a nie o faktach. Takim miłośnikom naukowej Realpolitik przypomnę więc, że wszystko, co się zaszadza wyłącznie na twardych i dokonanych faktach, a ignoruje sferę wartości, zwykle kończy się krzywdą wyrządzaną wielu i na wielką skalę. Ludzie nauki, którzy w swoich pracowniach, laboratoriach i bibliotekach „robią swoje” (i robią to dobrze!), już dzisiaj padają ofiarą takiej dyskryminacji: o rzekomym braku rezonansu w światowej nauce słyszą profesorowie, którzy wprawdzie nie mają publikacji ujętych w jedynie słusznej bazie, ale ze swoim dorobkiem są rozpoznawalni w każdej katedrze dowolnego języka słowiańskiego od Lipska po Jekaterynburg. Nauka to ludzie i badania, nie wskaźniki.

O właściwościach wyrażen stosowanych przez „elitę” polskiej polityki naukowej oraz o możliwości ujmowania ich w kategoriach wypracowanych do analizy nowomowy PRL pisałem z językoznawczej perspektywy w „Poradniku Językowym” (zeszyt 10/2019 w całości dostępny w OA). Tu nie będę powtarzał rozważań ściśle lingwistycznych, a sposób użycia poszczególnych nowomownych sloganów pokażę na tle „wartości”, jakie za nimi stoją.

„Autonomia uczelni” jest prawdziwie Orwellowskim Ministerstwem Prawdy. W miejsce autonomii płynącej z akademickiej kolegalności i samorządności (fakt, że czasem niezbyt efektywnej) wstawia się autonomię sprowadzającą się nierzadko do silnej pozycji ekipy rektorskiej. Nadrzędną akademicką cnotą jest przecież skuteczność nowoczesnych metod menedżerskich, a sprawozdawczość jest królową nauk.

„Doskonałość naukowa” jest najlepszym przykładem nowomowy. Określenie to wartościuje dodatnio, ale nikt nie wie, co właściwie znaczy. Doskonałość jest dobra, pożądana, jest naszym celem i do niej dążymy. Jak do fatamorgany. Grunt, że jesteśmy w ruchu. Wtedy łatwiej można nami sterować.

Niektórzy próbują stawiać znak równości między doskonałością naukową a grantami ERC (dlatego mamy Biuro ds. Doskonałości Naukowej PAN, skądinąd wykonujące bardzo potrzebną i wartościową pracę, zupełnie jednak niezwiązaną z samą nazwą). Jeszcze trudniej domyślić się, o co w istocie chodzi z doskonałością w nazwie Rada Doskonałości Naukowej. Czego by o funkcjonowaniu Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów nie mówić, jedno jest pewne, że z nazwy jasno wynikało przynajmniej, czym się ta instytucja zajmowała. Podobnych trudności nastęrcza interpretacja ustawowych nazw pro-

gramów Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości, Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza, Regionalna Inicjatywa Doskonałości. W Ustawie 2.0 trudno doszukać się definicji omawianego określenia.

Wystarczą dwie literki

W tym ciągłym odmiennianiu doskonałości naukowej przez wszystkie przypadki manifestuje się bardzo charakterystyczna cecha nowomowy: magiczna funkcja języka, która rzeczywistości nie opisuje, lecz ją ustanawia. Ponadto znaczenie omawianego sloganu nijak ma się do tego, co każdy użytkownik polszczyzny ma na myśli, gdy używa słowa doskonałość. Według słownika Doroszewskiego doskonałość to bowiem „najwyższy stopień cech dodatnich, brak wad; idealność, wzorowość, świetność”. Nam tymczasem wmawia się, że doskonałość to jest „należenie do czołówki”. A więc... w królestwie ślepców jednooki jest królem.

Któż zgadnie, co znaczy „dobrze publikować”? Zdrowy rozsądek podpowiada, że dobrze publikować, to ogłaszać

swe teksty w taki sposób, by dotarły do kręgu czytelników, na którym nam zależy. W nowomowie znaczy to natomiast pewnie tyle, co dostać się ze swym tekstem do czasopisma ujętego w jedynie słusznej bazie względnie w ministerialnym wykazie.

Dawniej dobre lub złe publikowanie było kwestią literek A, B, C. Gdy swego czasu jako przewodniczący Rady Samorządu Doktorantów PAN uczestniczyłem w konsultowaniu regulaminu stypendium prezesa PAN dla doktorantów, miałem nadzieję, że wszystkie publikacje zgłaszane przez kandydatów ktoś będzie przeglądał, by ocenić ich rzeczywistą wartość (szczególnie, że spodziewać można się było maksymalnie kilkudziesięciu wniosków zawierających zazwyczaj po kilka pozycji). Jakież było moje zdziwienie, gdy się okazało, że uwzględniane (liczone na sztuki?) będą wyłącznie publikacje z list A i C, natomiast za bezwartościowe a priori uznane zostały doktoranckie artykuły z listy B. To był w moim „naukowym rozwoju” niezwykle ważny moment, który uświadomił, że do oceny wartości publikacji naukowej jest konieczna ani umiejętność czy-



tania, ani nawet znajomość całego alfabetu. Wystarczą dwie literki: A i C.

W ten sposób – podobnie jak w wypadku punktowania pojedynczych artykułów na podstawie naukometrycznych wyników uzyskiwanych przez całe czasopisma – wartość publikacji naukowej zostaje całkowicie wyprowadzona poza samą publikację, co jest największym walorem rozwiązania noszącego piękną nazwę „dziedziczenie prestiżu”, o którym to zległej pisać nie będę, gdyż tej aberracji intelektualnej stosowną odprawę dał w swym tekście M. Kokowski (*Podstawowe zastrzeżenia wobec projektu i uchwalonej Ustawy 2.0 vel Konstytucji dla nauki*, „Studia Historiae Scientiarum” 2018, XVII, zob. s. 459 – artykuł w OA). Istotne jest ponadto, że ewaluacja bibliometryczna ocenę wartości prac naukowych de facto wyprowadza poza akademię (korporacja prowadząca komercyjną bazę nie jest częścią wspólnoty naukowej, bo ani nie prowadzi badań, ani ich nie finansuje).

Naukometryczne Kółkujące

W omawianej nowomowieoczesne miejsce zajmuje też „innowacyjność” i „prestiż”. Również te etykiety doskonale nadają się do wartościowania. Ponownie do głosu dochodzi tu też „magiczno-życzeniowa” funkcja języka. Bo gdy coś jest w istocie prestiżowe, nikomu rozsądnemu nie przyjdzie do głowy upiększanie tego takim epitetem. Nikt więc nie mówi o „prestiżowej Nagrodzie Nobla”. „Innowacyjność” to zaś słowo-klucz, które musi się pojawić w każdym wniosku grantowym i w wielu konkursach stanowi jedno z bardziej niedookreślonych kryteriów oceny.

Prestiż miał być podobno ważnym kryterium podczas punktowania czasopism w nowym wykazie. Zwrócić trzeba więc uwagę na dziwny przypadek „Poradnika Językowego”. Znaczenia tego czasopisma dla polskiego językoznawstwa i polonistyki nie trzeba uzasadniać nikomu, kto się tymi dziedzinami zajmuje. Dla jasności zaznaczę tylko, że „Poradnik” powstał w 1901 roku i jest w bazie Scopus. W nowym wykazie dostał 20 pkt. Skoro punktacja ma być rzekomo pochodną prestiżu, to czemu KEN i ministerstwo nie uwzględniły postulatów Komitetu Językoznawstwa PAN i Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN, by punktacja „Poradnika Językowego” podnieść do 70 pkt? Zabrakło chyba refleksji, że komitet i rada są być może bardziej kompetentne w ocenie prestiżu językoznawczego czasopisma niż KEN? Bez wahania stwierdzić wypada, że zignorowanie postulatów obu wspomnianych ciał to zwykła, prymitywna przemoc administracyjna i jednocześnie spora kompromitacja. No cóż, taki mamy KEN, jakie w nim zasiadają naukometryczne Kółkujące.

W świetle języka „elit” polityki naukowej niezwykle ciekawie prezentuje się znaczeniowa kariera określenia „punktoza”. Swego czasu MNiSW opublikowało na swych stronach tekst zatytułowany *Koniec z punktozą. Nowy wykaz czasopism już jest!* (druga część tytułu wprost przeczy konstatacji z części pierwszej!). Dalej czytamy, że zasada czterech słów „ukróci niekorzystne zjawisko punktozy, czyli pogoni za jak największą liczbą marnej jakości publikacji”. Ja tymczasem stawiam dolary przeciwko orzechom, że dla 99% polskich naukowców punktoza to przede wszystkim przeliczanie pojedynczych publikacji na punkty i ocenianie poszczególnych instytucji na podstawie liczby punktów zgromadzonych przez ich pracowników, co wprost wymusza rozmiękanie nauki na drobne. Swoją drogą, niedawno pojawiła się w sieci strona punktoza.pl. Jakaż treść ukrywa się za taką domeną? Otóż prezentowane są tam aktualne wykazy punktowanych czasopism, wydawców i konferencji. Trudno o trafniejsze nazwanie rzeczy po imieniu.

Jedna wielka strategia przetrwania

Funkcjonariusze aparatu punktozy mogą sobie teraz tropić różne „strategie gry o punkty”. Nie zmieni to jednak faktu, że coraz bardziej skomplikowany system przeliczania publikacji na punkty potrzebny jest tylko i wyłącznie samym naukometrystom, którzy dzięki niemu mogą współuczestniczyć w naukowej władzy. Ewaluacja naukometryczna wszelką działalność naukową i badawczą przemienia w wysiłek na cytowania i kwartyły, w którym jedynym zwycięzcą jest zawsze tylko i wyłącznie producent aparatury pomiarowej, czyli dostawca komercyjnej bazy bibliometrycznej.

Taki system ewaluacji polskich podmiotów wywraca do góry nogami sens uprawiania nauki. Bo po co robimy w Polsce naukę? Po co działalność naukową prowadzą uczelnie i instytucje? Nie tylko i w wielu przypadkach nie przede wszystkim po to, żeby coś nowego odkryć, rzetelnie zbadać lub opisać, lecz po to, by zdobyć odpowiednią kategorię i tym samym środki finansowe na dalsze istnienie. W ten sposób życie naukowe w Polsce stało się jedną wielką strategią przetrwania i zakładnikiem ewaluacji. A to jest układ, w którym ogon merda psem. Układ, który nie stwarza warunków do rychłego zdobycia Nobla.

W tym miejscu wracamy do dysonansu wartości. Dla większości badaczy, dla których podstawową wartością jest rzetelne wykonanie pracy badawczej lub edytorskiej, takie narzucanie bibliometryczno-punktowych rozwiązań ewaluacyjnych oznacza w istocie funkcjonowanie w warunkach swoistej okupacji wewnętrznej. Ich praca jest też przez nowomowę „elit” polityki naukowej jednoznacznie deprecjonowana. Dość wymienne sformułowania typu: walka z humanistycznym planktonem, nauka lokalna, wydawnictwa garażowe czy makulatura. Otóż nie, nie wszystko, co nie poddaje się naukometrycznej trosce o interesy dużych zagranicznych wydawnictw i dostawców komercyjnych narzędzi bibliometrycznych, jest w istocie makulaturą. A naukometrystom od lat tworzącym ministerialny aparat punktozy uprzejmie wyjaśniam, że tak jak źródłem wojny są fabryki amunicji, tak źródłem punktozy są oni sami i korporacje, od których produktów chcą uzależnić ewaluację nauki w Polsce.

Modernizacyjny i pro jakościowy charakter niektórych regulacji projektowanych przez „elity” nie jest, niestety, odpowiednio komunikowany. Pozycja władzy stwarza pokusę używania wartościującej nowomowy. Tymczasem potrzebny jest nie język wartościowania, lecz język wartości. Wartości zrozumiałych i wyznawanych także przez tych, których ustanawiane regulacje (w tym ewaluacyjne) mają dotyczyć. W nauce nie można nikomu narzucić administracyjnie wiary w prawdziwość ustaleń. Trzeba jej dowieść. W wypadku „postępowych” wartości życia naukowego trzeba dać społeczności szansę, by dostrzegła ich sens. Tymczasem perspektywy „elity” polityki naukowej do tego stopnia rozmijają się niekiedy z punktem widzenia badaczy wciąż jeszcze spędzających dni w pracowniach, laboratoriach, bibliotekach i archiwach (a nie na posiedzeniach centralnych rad, komitetów i komisji), że o dostrzeganiu sensu przez „masy” nie może być mowy. Jak ma do „mas” trafić argument przedstawicieli nauki elitarno-bankietowej względnie ministerialno-kuluarowej, że granty ERC są ważne, bo Polska więcej pieniędzy wkłada niż wyjmuje? Taka globalna perspektywa z gatunku „hajs się musi zgadzać” nie jest indywidualnym badaczom dostępna, a bombardowanie ich nowomownymi sloganami tego stanu rzeczy szybko nie zmieni.

Dr Wojciech Włoskiewicz, językoznawca, germanista, slawista; laureat Nagrody Prezesa Rady Ministrów, stypendium Ministra NiSW dla wybitnych młodych naukowców, stypendium NCN Etiuda; kierownik grantu NCN Sonatina.

Postępowy makkartyzm

W interesie społeczności akademickiej uczelnia nie powinna się poddawać agresywnemu dyktatowi aktywistów i organizacji antydyskryminacyjnych. Powstawanie komisji do spraw równego traktowania, wprowadzanie ideologicznych kursów to kolejny krok na drodze upolitycznienia uniwersytetu.

Artykuł Michała Bilewicza *Wolność wypowiedzi czy wolność od dyskryminacji?* (FA 2/2020) trudno pozostawić bez komentarza. Przy czym nie odniosę się do jego głównej tezy, według której wolność wypowiedzi sprzyja dyskryminacji. Zajmę się rzeczami w owym artykule na pozór pobocznymi. Jedną z nich jest np. powoływanie na uczelniach komisji do spraw równego traktowania „ze względu na płeć, wiek, rasę, wyznanie, niepełnosprawność i orientację seksualną”. Powstawanie tych ciał uważam za niemądre i szkodliwe.

Seks i polityka

Pisze autor: „osobom nieheteroseksualnym na uczelniach należy szacunek i stworzenie warunków studiowania wolnych od wszelkich przejawów dyskryminacji”. Jedno zdanie – wiele wątpliwości. Pierwszą jest kategoria „osób nieheteroseksualnych”. Studenci przyjmowani na uczelnię nie podają swoich preferencji seksualnych, nie są dzieleni na grupy pod względem takich preferencji ani nie są zobowiązani do ich ujawniania. I lepiej, żeby tak pozostało. Uczelnia nie jest miejscem seksualnych zachowań i nie ma potrzeby, by tę zasadę zmieniać. Sprawy seksu pozostawmy poza murami uniwersytetu. A skoro tak, to nie ma sensu rozróżniać studentów o takich czy innych zachowaniach seksualnych.

Uczelnia nie powinna zaglądać studentom pod kołdrę. W chwili, gdy zaczniesz to robić, rozpęta się awantura i trwać będzie bez końca. Na awanturze nie zależy nikomu prócz działaczy zaangażowanych w obronę przeróżnych mniejszości. Owe mniejszości nie istnieją przecież naprawdę. Naprawdę istnieją tylko ludzie o różnych preferencjach, którzy bardzo często nie życzą sobie, by ktoś ich „bronił”. Ale oni nie mają tu nic do powiedzenia, zdominowani przez agresywnych działaczy. Pojęcia takich czy innych mniejszości zostały powołane do życia przez odpowiednie ideologie, by te czy inne ruchy polityczne mogły głosić ich dyskryminację i walczyć z nią. Trzeba pamiętać, że do „obrony” mniejszości aktywiści zakładają organizacje za publiczne pieniądze. I nie są to organizacje politycznie obojętne. Za publiczne pieniądze będą teraz prowadzone na uniwersytecie kursy antydyskryminacyjne, które rekomenduje w swym artykule Michał Bilewicz. W interesie społeczności akademickiej uczelnia nie powinna się poddawać agresywnemu dyktatowi aktywistów i organizacji antydyskryminacyjnych. Powstawanie komisji do spraw równego traktowania i wprowadzanie ideolo-

gicznych kursów to kolejny krok na drodze upolitycznienia uniwersytetu.

Niezdrowe zaciekawienie czy zdrowy rozsądek

Inną sprawą jest definicja dyskryminacji i kwestia jej przejawów. Dla środowisk i instytucji tropiących oblicza dyskryminacji wszystko jest szykanowaniem. To racja ich istnienia. Słyszeliśmy już więc niejednokrotnie o złych spojrzeniach, nieodpowiednich uśmiechach, niezdrowym zaciekawieniu itp. Społeczeństwo nie może się jednak dać zwariować. Potrzebna jest tu racjonalna doza zdrowego rozsądku przeciwstawiona niemądrym przewrażliwieniu. Trzeba bowiem rozróżnić przesładowania prawdziwe od urojonych. Zdaję sobie sprawę, że w obecnej atmosferze, gdy debacie nadają ton działacze antydyskryminacyjni, rozróżnienia takie są trudne lub niemożliwe. Zwykle ludzkie zniecierpliwienie wykładowcy, irytacja nieuczniem studenta tłumaczonym brakiem znajomości języka lub przejawiające się pośród kadry akademickiej pospolite chamstwo (pozbawione motywacji narodowościowej czy rasowej) bywają impulsem do oskarżeń o dyskryminację. Zakres tego pojęcia niebezpiecznie się poszerza. Tymczasem na odmienną często reaguje się niechęcią, tacy jesteśmy albo bywamy, to ludzkie i normalne. Dopóki takie reakcje nie są połączone z agresją, trzeba to zrozumieć zamiast piętnować. Polacy wyjeżdżający na studia do innych krajów również spotykają się z różnym przyjęciem.

Wielkim błędem jest natomiast brak programów integracyjnych na uczelniach. Przyjmuje się studentów z zagranicy i nie robi nic, by przestali się trzymać w swoich grupach narodowych. Podczas zajęć getta ławkowe tworzą się spontanicznie i samorzutnie, a tłem niskiego stopnia integracji pozostaje raczej bariera językowa niż odmienności narodowe czy rasowe. Pisałem już o tym na tych łamach (*Jak sobie radzimy z najazdem*, FA 6/2018). Zamiast integrować zagranicznych studentów z polską społecznością zachęca się ich, żeby donosili na miejscowych za ich rzekomo niewłaściwe zachowania. Niektórzy korzystają z zaproszenia. Domyślam się, że najchętniej ci najsłabsi.

By zakończyć ten wątek: jedno tylko jest pewne – na uniwersytecie i gdzie indziej wszystkim należy się szacunek. Bez wyróżniania grup, które zasługują na to bardziej niż inne. Kursy, szkolenia, komisje i zespoły robocze – wszystko to kopia urzędzeń z uniwersytetów amerykańskich, gdzie ze złą sławą działają one od dziesięcioleci. W Polsce, począwszy od lat dzie-

więćdziesiątych, napisano na ten temat tony tekstów. Ale my musimy ochoczo kopiować to, co gdzie indziej się nie udało, zamiast się uczyć na cudzych błędach.

Spisek przeciwko kobietom

I wreszcie sprawa poradników językowych. Tworzy się je rzekomo po to, żeby uniknąć „wypowiedzi o charakterze homofobicznym i dyskryminującym”. Na Uniwersytecie Warszawskim powstał dokument dotyczący języka niedyskryminującego. „Nie są to normy regulaminowe, ale wskazówki, dzięki którym komunikacja między poszczególnymi członkami społeczności akademickiej może stać się łatwiejsza” – napisał pewien portal. Serdecznie dziękuję za takie ułatwienia. Podobno lepiej napisać: „Studenti i studentki, którzy zapiszą się na lektorat”, niż: „Studenti, którzy zapiszą się na lektorat”. Bo może to być odbierane tak, jakby kobiety zostały wykluczone! Przez kogo? – pytam. Jaki trzeba mieć mózdek, by tak pomyśleć? Poddawanie się atmosferze podej-

rzeń, szukanie spisku przeciwko kobietom w ogłoszeniach o lektoracie wydaje się jednak drobną przesadą. Czy naprawdę chcemy mieć na uniwersytecie własny, akademicki, postępowy makkartyzm?

Będąc polonistą, pisarzem i redaktorem z długim stażem, śmieję się z bzdurnego (inaczej tego nie nazwę) udawania, że w zakresie znaczeniowym słowa „studenci” nagle brakuje już studentek, a znaczenie słowa „badacze” nie zawiera kobiet. To szkodliwy idiotyzm, którego skutkiem w tekstach są koszmarki w rodzaju „wykładowcy/wykładowczynie”, „autorzy/autorki” i tym podobne produkty idei łamania. Owe łamańce w redagowanych tekstach usuwam bez litości. Inteligentna kobieta nie obrazi się na język polski za to, że tak a nie inaczej się ukształtował przez wieki. A manipulacje językowe, jak się wydaje, w ogóle są tym, czego kobiety najmniej potrzebują. Potrzeba im ze strony mężczyzn zainteresowania, docenienia i normalnego, partnerskiego traktowania, a nie zmyślania leksykalnych wygibasów.



Fot. Stefan Ciechan

Nauczyciele i Akademia

Nadchodzi czas nauczycieli myślących o swojej pracy podobnie jak to robi akademia. Mam na myśli nauczycieli podejmujących badania, jak ich uczniowie faktycznie się uczą i jak im w tym systemowo skutecznie pomagać. Akademia będzie w tym dziele przydatna o tyle, o ile znajdzie drogę do nawiązania współpracy z nauczycielami na odpowiednio głębokim poziomie.

W 2019 roku ukazał się nakładem Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego zbiór esejów *Rozwój własny nauczyciela*, napisanych przez doświadczonych nauczycieli z Polski i USA. Eseje te pokazują, że wychowywanie i kształcenie uczniów na mądrych i kompetentnych obywateli to trudne zadanie, którego wykonywanie jest sztuką i wymaga od nauczycieli umiejętności własnego rozwoju. Jednak praca nauczyciela nie jest obecnie rozumiana i doceniana zgodnie z zasadą, że „takie będą rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Zmiana tego stanu rzeczy wymaga współpracy nowego rodzaju między nauczycielami wszystkich szczebli.

Profesor Andrzej Białas, były prezes PAU, napisał w „Pauzie Akademickiej” (nr 484), że za najciekawszy uważa esej, który podaje przykład programu kształcenia postawy demokratycznej przez wyrabianie w uczniach nawyku stawiania sobie pytań. Skąd to wiem i jakie są na to dowody? Czy wszyscy się z tym zgadzają, czy też mają inne poglądy, jakie one są? Jak ten element łączy się z resztą mojej wiedzy? Czy jest w tym prawidłowość? Czy widzę korelacje albo związki przyczynowo-skutkowe? Zakładając, że to czy tamto byłoby inne, co jeszcze by się zmieniło? Jak bym się tego dowiedział? Kogo to obchodzi? Czy to ważne? Dlaczego? Słowami profesora Białasa: „Wszak gdybyśmy wszyscy posiadli ten nawyk, rzeczywistość polityczna wyglądałaby zupełnie inaczej, a fejkniusy czy trolle nie byłyby tak groźne”. Dodałbym, że proces stawiania pytań i znajdowania realistycznych odpowiedzi jest drogą tworzenia naszego obrazu świata, który przekazujemy dzieciom i młodzieży. Nauczyciel musi sam nabrać nawyku zadawania sobie pytań, żeby móc go kształcić u uczniów.

W rozmowach na temat treści zawartych w esejach spotkałem się z różnym ich odbiorem. Skrajnym przykładem bywa stwierdzenie, że lepiej trzymać się od oświaty z daleka i przeżyć. Na szczęście nie wszyscy uczeni tak myślą, czego przykładem jest zaangażowanie Mariana Smoluchowskiego w sprawy kształcenia. Nie chodzi tu też o złe pojętą działalność, uchodzącą za oświatową, ale o rolę szkoły w społeczeństwie. Krótko można powiedzieć nie tylko, że szkoła jest miejscem, w którym dzieci i młodzież poznają podstawy i zasady życia społecznego, ale także znacznie mocniej stwierdzić, że nie ma demokracji bez edukacji, bo demokracja wymaga szkoły myślenia. Obrazowej ilustracji tego faktu dostarcza *Władca much* Williama Goldinga.

Na czym polega znaczenie pracy nauczyciela

Pozwolę sobie przytoczyć z własnego doświadczenia przykład sugerujący, że rozumowanie stosowane w nauce może być pomocne nauczycielom w kształtowaniu postaw uczniów. Prowadziłem kiedyś zajęcia dla nauczycieli szkół podstawowych na temat prądu elektrycznego według zasad propagowanych przez Lillian McDermott i jej zespół dydaktyki fizyki na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Zajęcia polegały na samodzielnym wykonywaniu doświadczeń przez uczniów w klasie podzielonej na kilkusobowe zespoły i na dyskusji otrzymanych wyników z instruktorem. W pewnym momencie nauczycielka angielskiego wykrzyknęła: „To wcale nie chodzi o fizykę!”. Rozmowa w zespole o przyczynie tego archimedowego okrzyku wyjaśniła, że nasz tok rozumowania na temat prądu elektrycznego miał uniwersalne cechy. Prowadząc podobne zajęcia, spotykałem się ze stwierdzeniami nauczycieli różnych przedmiotów, że gdyby byli uczeni metodą McDermott jeszcze jako uczniowie w szkole, to pewnie poszliby na fizykę. Jestem przekonany, że wrażenia uczestników z zajęć prowadzonych na podobnych zasadach w kontekście jakiejś innej dziedziny byłyby podobne.

W sytuacjach społecznych mamy do czynienia z bardzo skomplikowanymi sprawami, których nie potrafimy lub nie możemy rozstrzygnąć za pomocą doświadczenia i rozumowania, tak jak to się robi w fizyce. Jak wtedy odróżnić realistyczne uzasadnienie decyzji od opinii lub demagogii? Po czym poznać, że faktycznie nikt nie wie, co zrobić, a dokonując wyboru, musimy zdać się na łut szczęścia? Czym się kierować, gdy w niepewności dochodzi do głosowania? Co robić, gdy mniejszość ma inne zdanie niż większość, a nie jest jasne, że większość ma rację? Gdzie leży granica między postępowaniem racjonalnym a nieracjonalnym? Czego w tej sprawie ma uczyć szkoła? Jak?

Spróbujmy określić, co to znaczy uczyć się i na czym polega znaczenie pracy nauczyciela. Literatura na ten temat jest ogromna, więc potrzebne jest daleko idące uproszczenie. Posłużę się modelem. Przyjmijmy, że ludzki mózg rośnie podobnie do drzewa, które z malutkiego nasienia zamienia się w wielką strukturę. Zamiast o konarach, gałęziach i liściach myślimy o sieci neuronów, które łączą się ze sobą przez synapsy. Myślenie polega na powstawaniu i rozchodzeniu się w tej sieci impulsów elektrycznych. Według tego modelu ludzki umysł

się uczy, gdy wzmacniają się w nim już istniejące i powstają nowe synapsy. Tworzą się wtedy nowe obwody i obiegi impulsów. Chwilowe zapamiętywanie nie wiąże się z trwałymi zmianami w strukturze i działaniu mózgu.

Uczenie się to budowanie nowych połączeń

Załóżmy dalej, że proces zmian w mózgu zachodzi zgodnie z zasadą Donalda Hebba, podaną przez niego ponad siedemdziesiąt lat temu w książce *Organization of behavior*. Zasada ta mówi, że jeśli elektryczna aktywność neuronu A wywołuje elektryczną aktywność neuronu B, to synapsa łącząca neuron A z neuronem B wzmacnia się, rozrasta lub neuronowi A wyraasta dodatkowa synapsa do komunikacji z B. Neuron rośnie w kierunku tych neuronów, które na niego reagują. Podobnie, gdy mówimy do słuchaczy, widzimy, że część z nich wyraźnie słucha, część zdaje się nie mieć pewności, że wie o co chodzi, a niektórzy nawet nie starają się udawać, że uważają. Łapiemy się na tym, że mówimy głównie do tych pierwszych.

Źródłem informacji niezbędnej do budowy białka synaps jest kod genetyczny. Lecz geny są bardzo ciasno spakowane, zwinięte. Muszą powstać odpowiednie warunki, żeby kod rozwinął się i udostępnił swoją treść. Gdy aktywność jednego neuronu stymuluje aktywność drugiego dostatecznie intensywnie, to powstają warunki chemiczne, w których kod rozkręca się i może dochodzić do budowy białka synapsy. W konsekwencji neurony łączą się na stałe i zaczynają współdziałać coraz płynniej i szybciej. Uczenie się to budowanie nowych połączeń i osiągnięcie płynności i szybkości ich działania.

Praca nauczyciela polega na tworzeniu warunków, w których w mózgach uczniów rozwija się aktywność neuronów do tego stopnia, że powstają w nich nowe stabilne obwody. Od pracy nauczyciela zależy, jakie będą te obwody.

Aby uczniowie dostatecznie angażowali się w naukę, muszą chcieć się uczyć. Inaczej nie daje się wykonać pracy niezbędnej do budowy białka. Świadczy o tym np. fakt, że specjaliści

potrzebują około dziesięciu tysięcy godzin praktyki w swojej dziedzinie, żeby stać się mistrzami. Ta charakterystyczna liczba godzin wynika głównie z badań Andersa Ericssona, a jej popularne wyjaśnienie można znaleźć w książce Malcolma Gladwella *Outliers*. Zawód nauczyciela nie jest wyjątkiem. Żeby osiągać wyniki w nauczaniu, nauczyciel musi interesować się tajemnicami warunków, w których uczniowie chcą się uczyć. Musi chcieć pracować nad własnym rozwojem, żeby umieć pomagać uczniom w ich rozwoju, zwłaszcza tym, których warunki rodzinne nie są stymulujące.

W naszym modelu wyjątkowość roli nauczycieli bierze się z wywierania przez nich ustawicznego wpływu na działanie neuronów w szybko rosnących mózgach uczniów. Od postępowania nauczycieli zależą więc struktura i funkcja istotnych połączeń, które potem będą działały w mózgach dorosłych i determinowały los społeczeństwa, które ci dorośli będą potrafili tworzyć.

Wysiłek potrzebny do wzrostu synaps

W systemie totalitarnym warunki pracy zmuszają nauczycieli, żeby tworzyli w mózgach uczniów struktury strachu i lojalności. Młode neurony są łączone synapsami powstałymi w wyniku odpowiedniego musztrowania. Dorośli niewiele mogą zmienić w swoim sposobie myślenia, bo obwody wyrosły im za młodu trudno zastąpić nowymi. W systemie kapitalistycznym, którego historia według Petera Druckera, autora *Post-Capitalist Society*, powoli dobiega już końca, nauczyciel postrzegany jako pracownik na taśmie produkcyjnej, zatrudniony do przerobienia z uczniami konkretnego podręcznika w przeznaczonym na to czasie i miejscu, nie może brać serio pod uwagę zainteresowań wszystkich uczniów i różnic między nimi. Jednak nasz model mówi, że jeśli uczniowie nie są zainteresowani tematem i nie chcą się nim zajmować, to nie podejmują wysiłku potrzebnego do wzrostu synaps. Po zdaniu obowiązkowego egzaminu szybko zapominają, o czym była mowa, bo nie mają



Fot. Stefan Ciechan

niezbędnych obwodów myśli. Tym samym czas ich młodego życia potrzebny na rozwój synaps jest zaprzepaszczone. Tak szkolone umysły rosną jak drzewka *bonsai*, a wydaje im się, że rosną najlepiej jak można. Przykładem współczesnego ograniczenia koncepcyjnego tego typu jest nabywane w szkole przekonanie, że utrzymywanie systemu edukacji, w którym mechanizm uczenia się przez ludzki mózg jest sztucznie ograniczony, nie jest przestępstwem.

Powyższe przykłady nie wyczerpują wszystkich możliwości. Historycznie ukształtowana sytuacja współczesnej szkoły jest bardzo złożona i staje się coraz trudniejsza. Liczba ludzi na Ziemi w końcu osiągnie maksimum. Jeśli wierzyć przestrogom, czekają nas groźne zmiany klimatyczne. Ucieczka na Księżyc i Marsa nie odpowie na pytanie, jak uczyć. Edukacyjna propaganda uprawiana w skali tysięcy, wieków czy od wyborów do wyborów nie zmieni woli życia zapisanej w naszych genach w wyniku bardzo wielu milionów lat ewolucji. W dwudziestym pierwszym wieku zaczynamy coraz szerzej już sami odpowiadać sobie na pytanie, komu i po co służymy swoją pracą, na czym polega zadanie, któremu poświęcamy większość dnia. Można przewidywać, że nauczyciele będą coraz więcej mówić o treści i sposobach nauczania, środkach do dyspozycji, warunkach pracy i zatrudnienia oraz swojej faktycznej roli w społeczeństwie.

Dostęp do kluczowych danych

Treść książki *Rozwój własny nauczyciela* sugeruje, że nadchodzi czas nauczycieli myślących o swojej pracy podobnie jak to robi akademicy. Mam na myśli nauczycieli podejmujących badania, jak ich uczniowie faktycznie się uczą i jak im w tym systemowo skutecznie pomagać. Akademia będzie im w tym dziele przydatna o tyle, o ile znajdzie drogę do nawiązania współpracy z nauczycielami na odpowiednio głębokim poziomie. Nauczyciele szkolni mogą ją do tego mobilizować, wybierając do pomocy tych nauczycieli akademickich, z którymi współpraca okazuje się owocna z nauczycielskiego punktu widzenia. Trzeba jednak pamiętać, że oświata jest trudniejsza niż jakakolwiek dyscyplina naukowa. Przykłady ograniczone do jednej dyscypliny same z siebie nie wystarczą. W szkole przyszłości nauczyciel będzie poznawać człowieka i uczyć się, jak mu pomagać we wszechstronnym rozwoju. Nauczycielom akademickim potrzebne jest głębokie zrozumienie sytuacji szkolnego nauczyciela z powołania, który oprócz trudności merytorycznych i dydaktycznych musi pokonywać trudności psychiczne, jakie powstają w systemie nastawionym na testowanie uczniów i zaspokajanie oczekiwań organów prowadzących i nadzorujących, zamiast potrzeb uczniów.

Wyniki nauczania zależą od tak wielu czynników, że trudno dzisiaj upierać się przy jakiejś receptce. Znamy przykłady programów, które odniosły zauważalny sukces. Można je naśladować i ulepszać. Wszystkie złożyły się na dzisiejszą postać doktryn edukacyjnych. Współcześnie powszechna forma obowiązkowej szkoły ma już prawie czterysta lat, licząc od czasów Jana Amosa Komeńskiego. W jego dziele *Didactica Magna* nauczyciel jest zredukowany do lektora podręcznika i weryfikatora jego treści odtwarzanej z pamięci przez uczniów. Tymczasem nasz prosty model ilustruje, że nie tędy droga. A zatem którędy?

Poszukiwanie odpowiedzi, naśladując pracowników nauki, należałoby zacząć od pytania, jakie mamy dane, które chcemy zrozumieć, jakie jeszcze dane chcemy zebrać itd. Jedynymi ludźmi, którzy mają bezpośredni dostęp do kluczowych danych, są nauczyciele i uczniowie. Nikt oprócz nauczycieli nie spędza każdego dnia szkoły na obcowaniu z uczniami i nie śledzi ich w codziennym rozwoju przez wiele lat. Wszyscy inni znawcy tematu obserwują szkołę z zewnątrz. Nauczyciele są też faktycz-

nymi twórcami procesu szkolnego. Są jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, co się w tym procesie dzieje zgodnie z ich własną intencją, planem i jego wykonaniem, a co nie. Nikt oprócz nauczyciela nie wie, co on sam myśli i co robi, gdy jest sam z uczniami. Nikt nie poznaje uczniów tak, jak nauczyciel, który sprawdza ich prace domowe i klasówki albo pracuje razem z nimi, żeby zarobili na wycieczkę do Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, gdy rodziców nie stać na pokrycie kosztów takiej wyprawy z odległej wioski do stolicy.

Nauczyciele chcieliby prowadzić badania

Przyjąwszy, że tylko nauczyciele mają dostęp do właściwych danych, dochodzimy do wniosku, że odkrycia czekają, jak w przypadku Becquerela czy Fleminga. Trzeba tylko umożliwić nauczycielom badanie, porównywanie, rozmowę z uczniami, śledzenie ich losów, stawianie i sprawdzanie hipotez, dyskusowanie, publikację, recenzowanie, wykluczanie błędnych poglądów i budowanie teorii.

Czy nauczyciele chcą to wszystko robić? Z badań socjologicznych, w szczególności Dana Lortie, opisanych w książce *School teacher: A Sociological Study*, wynika, że większość nauczycieli chciałaby prowadzić jakieś badania, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać i co by im to dało, a przecież pracy mają i tak ogromnie dużo. Co więcej, są zajęci nauczaniem. Nie chcą prowadzić „badań” kosztem owocnej pracy z uczniami. To właśnie ta praca ich wciąga, daje im poczucie sensu w życiu, satysfakcję, płynącą ze spojrzenia lub uśmiechu dziecka, które zrozumiało, o co chodzi, poczuło wdzięczność i dało jej wyraz. Wtedy czują się jak uczeni, który przeżywa moment Aha!

Żeby nauczyciele rozpoczęli proces systematycznego odkrywania, jak uczyć w szkole, ktoś musi im pomóc zrozumieć, że ich praca z uczniami wymaga badań i tylko oni mają dostęp do podstawowych danych. To od nich zależy, w jakim stopniu te dane będą zbierane, analizowane i rozumiane. Ktoś musiałby zachęcić nauczycieli do dokumentowania własnych wyników, sprawdzania prawidłowości odkrywanych przez innych nauczycieli na zasadzie odtwarzalności wyników, tworzenia własnych miar postępów w pracy z uczniami i eliminowania fałszywych tropów. W tym celu potrzebna jest odpowiednia organizacja. Współpraca nauczycieli szkolnych z uczonymi, gdy ci drudzy już tworzą organizację badawczą o światowym zasięgu, może obie strony zbliżyć do celów, którym służą.

Ważną rolę twórczą ze strony nauczycieli mogłyby odegrać w tej sprawie już istniejące organizacje, np. ZNP, STO, KFON czy LTPN w porozumieniu z lokalnymi samorządami, ale one też potrzebują pomocy akademii.

Profesor Białas napisał w „PAUzie” (nr. 483), że obywatelom trzeba tłumaczyć, iż „demokracja się opłaca”. Wygląda na to, że trzeba zaczynać bardzo wcześnie. Któż więc oprócz nauczycieli mógłby to robić? Nauczyciele musieliby jednak zorganizować się w sprawie poszukiwania odpowiedzi na pytania, co i jak robić. Akademia może dzielić się z nauczycielami swoim rozumieniem, na czym polega historycznie uwarunkowana organizacja pracy badawczej. Mówiąc najkrócej, akademia jest już w znacznym stopniu demokratyczna. Jeśli owocne tłumaczenie opłacalności demokracji wymaga wzrostu sprawnych kombinacji neuronów i synaps od małego, to właśnie na akademii spoczywa teraz odpowiedzialność za pomoc nauczycielom. Odpowiednia organizacja nauczycieli uwolniłaby ich koncepcyjnie od respektowania nieuzasadnionych opinii i dała im w efekcie niezłomne poparcie rodziców w dbaniu o rozwój uczniów.

Prof. dr hab. Stanisław D. Glazek, fizyk,
Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego

Dariusz Żółtowski

Czytanie na akord

czyli jak popsuć filologa

Lekturowy przymus sprawia, że nie czytają studenci, nie czytają wykładowcy. Choć ci drudzy rzadziej się do tego przyznają.

Co roku studia polonistyczne podejmują setki, jeśli nie tysiące absolwentów liceów. Są to w większości kobiety. Czego oczekują, decydując się na ten kierunek? Gdybyśmy się odwołali do źródłosłowa *filologa*, to uzyskalibyśmy połączenie następujących słów: *philéo* 'lubię' oraz *lógos* 'słowo, nauka'. Przyjmijmy, że filolog to ktoś, kto kocha słowo. I zapewne rzeczywiście większość kandydatów na studia polonistyczne decyduje o wyborze tego kierunku, ponieważ kocha czytać. Kocha czytać, mimo że szkoła nie sprzyja czytaniu, tzn. czyta się pozycje, które nie interesują uczniów. Ale oprócz nich istnieje pozalekturowe życie czytelnicze. Kilka tekstów w roku, nie więcej niż jedna powieść miesięcznie. Dzięki temu da się znaleźć czas na lekturę tego, co w istocie interesuje dorastającego człowieka. Szkoła daje kanon (choć nad jego doborem można się zastanawiać), resztę uczeń zapewnia sobie sam.

Na studiach wygląda to zgoła odmiennie. Na pierwszym roku polonistyki na UW studenci zostają zbombardowani tytułami, które muszą przyswoić. Jest ich bardzo dużo, po prostu za dużo. Dla przykładu, na kurs literatury polskiej 1918-1945 (przedmiot ten trwa semestr) trzeba przeczytać: pięć syntez historycznoliterackich, trzydzieści dwie pozycje lekturowe oraz pięć pozycji z listy lektur dodatkowych. Łącznie czterdzieści dwie pozycje do przeczytania w ciągu piętnastu tygodni. To wszystko warte jest 7 punktów ECTS, czyli (w teorii) 210 godzin pracy studenta (minus 30 tzw. godzin kontaktowych spędzonych na ćwiczeniach w sali). Zastanówmy się, gdzie przy takiej intensywności lektury znaleźć czas na większy namysł nad poszczególnymi pozycjami. A może właśnie chodzi o brak tego namysłu i przyswojenie oglądu, który wypracowali wybitni historycy literatury, krytycy? Szczerze mówiąc, nie wiem, jaki cel mają tego rodzaju działania. Wiem natomiast, że program studiów polonistycznych powinien zostać zreformowany.

„Ilu starców podglądało Zuzannę?”. „Jak miały na imię córki Lota?”. „Który ptak śpiewał tak, że aż skała zapłakała?”. „Pamięta pan tytuły wierszy z tomu (tu pada nazwa tomu)?”. To łatwiejsze pytania, jakie można przeczytać lub usłyszeć na egzaminie czy zaliczeniu przedmiotu z programu filologii polskiej. Inne kwiatki to m.in. fragmenty łacińskich wierszy, do których trzeba dopisać tytuł (po łacinie). O cel tego typu działań nawet nie pytam.

Z jednej strony coraz częściej mówi się o nowej wizji polonisty czy, szerzej, filologa. Dobłą egzemplifikacją tej postawy jest książka Ryszarda Koziołka *Dobrze się myśli literaturą*. Autor przedstawia czytanie jako sposób myślenia, poszukiwania wspólnego języka. Z drugiej strony uniwersytety utwierdzają się w klasycznych modelach nauczania. Zresztą model ten odnajdziemy w pracach Krystyny Koziołek, która w jednym z artykułów przyznaje, że jest zwolenniczką testowania znajomości szczegółów przeczytanych powieści. Taki model lektury dominuje na uczelni, dominuje w szkole, na którą uczelnia ma bardzo duże przełożenie. Jest to postawa anachroniczna, pozbawiona sensu, dziś nie da się już objąć wszystkich dzieł, które piszą ludzie. Nie da się nawet być z nimi na bieżąco. Coraz częściej recenzenci przyznają się do pobieżnego przeglądania omawianych dzieł, przecież dwa akapity tekstu opublikowanego w czasopiśmie (szpalta jest cenna) nie rekompensują karkołomnego zadania przeczytania tysiąca stron. W tej chwili chyba już tylko czasopisma naukowe oraz specjalistyczne magazyny literackie publikują obszerne recenzje, a przy okazji nie honorują swoich autorów.

Lekturowy przymus sprawia, że nie czytają studenci, nie czytają wykładowcy. Choć ci drudzy rzadziej się do tego przyznają. Wyjątek może stanowić Michał Rusinek, który przepytany przez Justynę Sobolewską przyznał, że czyta prace studentów, a powieści tylko te naprawdę interesujące.

Sándor Márai w *Księżdzie ziół* stworzył bodaj najpiękniejszą wykładnię czytelniczego dekalogu. „Czytać trzeba na śmierć i życie, bo to największy ludzki dar. Pomyśl: tylko człowiek umie czytać”. Ale jak czytać, kiedy czytanie odbywa się w systemie na akord? Czy od studentów polonistyki nie powinno się wymagać raczej zbudowania sieci powiązań między dziełami, które będzie mu dane przeczytać, niż czytania w systemie: zakuć – zaliczyć – zapomnieć? Dopóki system kształcenia na studiach filologicznych się nie zmieni, dopóty studia będą krzywdzić młodych ludzi żądnych prawdziwej lektury.

Dariusz Żółtowski, eseista, poeta i dramaturg. Polonista w Szkole Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi nr 330 w Warszawie. Stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Akademickie tradycje

Korygowanie jest konieczne, bowiem gdyby korekt zaniechano, to być może wyszlibyśmy z jaskini, o której mówił Platon, przedstawiając metaforycznie zarówno trud dążenia do prawdy, jak i istotne ograniczenia tych, którzy go podejmują, ale nie zaszlibyśmy zbyt daleko.

Środowisko akademickie żyje swoimi tradycjami. Jest to oczywiste. Wątpliwości pojawiają się dopiero wówczas, gdy przychodzi do wskazania wpływu tradycji na jakość i efektywność życia. Podtrzymywanie bowiem jednych buduje to życie, natomiast innych komplikuje je na tyle, że niejednokrotnie trudno się zorientować „kto jest kto?” i „co jest co?”. Wiele zależy tutaj nie tylko od umiejętności korzystania z tradycji przez akademicką społeczność, lecz także od używania akademickich określeń zgodnie z ich pierwotnym znaczeniem.

Akademicki rytualizm

W akademickich rytuałach tradycja jest widoczna gołym okiem, bowiem wyraża się w sięgających czasów średniowiecza łacińskich określeniach i strojach, jak birety czy togi. Przez osoby nieceniące specjalnie tej tradycji może to być traktowane jako udziwnienie. Jednak generalnie społeczność akademicką rytuały traktuje na tyle poważnie, że celebrowane są przez kolejne pokolenia uczonych. I dobrze, bowiem budują nie tylko ich specyficzną tożsamość, lecz także poczucie wyjątkowości, które sprawia, że uczeni podejmują naukowe wyzwania i zadania do rozwiązania. Zaczynają one jednak tracić na powadze wówczas, gdy wprowadzie łacińskie określenia i stroje z grubsza się zgadzają, a nawet zgadza się akademicka tytulatura (przypomnę, że rektorowi przysługuje tytuł magnificencja, czyli wspinały), jednak ich związek z tradycją kończy się wówczas, gdy nie idą za tym osiągnięcia badawcze uczelni, „windujące” ją na wysokie miejsca w rankingach. Rzecz jasna żadna uczelniana społeczność nie składa się z samych noblistów czy kandydatów do tej nagrody. Jednak szkoła wyższa, która posiada w swojej nazwie „uniwersytet” albo też któryś z jego odpowiedników, ma legitymację do nazywania się w ten sposób tylko wówczas, gdy prowadzi poważne badania oraz kształci na poziomie wyższym niż średni.

Nie inaczej jest z używaniem akademickiej tytulatury, która stanowi wyraz miejsca zajmowanego przez uczonego w hierarchii uczelnianej. Na najniższym szczeblu sytuuje się magister. Wygląda na to, że obecnie często się zapomina, iż ten wywodzący się z języka łacińskiego akademicki stopień naukowy oznaczał nie tylko nauczyciela, ale także mistrza. Jest to w jakiejś mierze zrozumiałe. Cóż to bowiem za „mistrz”, który posiada wprawdzie stopień, ale raczej niechętnie sięga po naukową czy chociażby popularnonaukową publikację, a jeśli nawet padnie mu ona w ręce, to ma trudności z jej zrozumi-

mieniem i doczytaniem do końca? Rzecz jasna nie twierdzę, że dotyczy to wszystkich magistrów. Twierdzę natomiast, że przy dzisiejszym masowym kształceniu jest ich tak wielu, że coraz trudniej znaleźć odpowiednich kandydatów na studia doktoranckie, a później, gdy już doktoranci uporają się z doktoratem, coraz trudniej znaleźć takich, których z pełnym przekonaniem można zatrudnić na uczelnianych etatach naukowo-badawczych lub naukowo-dydaktycznych.

I w tym przypadku warto przywołać akademicką tradycję związaną ze stopniem naukowym doktora. Wywodzi się on również z czasów średniowiecza i nadawany był w Kościele osobom, które miały szczególnie istotne zasługi, a na uczelniach tym, którzy wykazali się znacznie większymi osiągnięciami naukowymi niż magistry. Jednak „na bezrybiu i rak ryba”, jeśli tak można powiedzieć o sytuacji, w której trzeba kogoś zatrudnić na etatach, aby zachować chociażby prostą reprodukcję kadrową. Więc się zatrudnia. Czasami są to osoby o faktycznie wysokich kwalifikacjach, niekiedy takie, które wprawdzie jeszcze ich nie posiadają, ale dobrze się zapowiadają (czasem na dobrych zapowiedziach się kończy). Na najwyższym szczeblu hierarchii znajduje się, a przynajmniej powinien się znajdować, profesor. Nie chciałbym się spotkać z zarzutem kalandriarstwa, jeśli powiem zatem, że dzisiaj tytuł ten zdewaloryzował się do tego stopnia, że w niektórych krajach zachodnich unika się jego używania, a w naszym (ale nie tylko) używa się go tak często, że trudno się niejednokrotnie zorientować, czy mamy do czynienia jedynie z tytulaturą, czy również z osobą o faktycznie profesorskich kwalifikacjach i osiągnięciach naukowych.

Akademicka universitas

Tytułowe określenie może wyglądać zagadkowo. Nie ma jednak w nim wielkiej tajemnicy, bowiem odnosi się zarówno do samego określenia uniwersytet (przypomnę, że wywodzi się ono z łacińskiego *universitas magistrorum et scholarium*, oznaczającego ogół nauczycieli i uczniów), jak i sposobu zdobywania w nim kolejnych umiejętności (od praktycznych do teoretycznych) oraz osiągania kolejnych poziomów wiedzy. W czasach średniowiecza wypracowane zostały w tym zakresie regulacje prawne, które sprawiały, że nazwy uniwersytet mogły używać jedynie szkoły wyższe spełniające dosyć rygorystycznie egzekwowane warunki. W tzw. stroju srobońskim było to kształcenie studentów na co najmniej czterech wydziałach: sztuk wyzwolonych (takich np. jak retoryka czy poetyka),

prawa kanonicznego, medycyny i teologii (rzecz jasna chrześcijańskiej). Jednym z warunków podjęcia studiów na najwyższym z nich, tj. teologicznym, był nie tylko odpowiedni wiek kandydatów, ale także ukończenie studiów na którymś z niższych wydziałów. Szkoły, które nie spełniały tych warunków, miały status kolegiów.

Zasady te obowiązywały przez co najmniej kilka stuleci i – co nie mniej istotne – były przestrzegane również na uczelniach, które dzisiaj należą do najbardziej prestiżowych, np. Uniwersytet Harvarda. Przypomnę, że początek tej uczelni dało założone przez purytanów w 1636 roku w Newtowne koło Bostonu kolegium, którego zadaniem było kształcenie młodzieży zgodne z wymaganiami teologicznymi i moralnymi. Uniwersytetem uczelnia ta stała się dopiero wówczas, gdy od kadry zaczęto wymagać również prowadzenia badań na wyższym poziomie i – co nie mniej istotne – przestała ona mieć charakter wyznaniowy (miało to miejsce około połowy XIX stulecia). Sugierowanie dzisiejszym założycielom czy uczelnianym władzom, aby wzorowały się na tej uczelni, nie tylko byłoby przysłowiowym wołaniem na puszczy, ale także rozmijaniem się z tzw. duchem naszych czasów. Dziś, gdy z całą pewnością żyje się w szybszym tempie, brakuje pokory, która sprawiała, że przez całe stulecie cierpliwie czekało się na spełnienie wymagań. Do takiego generalizującego wniosku skłania mnie m.in. pojawienie się (nie tylko zresztą w naszym kraju) wielu uczelni, które wprawdzie starają się (z różnym skutkiem) realizować kształcenie na poziomie wyższym, ale nie dokładają dostatecznych starań, aby badania były również na wysokim poziomie, a przynajmniej nie odbiegały rażąco od prowadzonych na uczelniach, które są uniwersytetami nie tylko z nazwy.

Jednak nawet na najlepszych uczelniach i w najlepszych zespołach badawczych pojawiają się sytuacje stawiające pod znakiem zapytania ową *universitas*. Sytuacji takich jest wiele i niejednokrotnie różnią się one istotnie między sobą. Jedną z nich są próby zawłaszczenia problemu badawczego lub jego rozwiązania. Nie posłużę się tutaj przykładem patologii, jaką jest plagiat, lecz zachowań w zespole badaczy, który w 1953 roku dokonał odkrycia podwójnej struktury DNA i otrzymał za to Nagrodę Nobla. Zespół stanowiło czworo uczonych, tj. Francis Crick, Maurice H.F. Wilkins, James D. Watson i Rosalind

E. Franklin. Z opisu jego funkcjonowania zawartego w książce F. Cricka *Podwójna helisa* wynika, że współpraca jego członków nie pod każdym względem układała się poprawnie. Przyczyniało się do tego m.in. „domaganie się przez R. Franklin, by DNA zostało jej oddane »na własność« jako przedmiot jej własnych badań”. Stanowiło to bez wątpienia szczególnie przypadkowy swoistego partykularyzmu. Skłonny jestem jednak zaryzykować twierdzenie, że wybitni uczeni to rzadko kiedy osoby o mentalności św. Franciszka, które bez żadnych oporów dzielą się z otoczeniem wszystkim, co posiadają. Przeciwnie, jeśli już do czegoś dojdą, to raczej dbają, aby ktoś inny nie podpisał się pod ich osiągnięciem. Problem polega jednak nie tyle na tego rodzaju zachowaniach, ile na tym, aby mieć uczonych, którzy doszli do czegoś istotnego w nauce i mają faktycznie czego bronić.

Korygowanie akademickich tradycji

Korygowanie jest konieczne, bowiem gdyby korekt zaniechano, to być może wyszlibyśmy z jaskini, o której mówił Platon, przedstawiając metaforycznie zarówno trud dążenia do prawdy, jak i istotne ograniczenia tych, którzy go podejmują, ale nie zaszlibyśmy zbyt daleko i – co gorsza – dreptalibyśmy w miejscu, do którego doszli już nasi poprzednicy. A przecież jesteśmy (ponoć) coraz mądrzejsi, a przynajmniej lepiej wyposażeni w różnego rodzaju narzędzia badawcze i poznawcze. Rzecz jasna owo korygowanie różnie przebiegało i wyglądało w różnych czasach i w różnych miejscach. Jednak wówczas, gdy dotyczyło kwestii najbardziej zasadniczych dla akademickiej społeczności, natrafiało z reguły na tak duże opory ze strony tradycjonalistów, że trzeba było sporych wysiłków wielu pokoleń nowatorów, aby coś istotnego w tej tradycji zmienić.

Jedną z opornych kwestii było uwolnienie uniwersytetów spod kurateli Kościoła i pozbawienie ich wyznaniowego charakteru. W krajach zachodnich dokonało się to w drugiej połowie XIX stulecia i przebiegało niejednokrotnie według schematu: tam, gdzie akademickie wahadło było zbyt mocno wychylone w kierunku wyznaniowości, następowało najpierw jego mocne wychylenie w kierunku wojującego antyklerykalizmu, a następnie pojawiał się kompromis. Jego wyrazem było m.in. dopuszczenie do uczelnianych katedr zarówno profesorów teistów, jak i profesorów ateistów i agnostyków. Tak to wyglądało i wygląda



Fot. Stefan Ciechan

m.in. na najbardziej znaczących dzisiaj uniwersytetach zachodnich, w tym na Uniwersytecie Harvarda. W krajach, które tak jak Polska około połowy XX stulecia znalazły się w strefie wpływu wzorców Wielkiego Brata ze Wschodu, charakterystyczne było łączenie wojującego antyklerykalizmu z nie mniej bojowym ateizmem. Miały one doprowadzić nie tylko do ateizacji środowiska akademickiego, ale także jego ideologizacji, która stawiała na ścisły związek upartyjnionej władzy z tak upartyjnioną nauką, aby profesorowie, którzy go nie popierali, znaleźli się na marginesie życia akademickiego. Taki sojusz władzy politycznej i władz uczelni miał zresztą miejsce również w przeszłości (żeby tytułem przykładu przywołać Anglię za panowania Elżbiety I). Jednak zarówno w przeszłości, jak i obecnie, mało kiedy dobrze na tym wychodziła i wychodzi społeczność uczelniana. Dzisiaj można już powiedzieć otwarcie (mam nadzieję), że nauka nie jest wyłącznie, a nawet przede wszystkim po to, aby spełniać życzenia politycznych decydentów.

Lista istotnych korekt tradycji akademickich, które dokonane zostały w przeszłości i dokonywane są obecnie, jest oczy-

wicie znacznie dłuższa. Nie miejsce tutaj na chociażby skrócone jej przedstawianie. Wskażę zatem jedynie tę, którą uważam za nie mniej istotną niż uwolnienie uczelni od kurateli Kościoła. Należy do nich korekta związana z myśleniem o nauce, zapożyczona z tradycji platońskiej (pod jej silnym wpływem pozostawał przez wieki m.in. Uniwersytet w Cambridge) oraz tradycji arystotelesowskiej (ona z kolei wywierała silny wpływ m.in. na uczonych Uniwersytetu Paryskiego, nazwanego nieco później Sorboną, oraz Uniwersytetu w Oxfordzie). Jeśli miałbym w tej kwestii sformułować krótką konkluzję, to powiedziałbym, że w przeszłości byli wielcy filozofowie, którzy potrafili wznieść się ponad ograniczenia umysłowe i instytucjonalne, na które napotykali i napotykają poszczególni uczeni. Jednak żaden z nich nie był tak wielki, aby wskazać jedynie niezawodną drogę do prawdy. A przecież o nią chodziło, chodzi i chodzić powinno uczonym.

Trochę się rozmarzyłem. Mam jednak nadzieję, że to marzenie nie jest już *demodé*.

Piwo łączy pokolenia

Rozmowa nabiera rozpędu, dystans między ludźmi się skraca, pojawiają się szalone pomysły – o swoich spotkaniach z piwem opowiada prof. dr hab. inż. **Tadeusz Słomka**, rektor AGH.

Śmiało mogę powiedzieć, że na koniec kadencji rektorskiej ziściło się moje marzenie. Browar Górniczo-Hutniczy, oficjalnie uruchomiony w styczniu 2020, jest miejscem wyjątkowym. Klub Studio, w którym jest zlokalizowany, oprócz oferty kulturalno-artystycznej może teraz poszczycić się również wspaniałym barem z piwem najwyższej jakości warzonym na miejscu. Uruchomiliśmy ponadczasowe miejsce integracji wszystkich pokoleń, bo piwo integruje, scala, wręcz cementuje przyjaźnie i znajomości. Tak właśnie myślę o naszym browarze – jako o miejscu spotkań studentów i pracowników, którzy w mniej formalnej atmosferze będą mogli usiąść i swobodnie porozmawiać. Z własnego, długoletniego doświadczenia w pracy na

uczelni, z młodymi ludźmi, wiem, jak bardzo spotkanie przy piwie może jednoczyć. Rozmowa nabiera rozpędu, dystans między ludźmi się skraca, a często pojawiają się szalone pomysły, które generują niezwykle inicjatywy.

Moje doświadczenia z piwem rozpoczęły się po egzaminie na studia – poszliśmy z kolegami na piwo do baru w głównym budynku AGH. Wkrótce potem został on zlikwidowany. Została tylko

stołówka pracownicza. Czasy studiów były trudne, a w okresie letnim często ma się ochotę na coś orzeźwiającego. Szansą dla nas, studentów AGH, był wówczas bar piwny „Pod Płachtą” na krakowskich Błoniach, niedaleko od uczelni. Piwo było tam prawie zawsze, ale zwykle czas oczekiwania w kolejce przewyższał pół godziny i należało się wcześniej zaopatrzyć w wolny kufel. Później, aż do 1989 roku, było jeszcze gorzej. Piwo było produktem niemal nieosiągalnym. Szansą na degustację były badania terenowe, które prowadziłem na Śląsku Cieszyńskim i na Żywiecczyźnie. Był to zapewne jedyny rejon w Polsce, w którym piwa nie brakowało, ponieważ na wczasy przyjeżdżali tam głównie górnicy.

Klub Studio od zawsze tętnił życiem i pozytywną energią. Browar Górniczo-Hutniczy nie mógł znaleźć lepszego adresu: w samym sercu Miasteczka Studenckiego AGH, w środku dużej metropolii, jaką jest Kraków. Jestem przekonany, że nasz browar w szczycie sezonu turystycznego stanie się również sporą atrakcją dla osób przyjeżdżających do Krakowa i szukających ciekawych miejsc, innych niż te, które znamy z popularnych przewodników.

W AGH piwo było obecne na różnych wydarzeniach związanych ze świętami uczelni: Dniem Górnika, Dniem Hutnika, rajdami studenckimi, zjazdami absolwentów itp. Teraz robimy je pod własną marką. Wytwarzane w AGH piwo już znalazło swoich miłośników. Zdecydowanie się do nich zaliczam. Natomiast preferowane przeze mnie piwa zmieniały się w czasie. Zaczynałem od klasycznego lagera, potem miewałem okresy fascynacji dunkiem czy pilssem. Ostatnio gustuję w ciemnych piwach górnej fermentacji typu stout. Ale najbardziej smakują piwa z Browaru Górniczo-Hutniczego. Są pyszne!



Fot. USMF

Fotoreportaż na III str. okładki

Marcin Chałupka

Wzmożenie legislacyjno-antywirusowe

Czy oświadczenia woli rektora wyrażone w okresie „zawieszenia funkcjonowania” uczelni będą skuteczne? Czy „zawieszenie funkcjonowania” uniemożliwia udostępnianie lokalu uczelni do realizacji prowadzonej w niej działalności gospodarczej?

W związku z zagrożeniem tzw. koronawirusem w wielu uczelniach rektorzy wydali specjalne zarządzenia i komunikaty. Presja czasu i emocji, jakiej poddano władze uczelni, wydaje się zrozumiała, przebija też z treści tych aktów. Uczelnie jedna po drugiej kopiowały pewne rozwiązania, bo sąsiednia już „się zamknęła”. Gdy ukaże się ta publikacja, przygotowana 12 marca br., emocje opadną, można będzie z dystansem ocenić owoce viral-legislation.

Tekst ten jest ironiczny, nie jestem „po stronie wirusa”. Nie krytykuję autorów projektów zarządzeń, a tym bardziej rektorów czy większości parlamentarnej popierającej dane rozwiązanie. Pewnie postąpiono jak powiedział Pan Premier, że lepiej stosować działania na wyrost, niż potem narzekać, że wirus rozlał się po kraju (<https://wyborcza.pl/7,75398,25777509,konferencja-prasowa-po-posiedzeniu-rzadowego-zespołu-zarządzania.html>). Ale w trosce o jakość uczelnianej legislacji warto poniższe pytania postawić.

Kto zamyka uczelnię?

W niektórych uczelniach z zaskoczeniem skonstatowano, że rektor (chyba) już nie może „zamknąć” uczelni. Stara ustawa zawierała art. 229, a w nim: „1. Rektor, w razie powstania okoliczności uniemożliwiających normalne funkcjonowanie uczelni, może czasowo zawiesić zajęcia w uczelni lub w jej jednostkach organizacyjnych albo zarządzić czasowe zamknięcie uczelni lub jej jednostki organizacyjnej. 2. Decyzję podjętą na podstawie ust. 1 rektor niezwłocznie przedstawia senatowi uczelni do zatwierdzenia. W przypadku odmowy zatwierdzenia tej decyzji przez senat, rektor zarządza wznowienie zajęć lub otwarcie uczelni lub jej jednostki organizacyjnej albo przedstawia sprawę do rozstrzygnięcia ministrowi właściwemu do spraw szkolnictwa wyższego, który podejmuje decyzję w ciągu siedmiu dni”.

W nowej ustawie PSWiN takiej regulacji nie znajdziemy. Mamy tylko rozporządzenie MNiSW do art. 51 ust. 2 PSWiN, a w nim: „par. 1 ust. 1. Rektor w ramach zapewniania w uczelni bezpiecznych i higienicznych warunków pracy i kształcenia: 1) analizuje i identyfikuje zagrożenia dla zdrowia i życia oraz ocenia i dokumentuje ryzyko związane z pracą i kształceniem

w uczelni, wynikające z realizowania zadań uczelni, oraz podejmuje działania profilaktyczne zmniejszające to ryzyko. 2. Rektor zapewnia uwzględnianie wyników analiz, o których mowa w ust. 1 pkt 1 i 3, w procesie organizacji pracy i kształcenia w uczelni”. Nie ma tu opcji „zamykania” uczelni. Czy w ramach „działań profilaktycznych” możliwe byłoby zamknięcie takiego zamknięcia? Np. dla „zapewnienia uwzględnienia wyników analiz”, z których wynikało, że trzeba zamknąć? W par. 5 ust. 5 przewidziano obligatoryjne czasowe zawieszenie zajęć w pomieszczeniach uczelni, ale tylko jeżeli „warunki, o których mowa w ust. 1 pkt 4, stwarzają zagrożenie dla zdrowia lub życia. Ale te warunki to warunki w zakresie oświetlenia, wentylacji, ogrzewania i powierzchni użytkowej określone w przepisach wydanych na podstawie art. 23715 § 1 ustawy z dnia 26 czerwca 1974 r. – Kodeks pracy (Dz. U. z 2018 r. poz. 917, 1000, 1076, 1608 i 1629)”. Jest jeszcze par. 5 ust. 2: „W przypadku stwierdzenia zagrożenia dla zdrowia lub życia podczas korzystania z pomieszczeń uczelni lub wyposażenia technicznego rektor wprowadza zakaz korzystania z nich oraz nakazuje usunięcie stwierdzonego zagrożenia”. Można domniemać, że przepis powstał, by chronić przed zagrożeniami wynikającymi z samych pomieszczeń lub wyposażenia technicznego, ewentualne wprowadzenie zakazu korzystania z pomieszczeń uczelni z powodu ryzyka przenoszenia się w nich koronawirusa, nadal nie oznacza jej zamknięcia ani zawieszenia funkcjonowania.

Specustawa - specyptania

Prawodawca „na czas” rozwiązał powyższy problem. Mocą ustawy z dnia 2 marca 2020 r. o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, innych chorób zakaźnych oraz wywołanych nimi sytuacji kryzysowych (Dz. U. z 2020 r. poz. 374), zwaną dalej specustawą, do PSWiN po art. 51 dodano art. 51a w brzmieniu: „W przypadkach uzasadnionych nadzwyczajnymi okolicznościami zagrażającymi życiu lub zdrowiu członków wspólnoty uczelni minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego i nauki, w drodze rozporządzenia, może czasowo ograniczyć lub czasowo zawiesić funkcjonowanie uczelni na obszarze kraju lub jego części, uwzględniając stopień zagrożenia na danym obszarze

rze”. Analogiczną regulację przewidziano dla szkół doktorskich i uczelni „resortowych”.

Nadal nie ma więc „zamykania” uczelni, a ograniczenie lub zawieszenie ich funkcjonowania. Zestawiając te dwa pojęcia może pojawić się interpretacja, że „ograniczenie” jest częściowe, a „zawieszenie” całościowe. W konsekwencji wydaje się, iż formuła „zawieszenia funkcjonowania” implikuje pytania dotyczące zdarzeń prawnych zachodzących na skutek samego upływu czasu, stażów, składników wynagrodzeń, terminów, np. do rozliczenia projektów czy raportów do PKA. Wręcz może być trudna do oceny jej skutków w momencie jej zastosowania. Bo czy oświadczenia woli rektora wyrażone w okresie „zawieszenia funkcjonowania” uczelni będą skuteczne? Czy „zawieszenie funkcjonowania” uniemożliwia udostępnianie lokalu uczelni do realizacji prowadzonej w niej działalności gospodarczej? Jeśli tak, kto poniesie koszty niewykonania przez uczelnię

umów zawartych w ramach takiej działalności? Takich pytań nie byłoby, gdyby minister zakreślił obszar „ograniczeń funkcjonowania”, pozostawiając całą niezbędną resztę „pod parą”. Powstaną także pytania o koszt utrzymania infrastruktury uczelni niepublicznej w okresie, w jakim nie będzie ona przynosić przychodu z prowadzonych w niej usług, w tym edukacyjnych innych niż kształcenie nie podlegające ograniczeniu. Póki jednak minister z tego narzędzia nie korzystał, w wielu uczelniach pojawiły się komunikaty i zarządzenia rektorów dostosowujące uczelnianą codzienność w związku z wirusowym zagrożeniem. Przyjrzyjmy się wybranym.

Rektor kontra koronawirus

Pojawiające się w decyzjach rektorów odwołanie konferencji i wyjazdów czy „wszelkich imprez” oraz „wydarzeń organizowanych przez uczelnię”, bez wskazania okresu, o jaki chodzi,



rodzą pytanie o skutek i zakres takiego odwołania (impresz planowanych w dacie przyszłej wobec zarządzenia, czy także juwenaliów?). Ważne by odróżnić imprezy, których uczelnia nie jest organizatorem, a jedynie udostępni lokal, w którym może być przecież prowadzona działalność, za którą strony umów zapłaciły z góry. Powstać może także problem odpowiedzialności za zobowiązania zawarte przez uczelnię dla realizacji takich „impresz oraz wydarzeń”. O ile odwołanie impresz przez wojewodę może być argumentem ekskulpującym wobec kontrahentów, którzy ponieśli już koszty w ramach umów z uczelnią, o tyle w braku np. decyzji zakazującej impreszy masowej (art. 34 – 34a ustawy o bezpieczeństwie impresz masowych) czy o zawieszeniu impreszy artystycznej lub rozrywkowej (art. 37 ust. 2 ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej) bądź polecenia wojewody (art. 11 specustawy), czy siły wyższej, mogą być formułowane roszczenia wobec uczelni. Być może ich część załatwi przygotowywana ustawa o ochronie biznesu przed skutkami koronawirusa, jednak przedwczesne „odwoływanie” może utrudnić powołanie się na jej ewentualne dobrodziejstwa. Stwierdzenie „zawiesza się zagraniczne wyjazdy służbowe” może oznaczać, że ci, którzy nie wyjechali, na razie nie wyjadą, ale czy oznacza niezwłoczny powrót z delegacji już realizowanych? W szczególności z Chin czy z północnych Włoch? Pytam o te względnosci, bo dla porównania przyjazdy gości zagranicznych, w niektórych uczelniach zawiesza się bezwzględnie. O ile uznamy, że warunki zakwaterowania w domu studenckim, w tym wysokość opłaty, to jednak relacja cywilnoprawna, to wprowadzenie zakazu odwiedzin przez gości zewnętrznych w domach studenckich wymagałoby może notyfikowania jednostronnie zmiany warunków takiej umowy, z opcją jej wypowiedzenia. Ale może to wszystko uda się zmieścić w ramy działań profilaktycznych, o których mowa w par. 1 ust. 1 rozporządzenia do art. 51 PSWiN czy „siły wyższej”?

Co autor miał na myśli?

Zakładam, że w zamysle projektodawców ramy zmieszczą zarządzoną przez rektora 14-dniową kwarantannę „obowiązującą wszystkich, którzy znaleźli się w grupie ryzyka” albo otwartość autodelegacji: „W indywidualnych przypadkach decyzję podejmuje rektor”? A nawet paraeksmisyjnego zalecenie, iż: „Wszystkie osoby, które mają taką możliwość, powinny opuścić domy studenckie na czas obowiązywania niniejszego zarządzenia”? Także wewnętrzne relacje różnych regulacji budziły ciekawość. Np. „wprowadza się obowiązek maksymalnego ograniczenia bezpośrednich kontaktów pracowników” (czy to oznacza zakaz styczności fizycznej, czy także przebywania w jednym pomieszczeniu, czy w danej odległości od siebie?) w zestawieniu z zawartym w tym samym akcie: „niniejsze zarządzenie nie wpływa na pracę administracji (...)”; co pozostawia nas z zagadką, czy administracji nie obowiązuje to ograniczenie, czy też nie obowiązuje jedynie jego „wymaksowanie”, czy też obowiązuje, ale na jej pracę i tak nie rzutuje...

Niektóre zarządzenia zawierały treści „nienormatywne”: zalecenia (by śledzić strony GIS), rekomendacje (prozdrowotne), informacje (o możliwości z art. 3 specustawy), deklaracje władz (o dokładaniu starań, by zminimalizować niekorzystne efekty zaistniałej sytuacji), które – co do zasady – mogłyby się znaleźć poza aktami prawa wewnętrznego. Także w zakresie limitowania mocy obowiązywania analizowanych zarządzeń pojawiały się ciekawe koncepcje, np. „obowiązuje do odwołania, w zależności od rozwoju sytuacji epidemiologicznej i decyzji Rządu RP”. Czy dodatek o rozwoju sytuacji jest wyjątkiem wyprzedzającym od zasady obowiązywania do odwołania, czy może autodyrektywą rektora kiedy owo odwołanie może wyłącznie nastąpić?

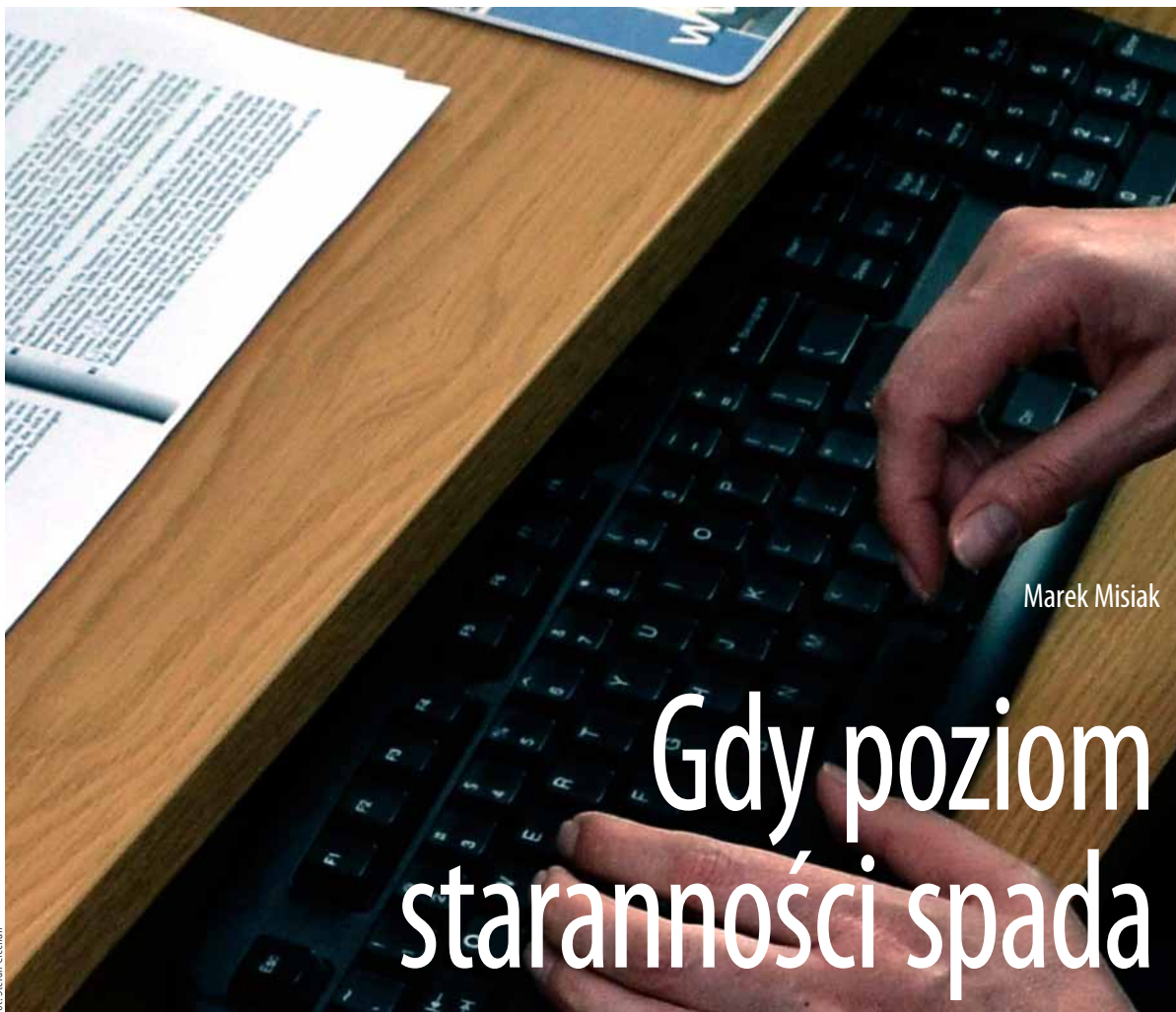
Minister zamyka, zawiesza czy „ogranicza”?

Także formułowane w przestrzeni publicznej pojęcia „zamknięcia” uczelni, jak się wydaje, padały z użyciem języka potocznego, a nie prawnego. Około południa 11 marca br. na stronie www MNiSW widniał już komunikat, iż „Minister zawiesza na obszarze całego kraju działalność dydaktyczną prowadzoną przez uczelnie nadzorowane przez MNiSW. Dotyczy to kształcenia na studiach I stopnia, II stopnia, jednolitych magisterskich, doktoranckich, a także szkół doktorskich oraz zajęć na kursach i szkoleniach organizowanych w ramach uczelni, studiach podyplomowych lub w innych formach”. Wybrano więc formę „ograniczenia funkcjonowania” uczelni we wskazanym zakresie, nazywając je „zawieszeniem” działalności dydaktycznej, którego to zawieszenia nie należy mylić z występującym w art. 51a dodanym specustawą „zawieszeniem funkcjonowania” uczelni. Dalej czytamy, że „ograniczenie działalności dydaktycznej w uczelniach i innych podmiotach nie jest równoznaczne z ich zamknięciem”. Trafnie, bo pojęcie zamknięcia nie występuje obecnie w prawie sektora.

Podczas konferencji prasowej wicepremier J. Gowin wskazał, że „władze uczelni zobowiązane są do tego, że by w możliwie jak najszerszym zakresie umożliwić studentom odbywanie zajęć on-line”. Powyższe zobowiązanie nie zostało zwerbalizowane w Rozporządzeniu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 11 marca 2020 r. (Dz. U. z 11 marca 2020 r. poz. 405) w sprawie czasowego ograniczenia funkcjonowania niektórych podmiotów systemu szkolnictwa wyższego i nauki w związku z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, zwanym dalej specrozporządzeniem. W jego treści ograniczenie funkcjonowania uczelni zakreślono jako „zawieszenie kształcenia” w formach tam wskazanych, z dopuszczeniem realizowania „zajęć z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość, niezależnie od tego, czy zostało to przewidziane w programie tego kształcenia”. Wszystko, co jest kształceniem w zakresie zakreślonym w rozporządzeniu, zostało zawieszono od 12 do 25 marca br. Nic, co nie jest takim kształceniem („wydarzenia”, „impreszy”, inne niż zakazane prawem powszechnym, wyjazdy służbowe, przyjazdy gości w ramach innych niż kształcenie aktywności uczelni, zalecane wykwaterowanie czy kwarantanny „w domu”), nie znalazło podstawy „ograniczenia” czy „zawieszenia” w specrozporządzeniu, więc zgodność z prawem w tym zakresie należy oceniać np. w odniesieniu do rozporządzenia wydanego na podstawie art. 51 PSWiN analizowanego na wstępie. Jednocześnie specrozporządzenie uczyniło wyjątek od wprowadzonego ograniczenia kształcenia – wyłącznie do zajęć realizowanych z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość, znosząc ograniczenia limitu punktów ECTS w ramach takiego kształcenia.

W okresie innym niż wskazany w specrozporządzeniu kwestie przenoszenia zajęć, ich odrabiania czy indywidualnej organizacji kształcenia należy regulować także z uwzględnieniem możliwości regulaminu studiów, a nie tylko zarządzenia rektora o organizacji roku akademickiego. Chyba że uznamy, iż rozporządzenie do art. 51 PSWiN pozwala na więcej, bez względu na regulamin studiów, bo w ramach „podjęcia działań profilaktycznych”. Wreszcie warto uwzględnić, że może studenci „uwolnieni od zajęć” znajdą czas na załatwianie spraw administracyjnych i licznie pojawiają się w... dziekanatach. A funkcjonowania administracji uczelni nie ograniczono.

*Marcin Chałupka, radca prawny, specjalizuje się w prawie i instytucjach szkolnictwa wyższego i awansu naukowego. Więcej na www.chalupka.pl
Decyzje w danych stanach faktycznych powinny być konsultowane z radcami prawnymi uczelni.*



Marek Misiak

Gdy poziom staranności spada

Błędy w tłumaczeniu słów kluczowych mogą skutkować niższymi wskaźnikami cytawalności, gdyż artykuł nie będzie prawidłowo wyszukiwany w bazach publikacji. Warto pamiętać, że autorzy przygotowujący prace pogładowe często przeszukują takie bazy, posługując się angielskimi słowami kluczowymi.

Wspominałem już na tych łamach, że poziom językowy anglojęzycznych artykułów publikowanych w polskich czasopismach naukowych jest przeciętnie naprawdę dobry. Autorzy albo biegle znają ten język, albo współpracują z fachowcami, którzy dbają o oszlifowanie szaty językowej manuskryptu przed wysłaniem go do publikacji. Widać to szczególnie w czasopiśmie medycznych – tu autorzy mają na co dzień do czynienia z anglojęzycznymi źródłami, uczestniczą też często w życiu międzynarodowej wspólnoty naukowej: biorą udział w zagranicznych konferencjach, sympozjach, ale też dłuższych stażach lub nierzadko po prostu pracują za granicą. Być może dla wielu z nich publikowanie po angielsku jest bardziej naturalne niż po polsku, zatem i przygotowanie artykułu w tym języku nie jest znaczącym wyzwaniem z językowego punktu widzenia (z merytorycznego jak najbardziej).

Problem pojawia się czasem – i zupełnie nieoczekiwanie – gdy anglojęzyczny jest nie cały artykuł, a tylko jego elementy szczególnie ważne z uwagi na archiwizowanie publikacji w internetowych bazach (tytuł, abstrakt i słowa kluczowe), a cały manuskrypt publikowany jest w polsko- lub dwujęzycznym czasopiśmie. Niektóre redakcje (choć tu nie ma pełnej konsekwencji) oczekują przetłumaczenia na angielski także tytułów tabel i rycin, zdarza się też wymóg przygotowania anglojęzycznego spisu cytowanego piśmiennictwa.

Jeśli anglojęzyczny jest cały artykuł, autorzy dokładają starań, aby była to staranna angielszczyzna; jeśli tylko abstrakt i drobniejsze elementy – poziom staranności bywa odczuwalnie niższy. Co jakiś czas (choć nie jest to w żadnym razie norma) zdarzają się sytuacje naprawdę poważne. Należą do nich m.in. błędy przekładowe w tytułach artykułów i słowach kluczowych, abstrakty przetłumaczone tak niestarannie, że redakcja musi je tłumaczyć od nowa, tytuły tabel lub rycin przełożone w taki sposób, że anglojęzyczny tytuł nie daje pojęcia o treści danego elementu lub nie pozwala odróżnić go od innych tabel i rycin, tytuły nieanglojęzycznych pozycji na liście piśmiennictwa przełożone na własną rękę na angielski.

Zrozumieć nie znaczy usprawiedliwić

Podejrzewam, że autorzy – zmęczeni prowadzeniem badań i pracą nad tekstem artykułu po polsku – anglojęzyczne elementy przygotowują na samym końcu, tuż przed wysłaniem materiału do publikacji, i po prostu nie mają już czasu ani siły, żeby je dopracować. Ale jak pisała Hannah Arendt, zrozumieć nie znaczy usprawiedliwić. Tego rodzaju usterki manuskryptów wydłużają bowiem pracę nad nimi. Jeśli dane wydawnictwo lub redakcja przygotowuje kilka czasopism, i niektóre z nich są polsko-, a inne anglojęzyczne (taka sytuacja zdarza się np. w niektórych wydawnictwach uczelnianych), redaktor polskoję-

zycznego tytułu przekazuje elementy do sprawdzenia koleżance lub koledze angliście. Jeśli ten ostatni musi tłumaczyć abstrakt i inne elementy manuskryptu od nowa, przekazanie tekstu do składu jest niemożliwe, dopóki tego nie zrobi (podmienianie niektórych elementów w składzie jest ryzykowne, gdyż zwiększa ryzyko błędu przez niedopatrzenie).

Najbardziej problematyczne są błędy w tytułach. Pojawiają się tu problemy nie tylko językowe, ale także merytoryczne, a nawet prawne. Te ostatnie wynikają z faktu, że w momencie, gdy tekst trafia w ręce redaktora, mogą być już podpisane umowy wydawnicze (ang. license agreements), w których tytuł jest elementem identyfikującym przedmiot umowy. Jeśli dokument zawiera tylko polski tytuł, nie ma problemu; jeśli także angielski, znacząca modyfikacja tytułu wymaga także zmiany umowy. Jeśli chodzi o zamianę np. pisowni jakiegoś wyrażenia z łącznej na rozdzielną lub jednego znaku interpunkcyjnego na inny, nie jest to zmiana istotna. Jeśli jednak jeden termin użyty w tytule wymieniamy na inny – już tak. Częstsze są wątpliwości merytoryczne. Jeśli autor używa w anglojęzycznym tytule błędnie przetłumaczonego terminu lub pojęcia (problem ten rozciąga się także na szereg wyrażen nieterminologicznych), to jest duże prawdopodobieństwo, że błąd ten został powielony w abstrakcie. Zdarza się nierzadko, że redaktor – nie będąc specjalistą w danej dziedzinie – nie jest w stanie sam wybrać spośród kilku możliwości i konieczna jest albo uważna lektura polskojęzycznego tekstu manuskryptu, albo konsultacja z autorami dla ustalenia, co mieli na myśli. Chodzi o to, by osoba czytająca anglojęzyczny abstrakt poprawnie zrozumiała, czego konkretnie w obrębie danego (nierzadko dość wąskiego) zagadnienia dotyczyły dane badania.

Mogłoby się wydawać, że to sztuka dla sztuki, bo przecież żaden zagraniczny badacz nie będzie zlecał tłumaczenia całego artykułu z polskiego. Tymczasem ja sam zetknąłem się z przypadkami, gdy naukowcy np. japońscy odkrywali po lekturze anglojęzycznego abstraktu, że ustalenia polskich kolegów są z ich punktu widzenia kluczowe i chcą szczegółowo zapoznać się z danym materiałem. W naszym kraju wychodzi szereg renomowanych polskojęzycznych czasopism naukowych (m.in. medycznych) i może się zdarzyć, że ważne z punktu widzenia zagranicznych badaczy odkrycie zostanie opisane najpierw po polsku (znane są takie sytuacje w odniesieniu do tytułów publikowanych m.in. w języku niemieckim, rosyjskim, francuskim, hiszpańskim, a także japońskim i arabskim). Warto zatem, by abstrakty były przetłumaczone naprawdę starannie i nie dochodziło do nieporozumień pojęciowych.

Błędy w tłumaczeniu mają skutki

Zdarzają się też sytuacje, gdy tytuł przetłumaczony został prawidłowo, ale abstrakt już nie. W tytule używane są poprawne pojęcia, w abstrakcie inne, mniej poprawne (a bywa, że wymienione stosowane są różne określenia o nietożsamy znaczeniach). Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórzy autorzy traktują anglojęzyczny abstrakt wyłącznie jako wymóg do spełnienia, nie przywiązując do niego większej wagi. Ten element manuskryptu powinien być jakby osobną całością, zrozumiałą bez odwoływania się do tekstu artykułu, gdyż w wielu internetowych bazach publikacji czytelnik ma dostęp jedynie do abstraktów (a przynajmniej tylko do nich za darmo). Tymczasem częstym błędem jest niewyjaśnianie w anglojęzycznych abstraktach nieoczywistych (tzn. nieprzyjętych powszechnie w literaturze na dany temat) skrótów albo posługiwanie się polskimi skrótami, najczęściej w przypadku nazw instytucji. Tymczasem w takiej sytuacji należy oprócz polskiego akronimu (który faktycznie może pomóc czytelnikowi) podać pełną anglojęzyczną nazwę. Można stworzyć z kolei od niej akronim, ale posługi-

wać się nim można dopiero w dalszej części abstraktu, jeśli dana nazwa pada więcej niż raz. Przykładem może być akronim ŚUM (Śląski Uniwersytet Medyczny). Za pierwszym razem podajemy i pełną polską nazwę, i polski skrót, i pełną nazwę anglojęzyczną (Medical University of Silesia), i – opcjonalnie – utworzony od niej akronim (MUS lub MUoS). Chodzi o to, że takie anglojęzyczne skróty sporadycznie funkcjonują w internecie i użycie tylko ich byłoby jeszcze bardziej samobójcze dla zrozumiałości abstraktu. Kluczowe jest sprawdzenie, jaką oficjalną angielską nazwę ma dana instytucja – czasem nie jest to dosłowne tłumaczenie, gdyż albo nie byłoby ono poprawne stylistycznie, albo nazwa powinna przypominać nazwy analogicznych instytucji w innych krajach. Stąd Medical University of Silesia zamiast Silesian Medical University czy Statistics Poland (Główny Urząd Statystyczny) zamiast Main Statistical Office.

Błędy w tłumaczeniu słów kluczowych mogą skutkować niższymi wskaźnikami cytowalności, gdyż artykuł nie będzie prawidłowo wyszukiwany w bazach publikacji. Warto pamiętać, że autorzy przygotowujący prace pogładowe często przeszukują takie bazy posługując się angielskimi słowami kluczowymi. Jeśli jednak są to autorzy polscy, mogą chcieć uwzględnić również prace opublikowane po polsku, gdyż podjęli decyzję o przejrzaniu publikacji we wszystkich językach, które zna przynajmniej jeden z nich, a nie tylko po angielsku. Wówczas także artykuł w języku polskim może zostać omówiony w wysoko cytowanej pracy pogładowej w języku angielskim.

Wyrobić sobie pojęcie

Przekładanie na angielski tytułów pozycji z listy piśmiennictwa może się wydawać całkowicie akademicką kwestią. Jednak tak nie jest. Anglojęzyczna lista piśmiennictwa nie musi obejmować pozycji z tytułami w języku angielskim. Jeśli dany tytuł nie został przez autorów przywoływanej publikacji podany także w języku angielskim i ten przetłumaczony tytuł nie jest ujęty w bazach publikacji, to samodzielne tłumaczenie tytułu artykułu lub publikacji zwartej nie ma najmniejszego sensu. Dlaczego? Bo jeśli anglojęzyczny tytuł nie znajduje się ani w bazach, ani na stronie internetowej czasopisma, odnalezienie danego tekstu czy choćby jego abstraktu będzie niemożliwe. Lepiej podać tytuł oryginalny – wtedy czytelnik będzie mógł odnaleźć w internecie obcojęzyczny tekst lub choćby jego abstrakt i jeśli podejrzewa, że mogą mu być potrzebne – zlecić ich tłumaczenie lub posługując się elektronicznymi narzędziami translatorskimi, wyrobić sobie jakieś pojęcie o treści cytowanej pozycji. Angielski tytuł można podać obok polskiego dla orientacji (np. w nawiasach kwadratowych, aby było widoczne, że nie jest to element oryginalnego tytułu). Anglojęzyczna lista piśmiennictwa oznacza, że angielskie są elementy opisu bibliograficznego (oznaczenia, skróty) i sama konwencja zapisu (np. zgodna z wytycznymi American Medical Association w przypadku publikacji medycznych).

Tłumaczenie od nowa całego abstraktu jest zajęciem żmudnym i niełatwym – redaktor czy tłumacz może, unikając błędów odautorskich, popełnić własne. Ponadto nigdy nie jest przyjemne pisanie autorom, że część lub całość anglojęzycznych elementów pracy musieliśmy przetłumaczyć na nowo. Jak by tego nie ująć, wychodzi na to, że wytykamy komuś niekompetencję, a to nigdy nie jest przyjemne. Każda publikacja naukowa jest dla nas, redaktorów, ważna. Moment satysfakcji nadchodzi, gdy w skrzynce e-mailowej pojawia się list np. z Tokio czy Kairu zaczynający się od słów: „Nie znam niestety języka polskiego, a po lekturze abstraktu artykułu autorstwa dr XYZ doszedłem do wniosku, że jego treść rzuca zupełnie nowe światło na badane przez nas zagadnienie. Czy dysponują Państwo może anglojęzyczną wersją tego tekstu?”

Bez uprzedzeń

Poddawanie ocenie osiągnięć naukowych jest z pewnością zadaniem niełatwym. Wymaga bowiem od osób pochylających się nad czyimś dorobkiem po pierwsze odrzucenia jakichkolwiek możliwych uprzedzeń, po drugie działania na zasadach obiektywności i bezstronności. Bez tych ostatnich składowych



nie powstanie żadne rzetelne opracowanie, którego istotą jest przecież formalne i merytoryczne weryfikowanie zawartości, a nie np. osądzanie twórcy.

Sprawie recenzowania dorobku naukowego poświęcony został tekst opublikowany w czasopiśmie wydawanym przez Szkołę Główną Handlową w Warszawie, „E-mentor” (nr 1/2019). Skupiono się w nim

przede wszystkim na zagadnieniach związanych z wymaganiami, jakie stawia Ustawa 2.0 zarówno wobec różnego typu opiniowanych prac w postępowaniach awansowych, jak i wobec recenzentów, co do których oczekuje się, że będą posiadali określone kompetencje, niezbędne do prawidłowej realizacji powierzonych im zadań. Zdaniem autora artykułu, jak w tytułowej sentencji Tacyta „Sine ira et studio”, recenzja „winna bez gniewu i upodobania (...) wykazywać”, że istota rzeczy jest istotą rzeczy. Inaczej mówiąc chodzi o to, by z przygotowanej w profesjonalny sposób opinii jasno z wynikało, że to, co nazywa się doktoratem, habilitacją czy profesurą, jest właśnie tym, czym być powinno, czyli kolejno: oryginalnym podejściem do rozwiązania problemu, istotnym wkładem w rozwój określonej dyscypliny naukowej, czy posiadaniem wybitnego dorobku naukowego.

W dziesiątce wspaniałych

W październiku ub. ogłoszeni zostali laureaci zorganizowanego po raz pierwszy przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego konkursu „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza”.



Zgodnie z założeniami nowego programu spośród 20 uprawnionych do udziału w nim uczelni w Polsce wyłonionych zostało dziesięć spełniających założone kryteria jednostek, które w latach 2020-2026 otrzymywać będą zwiększoną o 10% subwencję. Te dodatkowe środki pozwolą zwiększyć uczelniom skutecznie rozwijać posiadany potencjał badawczy, a w rezultacie umożliwią im realne konkurowanie z najlepszymi europejskimi ośrodkami akademickimi. W gronie uczelni mogących poszczycić się statusem uczelni badawczej znalazł się m.in. Gdański Uniwersytet Medyczny, o czym informuje „Gazeta GUMed” (nr 12/2019).

Z opublikowanego tekstu dowiedzieć się można, jaką drogę przeszła gdańska uczelnia, by dołączyć do grona najlepszych, a także, jakie zamierza podjąć działania, by dalej rozwijać się w równie optymalnym tempie. W najbliższej przyszłości GUMed skupi się na działalności obejmującej trzy, wyznaczone jako priorytetowe, obszary badawcze, wśród których znalazła się onkologia, kardiologia i medycyna sercowo-naczyniowa oraz biochemia, genetyka i biologia molekularna. Nieprzypadkowy wybór dyscyplin poprzedziły prace wielospecjalistycznego zespołu, który dbając o zagwarantowanie możliwości „zwiększenia wpływu prowadzonej działalności naukowej na rozwój światowej nauki”, odpowiedział równocześnie na realne zapotrzebowanie pacjentów potrzebujących fachowego leczenia. Podaje się bowiem, że problemy sercowo-naczyniowe oraz onkologiczne stanowią najczęstsze powody zgonów w Unii Europejskiej.

Gdański Uniwersytet Medyczny stając się uczelnią badawczą, dostał do ręki oręż, który może skutecznie wykorzystać w celu realizowania strategicznych celów, służących dalszemu rozwojowi nie tylko samej uczelni, ale także polskiej nauki.

Sporo nadziei i trochę lęku

Ustawa 2.0, jak zazwyczaj wszystkie nowe rozwiązania w każdej możliwej dziedzinie, budzi różnorakie odczucia, w tym przypadku wśród społeczności akademickiej. Dla jednych ma więcej dobrych, dla innych więcej słabych stron, a jeszcze inni ze spokojem przyjmują nieuchronnie następujące zmiany.



„Wiadomości KSN” (nr 11-12/2019), biuletyn Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”, postanowił przyrzeć się rozwiązaniom, jakie proponuje Konstytucja dla Nauki w zakresie habilitacji. Zniesienie obowiązku tej ścieżki awansowej rozpatrywane jest w kontekście przełomu dokonującego się za przyczyną niedawno wprowadzonego w życie aktu prawnego. Historia habilitacji

zdaje się bowiem potwierdzać tezę o niedoskonałości tego typu rozwiązania, narzonego, jak pokazuje nasza historia, na różnorakie wpływy, w tym także polityczne. Nie kryjącemu zadowolenia z przyjętego rozwiązania środowisku związkowemu pozostały jednak obawy związane z sytuacją, w której uczelniana praktyka poparta nadanymi uprawnieniami do samodzielnego stanowienia ładu, mogłaby zostać zastąpiona innymi rozwiązaniami otwierającymi drogę do ewentualnych zwolnień z pracy pracowników akademickich.

Postulowana już w latach dziewięćdziesiątych przez KSN potrzeba zmiany systemu awansu akademickiego, przynajmniej w części dotyczącej habilitacji znalazła, jak widać, swój oczekiwany finał. Pozostał jednak niepokój i lęk dotyczący przyszłości. Związkowcy nie rezygnują jednak z nadziei, że tym razem uda się zorganizować struktury polskiej nauki w sposób gwarantujący bezpieczeństwo i stabilizację wszystkim wybitnym jednostkom.

Aneta Zawadzka

Marek Wroński

Rektorska habilitacja

Z pisma dyrekcji Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych wynika, że kandydat na samodzielnego pracownika naukowego nie wykonywał badań, które zawarł w monografii habilitacyjnej jako własne. Zaś dr inż. M. Cygnar twierdził, że był jednym z wykonawców grantu kierowanego przez prof. B. Sendykę, obejmującego m.in. badania wykorzystane w rozprawie habilitacyjnej.

Historia zaczęła się wczesną wiosną 2012 r., kiedy ówczesny starszy wykładowca Zakładu Mechatroniki Instytutu Technicznego PWSZ w Nowym Sączu i jednocześnie były prorektor ds. studenckich w latach 2003-2011, dr inż. Mariusz Cygnar, złożył do druku w Wydawnictwie Politechniki Krakowskiej monografię habilitacyjną pt. *Analiza pracy silnika spalinowego o dwóch obiegach termodynamicznych*. Recenzentami wydawniczymi byli: prof. dr hab. Jarosław Mikieliewicz (ur. 1941), ówczesny członek korespondent PAN i w latach 1998-2014 dyrektor Instytutu Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku, oraz prof. dr hab. inż. Kazimierz Lejda (ur. 1946) z Zakładu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych na Wydziale Budowy Maszyn i Lotnictwa Politechniki Rzeszowskiej. Przewodniczącym Kolegium Redakcyjnego wydawnictwa był prof. Jan Kazior, zaś redaktorem naukowym publikacji prof. dr hab. Bronisław Sendyka (1937-2015), ówczesny dyrektor Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych Wydziału Mechanicznego PK. Był on także wieloletnim mentorem i promotorem doktoratu M. Cygnara z 2002 r. pt. *Określenie sprawności ogólnej silnika ZI (zapłon iskrowy) z uwarstwionym ładunkiem przy zastosowaniu bezpośredniego wtrysku paliwa*, obronionego na Politechnice Krakowskiej jako pokłosie dziennych studiów doktoranckich rozpoczętych 1 października 1997 r.

Starsi pracownicy Politechniki Krakowskiej zapamiętali także Bronisława Sendykę jako gorliwego i młodego (bo wówczas trzydziestodwuletniego) I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR PK w latach 1969-1970. Nowo wybrany sekretarz był świeżo upieczonym adiunktem i zaledwie kilka miesięcy przed wyborem obronił doktorat. Był to burzliwy okres po wydarzeniach marcowych 1968 r., kiedy pod różnymi pozorami usuwano wielu wybitnych profesorów. W tych latach partyjne stanowisko dawało wiele władzy zarówno na uczelni, jak i w Krakowie. Towarzysz Sendyka, członek Komisji ds. Przemysłu Komitetu Krakowskiego PZPR, habilitował się w 1974 r., a krótko po tym powołano go na stanowisko docenta na Wydziale Mechanicznym. Profesurę otrzymał w 1989 r.

Otwieranie habilitacji

W połowie maja 2012 r. na ręce ówczesnego dziekana Wydziału Mechanicznego PK, prof. Leszka Wojnara, wpłynęła prośba dr. Cygnara o wszczęcie postępowania habilitacyjnego w dyscyplinie budowa i eksploatacja maszyn. Habilitant poinformo-

wał też, że jego monografia habilitacyjna *Analiza pracy silnika spalinowego o dwóch obiegach termodynamicznych* ukazała się właśnie drukiem w Wydawnictwie Politechniki Krakowskiej. Dalej sprawa potoczyła się utartym trybem.

Po wakacjach powołano Komisję Habilitacyjną w składzie: prof. dr hab. inż. Aleksander Muc – przewodniczący, prof. Piotr Cyklis, prof. Józef Gawlik, prof. Bronisław Sendyka, prof. Piotr Duda. Późną jesienią 2012 r. komisja zapoznała się z dorobkiem naukowo-dydaktycznym oraz badawczym kandydata. Na zebraniu 23 stycznia 2013 r. członkowie KH pozytywnie ocenili oraz przegłosowali wniosek kandydata i postanowili zwrócić się do Rady Wydziału Mechanicznego PK o wszczęcie przewodu habilitacyjnego dr. inż. Mariusza Cygnara w specjalności silniki spalinowe. Jednocześnie zaproponowano, aby recenzentami rozprawy habilitacyjnej oraz dorobku zostali prof. Jarosław Mikieliewicz z Instytutu Maszyn Przepływowych PAN oraz prof. Piotr Cyklis.

Warto wspomnieć, iż według ówczesnych przepisów z 2003 r. (ustawa o stopniach i tytułach) i 2005 r. (ustawa o szkolnictwie wyższym) kolejnych dwóch recenzentów wyznaczała Centralna Komisja. Zalecenia CK jasno mówiły, że recenzent monografii habilitacyjnej nie powinien być powołany również do oceny habilitacji ze względu na konflikt interesów. Z tego samego względu członkiem komisji habilitacyjnej nie powinien być promotor doktoratu habilitanta.

Sprawa otwarcia habilitacji Mariusza Cygnara stanęła na posiedzeniu Rady Wydziału Mechaniki PK 30 stycznia 2013 r. Ku zdziwieniu zebranych została wycofana przez dziekana Wojnara z porządku obrad. Niewiele osób wiedziało, że na ręce prof. Aleksandra Muca i do wiadomości dziekana dzień wcześniej wpłynęło pismo dyrekcji Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych, informujące, że przewód habilitacyjny M. Cygnara „jest prywatnym przedsięwzięciem zainteresowanego, zaś Instytut M4 nie firmuje tego przedsięwzięcia. Dyrektorowi Instytutu ani kierownikowi Katedry Silników Spalinowych nie jest wiadomym, aby dr inż. M. Cygnar prowadził badania, o których mowa w pracy habilitacyjnej, w laboratorium Katedry. Równocześnie informujemy, że Instytut nie był zleciodawcą wydania przez Wydawnictwo PK, w serii monografie, pracy dr. inż. M. Cygnara *Analiza pracy silnika spalinowego o dwóch obiegach termodynamicznych* (Monografia nr 407, Kraków 2012)”. Pismo podpisali: dyrektor instytutu dr hab. inż.

Andrzej Mruk, prof. PK, dyrektor instytutu ds. badań dr hab. inż. Andrzej Gajek, prof. PK oraz kierownik Katedry Silników Spalinowych dr hab. inż. Marek Brzeżański, prof. PK.

Aczkolwiek pismo było krótkie i dyplomatyczne, to przekaz pozostał jasny: kandydat na samodzielnego pracownika naukowego nie wykonywał badań, które zawarł w monografii habilitacyjnej jako własne. Warto wiedzieć, że w 183-stronicowej naukowej monografii M. Cygnara w żadnym miejscu autor nie podaje, gdzie i kiedy wykonywał opisywane przez siebie badania.

List trójki profesorów powstał krótko po wysłuchaniu habilitanta na seminarium instytutowym, które miało miejsce kilka dni przed styczniowym posiedzeniem RW. Na seminarium, które odbyło się na żądanie dyrektora Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych PK, dr Cygnar przedstawił slajdy z wynikami „swoich” badań. Większość pracowników, uczestników seminarium ze zdziwieniem oraz oburzeniem rozpoznała na slajdach wyniki prac dr. hab. Wacława Mitianca, prof. PK oraz wyniki pochodzące z doktoratu Marcina Nogi *Wpływ zastosowania dwuwtryskiwaczowego układu zasilania na parametry robocze silnika spalinowego* obronionego w 2010 r., którego promotorem był prof. Sedyka.

Ówczesny dziekan, prof. Leszek Wojnar, ze względu na daleko idące wątpliwości dotyczące uczestnictwa dr. Cygnara w wykonaniu badań naukowych i analiz zawartych w monografii, które ustnie przedstawił mu prof. Marek Brzeżański, zdecydował się wycofać wniosek w sprawie otwarcia przewodu habilitacyjnego. Jednocześnie dziekan zaprosił ewentualnego habilitanta na rozmowę i poprosił o przedstawienie dowodów, że badania do habilitacji zostały przez niego wykonane w Katedrze Silników Spalinowych, gdzie istnieje stanowisko badawcze z silnikiem Toyoty.

Podczas tej rozmowy dr inż. M. Cygnar twierdził, że był jednym z wykonawców grantu kierowanego przez prof. B. Sedykę, obejmującego m.in. badania wykorzystane w rozprawie habilitacyjnej. Według wiedzy dziekana faktycznie nazwisko M. Cygnara widniało w zgłoszonym projekcie, jednak nie pobierał on z w/w grantu żadnego wynagrodzenia i nie był widziany przez innych uczestników grantu podczas wykonywania badań. Nie był nigdy pracownikiem Politechniki Krakowskiej, bezpośrednio po doktoracie zaczął pracować w Nowym Sączu. Z tego powodu prof. Wojnar zobowiązał M. Cygnara do przygotowania pisemnego wyjaśnienia powstałych wątpliwości, uzależniając od tego dalsze procedowanie wniosku habilitacyjnego.

25 lutego 2013 r. w odrębnym piśmie Mariusz Cygnar wycofał swój wniosek habilitacyjny, motywując to problemami osobistymi i rodzinnymi.

Ówczesne władze Wydziału Mechanicznego PK nie zawiadomiły władz rektorskich PK i nie przeprowadzono żadnego postępowania dotyczącego przywłaszczenia badań. Sprawę rozmyto i wsunięto pod przysłowiowy dywan. Warto wiedzieć, iż wieloletnim członkiem RW jest prof. Jan Kazior, który w latach 2008–2016 był prorektorem ds. nauki, a obecnie jest rektorem PK.

Nowa habilitacja

Chwilowe niepowodzenie czasami dodaje skrzydeł. Już w końcu czerwca 2013 r. na internetowej tablicy ogłoszeń Rady Wydziału Budowy Maszyn i Lotnictwa Politechniki Rzeszowskiej pojawiła się informacja, że 1 lipca 2013 r. odbędzie się seminarium dr. inż. Mariusza Cygnara przed wszczęciem postępowania habilitacyjnego. Temat *Określenie sprawności ogólnej silnika ZI z uwarstwionym ładunkiem przy zastosowaniu bezpośredniego wtrysku benzyny* był zbieżny z tematem jego doktoratu z 2002



Rys. Sławomir Makal

r. Po wakacjach, 18 września 2013 r., Rada Wydziału otworzyła przewod habilitacyjny. W międzyczasie 144-stronicową monografię *Zastosowanie systemu iskrowego i samoczynnego w silniku spalinowym* wydrukowało Wydawnictwo Naukowe Instytutu Technologii Eksploatacji PIB w Radomiu. Recenzentami wydawniczymi ponownie byli profesorowie Jarosław Mikieliewicz oraz Kazimierz Lejda. We wstępie do publikacji M. Cygnar napisał: „Ten model nie był dotychczas rozpatrywany w tłokowych silnikach spalinowych, a tematyka została podjęta na podstawie patentu nr 210561 pt. »Silnik spalinowy o dwóch obiegach termodynamicznych« Politechniki Krakowskiej autorstwa B. Sedyki. Praca została wykonana dzięki mojemu udziałowi jako wykonawcy w ramach grantu naukowego pt. »Silnik spalinowy dwuobiegowy o zmiennym zapłonie iskrowym i samoczynnym«”. Jak sprawdziłem, kierownikiem grantu N N509 405 036 przyznanego w 36 konkursie KBN był prof. B. Sedyka, przyznana kwota wyniosła 300 tys. zł, zaś badania rozpoczęto 6 maja 2009 r. i zakończono 5 maja 2011 r.

Na recenzentów habilitacji powołano: prof. dr. hab. inż. Jarosława Mikieliewicza z Instytutu Maszyn Przepływowych PAN Gdańsk, prof. dr. hab. inż. Jerzego Merkisza z Instytutu Silników Spalinowych i Transportu Politechniki Poznańskiej, prof. dr. hab. inż. Janusza Mysłowskiego z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie oraz prof. dr. hab. inż. Marka Orkiszę z Katedry Samolotów i Silników Lotniczych, w owym czasie rektora Politechniki Rzeszowskiej.

Wszystkie recenzje były pozytywne i w połowie czerwca 2014 r. Rada Wydziału nadała Mariuszowi Cygnarowi stopień doktora habilitowanego. Wiosną 2015 r. wygrał on wybory i 1 września 2015 r. objął funkcję rektora PWSZ w Nowym Sączu.

Pismo z CBA

Pod koniec marca 2018 r. do Centralnej Komisji przyszło pismo z Delegatury CBA w Krakowie, informujące, iż biuro otrzymało wiadomości, że mogło dojść do nieprawidłowości w postępowaniu habilitacyjnym Mariusza Cygnara. W jego monografii z 2012 r., wydanej w Krakowie, znajdują się wyniki badań zawarte w pracy doktorskiej Marcina Nogi oraz wyniki badań z trzech innych publikacji, których M. Cygnar nie był współautorem. Wniosek z Politechniki Krakowskiej został wycofany, zaś w 2013 r. ponownie otworzono postępowanie habilitacyjne na Politechnice Rzeszowskiej na podstawie kolejnej monografii, „identycznej co do treści z monografią wydaną w Wydawnictwie Politechniki Krakowskiej, recenzowaną przez te same osoby i na podstawie tej monografii w dniu 11 czerwca 2014 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego”. Ponieważ sprawa nie należy do właściwości rzeczowej CBA, biuro przekazuje informacje do ewentualnego wykorzystania.

Przed ewentualnym wznowieniem przewodu habilitacyjnego Centralna Komisja powołała recenzenta, którym został prof. dr. hab. inż. Waclaw Kollek, profesor PWSZ w Nysie i emerytowany profesor oraz były dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej. W recenzji z 30 sierpnia 2018 r. prof. Kollek zauważył, że zarówno praca doktorska M. Nogi, jak i habilitacja M. Cygnara wykonane były na tym samym stanowisku badawczym, czyli silniku Toyoty 2 SZ-FE. Recenzent znalazł znaczne podobieństwa w przebiegach wielu krzywych w doktoracie i habilitacji, ale uznał, że jeśli między rysunkami nie było stuprocentowej zgodności, a istniały drobne różnice, np. w habilitacji M. Cygnara było siedem punktów pomiarowych, a w publikacji M. Nogi sześć, to nie można postawić zarzutu przejęcia danych i plagiatu. Jego zdaniem, zakres doktoratu i habilitacji dotyczy bardzo bliskich zagadnień naukowych, obie prace wnoszą wartość w rozwój nowoczesnych silników spalinowych. „Jednak wprowadzenie w habilitacji jest zbyt

lapidarne (na dwóch stronach!), a autor powinien znacznie rozwinąć wprowadzenie i ustalenie precyzyjne obszarów i celów pracy. Powołanie się na literaturę na początku rozdziału to zbyt duże uproszczenie, które prowadzi do zarzutu o plagiat. Przeszukiwanie szczegółowe i wyznaczanie współrzędnych na założonych wykresach przebiegu wielu zależności, co do których można było mieć podejrzenie o przywłaszczenie nie dozwolone, nie wykazało stuprocentowej zbieżności. W tej sytuacji stawiam wniosek o oddalenie podejrzenia plagiatu”.

Prezydium Centralnej Komisji, opierając się na opinii Sekcji Nauk Technicznych, wydało 26 listopada 2018 r. postanowienie, uznając, że brakuje podstaw do wznowienia postępowania mimo istnienia wielu zbieżności z pracą doktorską Marcina Nogi. Dwadzieścia cztery osoby w sekcji głosowały za odmową wznowienia, pięć za wznowieniem zaś cztery wstrzymały się od głosu.

Opinia z Krakowa

W połowie grudnia 2019 r. przesłałem posiadane materiały, w tym obie monografie, doktorat oraz wykonane konkordancje (około 80 stron) i porównania, jak również recenzję prof. Kolekka, do prof. Marka Brzeżańskiego, obecnego dyrektora Instytutu Pojazdów Samochodowych i Silników Spalinowych PK. 23 stycznia 2020 r. prof. Brzeżański odpisał mi, że zapoznał się z treścią obydwu monografii i w obydwu publikacjach „został poddany analizie ten sam materiał badawczy. Różnice polegają głównie na nieco innej interpretacji materiału badawczego oraz na zmianach w przedstawieniu graficznym uzyskanych wyników. W okresie od 6 maja 2009 r. do 5 maja 2011 r. w Katedrze Silników Spalinowych, której byłem kierownikiem od 1 września 2009 r., był realizowany projekt badawczy pt. »Silnik spalinowy dwuobiegowy o zmiennym zapłonie iskrowym i samoczynnym« (Numer N N509 405036) prowadzony pod kierownictwem prof. Bronisława Sedyki. Projekt był realizowany w oparciu o patent prof. B. Sedyki pt. »Silnik spalinowy o dwóch obiegach termodynamicznych« (data zgłoszenia 07.07.2008, nr patentu 210561, data ogłoszenia patentu 29.02.2012). W tym projekcie wykonano badania doświadczalne i analizy, zbieżne z materiałem badawczym przedstawionym w obu wymienionych monografiach. Wykonawcami projektu byli wyłącznie pracownicy Instytutu. W zakresie modelowania i symulacji: dr hab. inż. Władysław Mitaniec, prof. PK; w zakresie badań stanowiskowych: mgr inż. Marcin Noga (od czerwca 2010 dr inż) oraz pracownik inżynierjno-techniczny mgr inż. Łukasz Rodak.

Na podstawie badań wykonanych w ramach tego projektu powstało 6 publikacji naukowych oraz doktorat Marcina Nogi pt. »Wpływ zastosowania dwuwtryskiwaczowego układu zasilania na parametry robocze silnika spalinowego« obroniony 16 czerwca 2010 r.”.

Co więcej, w osobistej rozmowie z prof. M. Brzeżańskim, odbytej w połowie listopada 2019 r. w gabinecie dziekana prof. Jerzego Śładka i w jego obecności, usłyszałem, że on osobiście nie widział, aby dr Mariusz Cygnar wykonywał jakies badania, a przepisy nie pozwalają, by na terenie katedry obce osoby mogły wykonywać badania bez zgody i wiedzy kierownictwa.

Oznacza to, że dane liczbowe do monografii habilitacyjnej Mariusza Cygnara zostały rzeczywiście przejęte z doktoratu M. Nogi i prac dr. hab. W. Mitianca, co obliuguje Prezydium Centralnej Komisji do wznowienia przewodu habilitacyjnego, o co publicznie apeluję do prof. Kazimierza Furtaka.

Cała ta sprawa pokazuje, jak łatwo przepchnąć „naukową lewiznę” i jak chętnie profesorowie odwracają głowy, aby nie patrzeć, gdy ktoś gwałci etykę naukową.

Marekwro@gmail.com

Książki nadesłane

Monika GWÓŹDŹ, *Przymierze. Fundamentalne założenia prawodawstwa małżeńskiego Kościoła rzymskokatolickiego i Kościołów ewangelickich*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Piotr MACHURA, *Wokół koncepcji dobra we współczesnym neoarystotelizmie anglosaskim. Normatywność, działanie, praktyki*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Grzegorz NANCKA, *Prawo rzymskie w pracach Marcelego Chlamtacza*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Agata Aleksandra KLUCZEK, *Primordia Romana. Mityczna przeszłość Rzymu i pamięć o niej w rzymskich numizmatach zaklęta*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Marcin S. PRZYBYŁA, *Przeszłość, pamięć i dziwne ruiny. Archeologiczne odkrycia na Górze Zyndrama w Maszkowicach*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2018.

Jan WOLSKI, *Szwajcaria w piśmiennictwie polskim. Od XIX wieku do czasów najnowszych. Rekonesans badawczy*, Wyd. URz, Rzeszów 2019, seria: Biblioteka „Frazy”.

Apetyt na literaturę, red. Dorota KOZICKA, Łukasz TISCHNER, Maciej URBANOWSKI, Wyd. UJ, Kraków 2019.

Wanda ŚWIĄTKOWSKA, *Hamlet.pl. Myślenie „Hamletem” w powojennej kulturze polskiej*, Wyd. UJ, Kraków 2019, seria: Nowe Perspektywy. Performatyka.

Społeczność w języku – język w społeczności, red. Karolina LISZYK, Marcin MACIOŁEK, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Magdalena ŚLAWSKA, *Sztuka mediów. O świadomości gatunkowej dziennikarstwa prasowego*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Aleksander WILKOŃ, *O języku i stylu „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza. Studia nad tekstem*, wyd. 2 popr., Wyd. UŚ, Katowice 2019.

Polska Ludowa w edukacji historycznej, pod red. Macieja FICA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Robert RAJCZYK, *Oblicza współczesnej propagandy. Przypadek chińsko-tajwańskiej wojny informacyjnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Jacek LYSZCZYNA, *Wykłady z romantyzmu*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Urszula SZUŚCIK, *Bazgrota w twórczości plastycznej dziecka*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Katarzyna FURKACZ, *Polski reportaż książkowy. Przemiany i adaptacje*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Marek PIECHOTA, *(Nie)zapomniany czar arcydzieł. Anonim, Barańczak, Camus...*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Przemysław KALISZUK, *Wyczerpywanie i odnowa. „Nowa” polska proza lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wobec późnej nowoczesności*, Wyd. UMCS, Lublin 2019.

Mirosława WIEŁOPOLSKA-SZYMURA, *Rozgłoszenie BBC World Service, Radio France Internationale i Voice of America w komunikowaniu międzynarodowym. Od propagandy do dyplomacji publicznej*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Artur JAZDON, *Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu 1919-2018. Zasoby. Działania. Ludzie*, Biblioteka Uniwersytecka, Poznań 2019.

Magdalena BAJER, *Rody uczone. Kreski do szkicu 2*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Peter MARSHALL, *Reformacja*, tłum. Jarosław Płuciennik i Maciej Potz, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Janusz MAŁŁEK, *Opera selecta. Vol. V. Polska w Europie nowożytnej. Studia i szkice*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Gajusz Pliniusz SEKUNDUS, *Historia naturalna. Tom II: Antropologia i Zoologia. Księgi VII-XI*, tekst, wstęp i komentarz Ireneusz Mikołajczyk, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

O tym nie wolno mówić... Zagłada Żydów w opowieściach wspomnieniowych ze zbiorów Dionizjusza Czubali, wyb. i oprac. Piotr GROCHOWSKI, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019, seria: Paralele: Folklor – Literatura – Kultura.

Barbara Skarga, *Doktor honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Marginalia w książce dawnej i współczesnej, pod red. Bożeny MAZURKOWEJ, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Paweł DUDA, *Krzyż i karabela. Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej Obojga Narodów w ocenie dyplomacji papieskiej w latach 1623-1635*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

A contrastive perspective on figurative language, edited by Paulina BIAŁY, Marcin KUCZOK, Marcin ZABAWA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Jeszcze o artyście (i sztuce): w literaturze, kulturze i nieopodal, pod red. Niny NOWARY-MATUSIK, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Magdalena BĄK, *Comôes i smak sardynek. Dziewiętnastowieczne polskie relacje z podróży do Portugalii*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Literatura i przyjemności. Szkice o literaturze XX i XXI wieku, red. Barbara GUTKOWSKA, Agnieszka NECKA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Anna KUCZ, Edyta GRYKSA, *Nemezjan w kręgu antycznej tradycji łowieckiej*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Bartłomiej MALISZEWSKI, *Metafory o Rosji. Wizerunek rosyjskiej polityki w przerośnięciach publicystycznych w prasie polskiej (2000-2012)*, Wyd. UMCS, Lublin 2019.

Mikołaj KRASNODĘBSKI, *Spór o rodzinę. Filozoficzno-cywilizacyjne fundamenty myślenia o rodzinie*, Wyd. Wyższej Szkoły Przymierza Rodzin, Warszawa 2019.

Andrzej SZMYT, *Przypadek czy fenomen miejsca? Publiczne szkoły średnie w Krzemieńcu w latach 1773-1939*, Wyd. UWM w Olsztynie, Olsztyn 2018.

Kreatywność w systemie edukacji, red. nauk. Jan FAZLAGIĆ, Wyd. FRSE, Warszawa 2019, seria: Seria Naukowa.

Edukacja włączająca w przedszkolu i szkole, red. nauk. Iwona CHRZANOWSKA, Grzegorz SZUMSKI, Wyd. FRSE, Warszawa 2019, seria: Seria Naukowa.

Adrian GLEŃ, *Andrzej Stasiuk. Istnienie*, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: Projekt: Egzystencja i literatura.

Paulina Mozolewska

Kiedy wojna jest pokojem

czyli o drugim obliczu reaktywnych form tlenu

Kto wie, do czego te bestie są zdolne. Aby się im nie dać, reklamy wmawiają nam, że musimy pić litry zielonej herbaty, jeść całe pola czerwonych winogron z Toskanii, a ucztę zwińczęć łyknięciem jeszcze kilku suplementów o działaniu antyoksydacyjnym.

W naszym organizmie wciąż trwa jakaś walka. Możemy ją sobie wyobrazić jako mityczny spór pomiędzy dwoma przeciwnymi siłami. Takie historie konstruowane są tak, byśmy nie mieli wątpliwości, kim jest wróg, a komu należy kibicować. Opowiem o wojnie, w której pozory mogą zaburzyć naszą ocenę sytuacji. To będzie prawdziwie magiczna opowieść o związkach, których nie można zobaczyć i o siłach, które niełatwo poczuć.

Zacznijmy od prostego zadania pobudzającego zmysły. Spójrzmy na siebie w lustrze. O ile naszych twarzy nie zdobią teraz śmieszne miny, widzimy swoje ciało w statecznej i opanowanej pozie. Ten zewnętrzny spokój to tylko przykrywka. Wnętrze naszych ciał to wielkie pole bitewne, na którym ścierają się ze sobą tajemnicze siły. Zasady tej walki są nieco bardziej skomplikowane niż w klasycznej legendzie. Wybranie sprzymierzeńca nie jest prostym zadaniem, a decyzja może mieć ogromny wpływ na całą naszą przyszłość. Bardzo często kluczem do spokojnego, zdrowego życia jest podtrzymywanie walecznego ducha wśród wszystkich uczestników bitwy, aby wojna trwała w najlepsze. Naukowcy określają ten stan mianem homeostazy, czyli stabilnej równowagi pomiędzy procesami, które mają miejsce w naszym ciele. Warunkiem naszego dobrego samopoczucia jest tocząca się spokojna walka, a zwycięstwo jednej ze stron może się okazać niebezpieczne...

To jest wojna

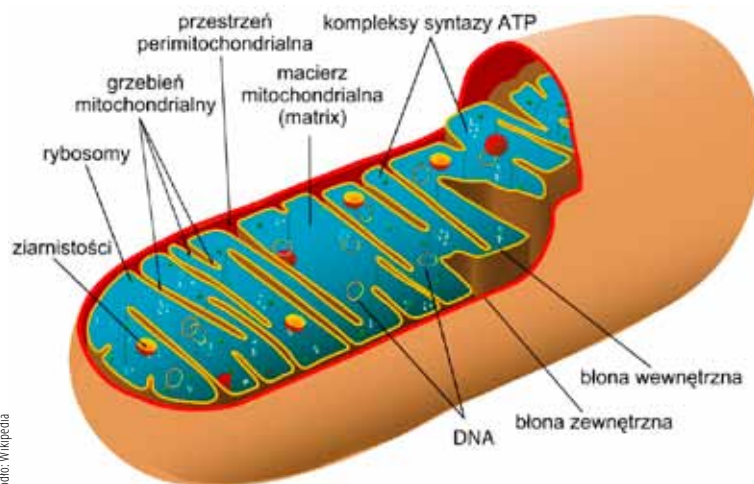
Główni bohaterowie tej szczególnej opowieści to dwóch potężnych przeciwników. W jednym narożniku prezentują się reaktywne formy tlenu, znane szerszej publiczności jako wolne rodniki, w drugim enzymy antyoksydacyjne, których naturalnym powołaniem jest zwalczanie tych pierwszych.

Gdybym zapytała, czy wolne rodniki są dobre, czy złe, wielu czytelników zapewne powiedziałoby bez większego namysłu, że to najgorsze, co może człowieka spotkać. Codziennie natykamy się na reklamy produktów, które mają za zadanie zwalczać wolne rodniki, a do głowy wkładane są nam informacje o ich szkodliwości. Chciałabym tę tezę poddać weryfikacji. Aby zająć się tym tematem, warto najpierw zrozumieć, czym dokładnie są reaktywne formy tlenu, a tego nie można uczynić bez kilku słów wprowadzenia. Dla naszego życia tlen jest niezbędnym, ale

wiele organizmów radzi sobie całkiem dobrze bez niego, a dla niektórych jest wręcz śmiertelnym zagrożeniem.

W normalnych warunkach tlen stanowi 21% powietrza. Czy to wystarczająca ilość? Około dwudziestu lat temu pojawiła się teza, że wyższe stężenie tlenu mogłoby mieć na nas dobroczynny wpływ. W tych czasach bary tlenowe powstawały jak grzyby po deszczu i ludzie chętnie zażywali tlenowych inhalacji. Klienci takich miejsc nie brali pod uwagę, że niezbędny nam do życia tlen może być w jakikolwiek sposób niebezpieczny. Jednak pamiętajmy, że to dawka czyni truciznę i powiedzenie to dotyczy również tlenu. Jego zbyt wysokie stężenie może być bardzo niebezpieczne. W przyrodzie, podobnie jak w życiu, nie ma nic za darmo. Komfort oddychania tlenowego i wysokiej wydajności energetycznej organizmów tlenowych niesie ze sobą pewne efekty uboczne.

I tu powracamy do reaktywnych form tlenu, które są produktem ubocznym tlenowego oddychania komórkowego, czyli przemian mających na celu wytworzenie energii użytecznej metabolicznie w postaci cząsteczki ATP. Proces ten odbywa się na wewnętrznej błonie jednego z moich ulubionych ele-



Zródło: Wikipedia

Mitochondrium

mentów komórkowych, czyli mitochondriów. Mitochondria to organelle przyrównywane często do silników komórkowych. Poprzez przemiany zachodzące w ich strukturach wytwarzane są wysokoenergetyczne cząsteczki ATP, czyli nośniki energii pozwalające całemu mechanizmowi naszego ciała pracować.

Mitochondria jednak to również główne miejsce produkcji reaktywnych form tlenu. Są to cząsteczki, które posiadają niesparowany elektron i przez to są bardzo reaktywne. W praktyce oznacza to, że tak zbudowane molekuly chętnie przytulają się do innych podobnych do siebie, współdzieląc niesparowane elektrony. Niestety część tych uścisków może okazać się niebezpieczna i prowadzić do uszkodzania innych struktur komórkowych, białek, lipidów, cukrów czy kwasów nukleinowych.

Reaktywne formy tlenu produkowane podczas oddychania mogą wywierać na komórki toksyczne efekty, jeśli jest ich za dużo. Takiego zagrożenia ewolucja nie pozostawiła bez odpowiedzi i zatrudniła do pomocy enzymy antyoksydacyjne. Te białka stoją w drugim narożniku i tylko czekają, aby opanować przeciwnika. Innymi wrogami wolnych rodników mogą być ich nienzymatyczni wrogowie, czyli witamina C, E czy A.

Zapiski z pola bitwy

Podsumujmy tę część historii. Reaktywne formy tlenu, produkowane przez mitochondria jako uboczne efekty oddychania, mogą uszkadzać elementy komórkowe, natomiast enzymy antyoksydacyjne wyłapują tych rozbójników i rozbijają z oręża. Sprawa na pierwszy rzut oka wygląda bardzo przejrzyście. Zapewne większość czytelników bez chwili wahania opowie się po stronie dzielnych i walecznych enzymów. Takie spojrzenie będą również wspierały informacje płynące do nas z internetu czy telewizji, w których wolne rodniki odgrywają rolę wroga publicznego nr 1. Ten przekaz wskazuje, że przez nie się starzejemy, chorujemy na nowotwory i inne paskudztwa. Niektórzy mogliby je nawet zacząć obwiniać za nietolerancję glutenu czy syndrom niespokojnych nóg. Kto wie, do czego te bestie są zdolne. Aby się im nie dać, reklamy wmawiają nam, że musimy pić litry zielonej herbaty, jeść całe pola czerwonych winogron

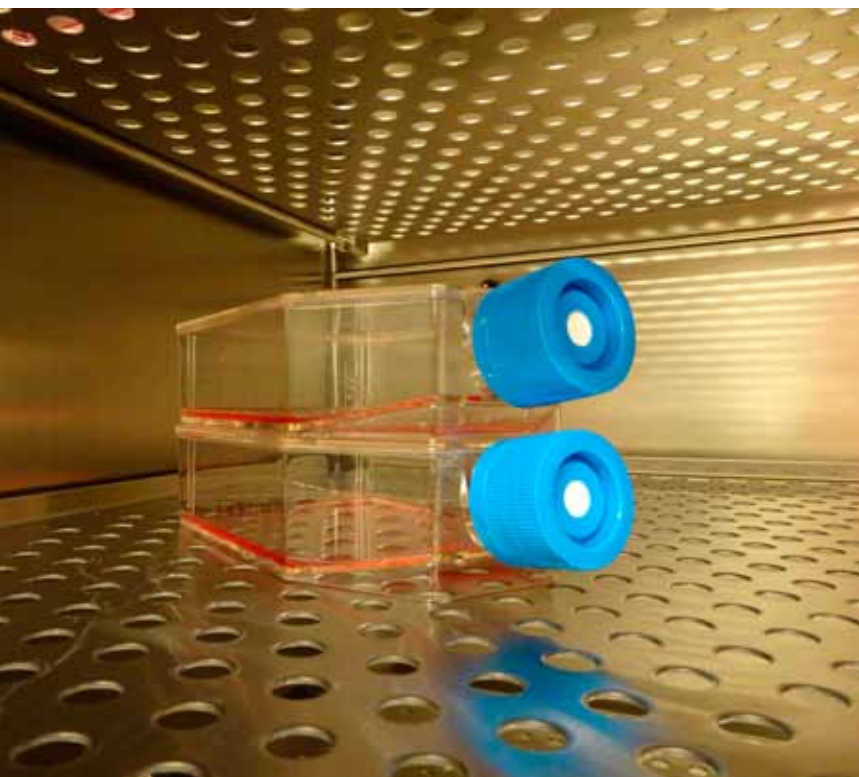
z Toskanii, a całą ucztę zwieńczyć łyknięciem jeszcze kilku suplementów o działaniu antyoksydacyjnym.

Powoli, zaczekajcie chwilę, zanim zrobicie sobie krzywdę! Rzeczywiście walka z wolnymi rodnikami, rozumiana jako działanie zdrowotne, stała się dla wielu odpowiedzią na wszystkie bóleczki. Niejedna osoba uzna to działanie za panaceum na całe zło świata, jednak jak to zazwyczaj bywa w realnym świecie, sprawa ma drugie dno, o którym niewiele się mówi. Czy jesteśmy absolutnie przekonani, że wolne rodniki to zło w czystej postaci i musimy robić wszystko, aby pozbyć się ich z naszych organizmów?

Reaktywne formy tlenu to cząsteczki o wielu obliczach i w zależności od punktu widzenia można im przypisać różny wpływ na organizm. Wolne rodniki mogą być niebezpieczne, jeśli jest ich za dużo. Przypisuje się im znaczenie w przebiegu wielu chorób nowotworowych czy neurodegeneracyjnych, takich jak choroba Alzheimera, Parkinsona i Huntingtona.

Niekontrolowany wzrost poziomu reaktywnych form tlenu może doprowadzić do stresu oksydacyjnego, który jest zazwyczaj postrzegany jako zjawisko negatywne. Rzeczywiście w sytuacji, kiedy enzymy antyoksydacyjne czy inne systemy obczwładniania wolnych rodników nie pracują wystarczająco wydajnie i nie radzą sobie z najazdem przeciwnika, reaktywne formy tlenu mogą być dla nas niebezpieczne.

Jednocześnie mało kto zastanawia się nad konsekwencjami pozbawienia nas reaktywnych form tlenu. W sytuacji równowagi, czyli kiedy jesteśmy zdrowi, wolne rodniki pełnią również wiele ważnych dla całego organizmu funkcji. To, co zostało wytworzone w jednej reakcji, bardzo często służy jako składowa w kolejnych procesach, chociażby w tworzeniu innych istotnych molekuł. Podobnie dzieje się z wolnymi rodnikami, których obecność jest warunkiem koniecznym dla innych przemian mających miejsce w komórce. Kolejnym zadaniem wolnych rodników jest odgrywanie roli posłańców, czyli funkcji sygnalizacyjnej wewnątrz i na zewnątrz komórki. W tym wypadku ich praca polega na przekazywaniu informacji reszcie organizmu. Reaktywne formy tlenu są również wykorzystywane przez



Fot. Paulina Mazolewska



Autorka nagrodzona w XII konkursie FA „Skomplikowane i proste” z ministrem J. Gowinem i prof. J. Woźnickim

system odpornościowy do walki z zagrażającymi nam patogenami. Ich rola to także regulacja apoptozy, czyli zaprogramowanej śmierci komórkowej, która jest zjawiskiem niezwykle ważnym, chociażby w zapobieganiu procesom nowotworzenia.

Złoty środek

Czy to oznacza, że wolne rodniki są zbawienne dla naszego organizmu? Nie do końca, chociaż ich całkowity brak byłby dla nas stanem patologicznym i niebezpiecznym. Zdrowy człowiek, prowadzący odpowiedni styl życia, nie ma powodów do nadmiernych zmartwień. W takim przypadku najlepszym wyjściem jest utrzymywanie organizmu na bezpiecznym poziomie bojowości, czyli w sytuacji równowagi pomiędzy produkcją reaktywnych form tlenu a ich obezwładnianiem przez enzymy antyoksydacyjne. Kluczem dla tej homeostazy jest odpowiednia dieta, umiarkowana aktywność fizyczna i wystarczająca ilość snu. Dla człowieka niecierpiącego na żadne przewlekłe choroby tylko tyle wystarczy, aby utrzymać wolne rodniki na odpowiednim poziomie.

Najlepszym sposobem na zatrzymanie równowagi jest trzymanie się zasady złotego środka, kiedy mamy wszystkiego w sam raz. Apele, które skłaniają nas do radykalnych zmian stylu życia czy diety, obiecując magiczną ochronę przed wolnymi rodnikami, mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. Nasze ciało doskonale radzi sobie z utrzymywaniem równowagi, więc w większości przypadków przyjmowanie suplementów diety nie będzie potrzebne. Jeśli jednak wciąż macie pewne zastrzeżenia i obawiacie się, że w konkretnym przypadku ten balans jest zaburzony, zanim podejmiecie jakiegokolwiek decyzje, porozmawiajcie o tym z lekarzem.

Nie wierzycie? Sprawdźcie.

Wzbudziłam wątpliwości? Czy może wciąż obstajecie przy swoim? Pamiętajcie, aby wyrobić sobie opinię na dany temat,

należy podejść do niego bardzo odpowiedzialnie. Tym bardziej, jeśli na szali leży zdrowie wasze lub bliskich. Nie musicie wierzyć nikomu na słowo, możecie sprawdzać źródła danych, oceniać ich jakość. Zachowajcie jednak w pamięci, że nie można być specjalistą od wszystkiego, dlatego również wasza ocena może być nie do końca trafiona. Dobrym pomysłem jest więc poleganie na autorytetach. Autorytetach, czyli wybitnych specjalistach, którzy poświęcili wiele lat życia na badanie danego tematu, a nie na internetowych szarlatanach. Niech o nauce mówi naukowiec, a o zdrowiu lekarz. W ocenie sytuacji nie poszukujcie jedynie argumentów potwierdzających wasze tezy, ale również tych, które starają się ją obalić. W ten sposób wciąż będziecie testować siłę swoich opinii i w porę się zorientujecie, jeśli są one mylne. Fakty nie boją się takich dyskusji. W zdecydowanej większości warunków najlepszym rozwiązaniem jest zachowanie zdrowego rozsądku i wybieranie złotego środka.

Cała opowieść jest oczywiście celowym uproszczeniem, a zabieg personifikacji cząsteczek i reakcji ma na celu ułatwienie czytania. Chciałabym jednak, aby czytelnicy mieli świadomość, że cząsteczki ze sobą reagują, a reaktywne formy tlenu w rzeczywistości nie mają cech charakteru.

Pozwolę sobie na krótkie podsumowanie. Będę bardzo zadowolona, jeśli zapamiętacie z tego artykułu chociaż jedną rzecz. Gdybym mogła wybierać, chciałabym, aby było to przekonanie, że prawdy naukowe są zazwyczaj bardziej skomplikowane, niż można by sądzić. Ich zrozumienie i kompleksowa ocena wymaga dużego zaangażowania i otwartości. Bywa, że należy zmierzyć się z faktami, które niekoniecznie muszą pozostawać w zgodności z naszymi opiniami, ale nie może to przekreślać ich racjonalności.

Dr Paulina Mozołewska, popularyzatorka nauki, autorka bloga naukowka.pl oraz finalistka konkursu FameLab 2018. Laureatka konkursu „Skomplikowane i Proste” w roku 2016.

Inteligentne leki

Zastosowanie materiałów węglowych jako nośników leków pozwala zredukować liczbę wywoływanych przez nie efektów ubocznych oraz wydłużyć czas ich działania w organizmie.

Raz, dwa, a niekiedy trzy razy na dobę. Nie częściej niż co cztery godziny. Przed lub w trakcie posiłku. Do tego konieczne szklanka wody. Sięgając do domowej apteczki należy pamiętać, że choć o powodzeniu farmakoterapii w największym stopniu decyduje dobór właściwego leku, to nie mniej istotne jest przestrzeganie przez chorego zaleceń co do sposobu jego zażywania. Zwłaszcza że przy różnych dolegliwościach wzmocnienie bądź osłabienie działania odmiennych preparatów zależy od wielu czynników. To przede wszystkim odpowiednie dawkowanie, nieprzekraczające dopuszczalnego poziomu stężenia leku w organizmie, ale też pilnowanie godzin przyjmowania, by substancje czynne zdołały się uwolnić, oraz ograniczenie spożywania produktów niekorzystnie wpływających na wchłanianie lekarstw. A gdyby te wszystkie wytyczne zaprogramować na odpowiednim nośniku, który sam sterowałby umieszczonym na nim medykamentem? Takie „inteligentne leki” to już całkiem nieodległa przyszłość. Zainteresowanie naukowców budzą szczególnie uporządkowane węgle mezoporowate.

Między 2 a 50 nm

To materiały, które wbrew pozorom nie należą do paliw kopalnych. Pozyskuje się je na drodze syntezy – metodami twardego i miękkiego odwzorowania – w trakcie której możliwa jest precyzyjna kontrola ich powierzchni właściwej oraz średnicy i objętości powstających porów. O ile w przypadku węgla mikroporowatych pory mają nie więcej niż 2 nanometry, a mikroporowatych powyżej 50 nanometrów, o tyle w mezoporowatych mieszczą się w zakresie pomiędzy tymi wartościami. Dzięki temu idealnie nadają się np. do wychwytywania zanieczyszczeń, zwłaszcza barwników syntetycznych. Z racji złożonej struktury i stabilności barwniki takie, stosowane w niemal każdym przemysle, po przedostaniu się do wody stanowią poważne zagrożenie toksykologiczne dla ekosystemu. Zapobiegać mu mogą filtry na bazie węgla mezoporowatych. Również w kosmetyce, gdzie poprzez maseczki czy kremy węgle mogą adsorbować całodzienne zanieczyszczenia powietrza z twarzy, nie miałyby sobie równych.

Unikatowe właściwości fizykochemiczne tych materiałów sprawiają, że ich potencjał aplikacyjny jest o wiele większy. Mogłyby np. znaleźć zastosowanie w farmacji jako nośniki leków.

– Cel jest jasny: zwiększyć komfort chorego. Teraz, przyjmując leki w dawkach co kilka godzin, za każdym razem narażamy się na efekty uboczne. Można je zredukować przez zastosowanie materiałów węglowych jako nośników aktywnych substan-

cji farmaceutycznych, które w dodatku wydłużają czas obecności i działania leku w organizmie – zapewnia prof. Joanna Gościańska z Zakładu Chemii Stosowanej na Wydziale Chemii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Na ten oryginalny pomysł wpadła zaraz po obronie doktoratu, ale jej fascynacja nanomateriałami trwa znacznie dłużej. Tyle że wcześniej prof. Gościańska zajmowała się głównie mezoporowatymi krzemionkami oraz ich szerokim zastosowaniem w katalizie. Wiedziona ciekawością, próbowała zrobić z nich... węgiel i zobaczyć, w jaki sposób będzie się on zachowywał. Jego synteza składa się z kilku etapów, ale nie jest zbyt skomplikowana. Na powierzchnię krzemionki wprowadza się rozpuszczoną uprzednio w wodzie sacharozę, dodając odrobinę kwasu siarkowego (VI). Tak zaimpregnowana krzemionka trafia do pieca, gdzie w temperaturze dochodzącej do 900 stopni i w atmosferze gazu obojętnego jest wygrzewana. Sacharoza na powierzchni krzemionki polimeryzuje. Powstaje kompozyt, pół-krzemionka, pół-węgiel, z którego za pomocą kwasu fluorowodorowego albo zasady sodowej krzemionkę się usuwa, a pozostały węgiel jest jej odwrotną repliką. Najczęściej przyjmuje morfologię krzemionki, wykazując się przy tym dużą porowatością. Przez to mezoporowate sita molekularne doskonale nadają się do selektywnego wychwytywania dużych cząsteczek w lekach.

Relegowanie króla?

W farmacji królował dotąd węgiel aktywny. Zetknął się z nim każdy, kto kiedykolwiek uległ zatruciu pokarmowemu. W wielu domach używano go, by oczyścić organizm z toksyn. Tyle że węgle mezoporowate mają wszelkie atuty, by godnie zastąpić dotychczasowe remedium. Uporządkowana struktura decyduje o ich wyjątkowych właściwościach, są nietoksyczne, biokompatybilne i dodatkowo w pełni odtwarzalne.

– W przypadku węgla aktywnych nie jesteśmy w stanie tego osiągnąć. Z pestek śliwki czy wiśni po karbonizacji, czyli wygrzewaniu w wysokiej temperaturze i odpowiedniej aktywacji, otrzymamy węgle o różnej strukturze porowatej. Zależy to m.in. od czynników typowo środowiskowych, np. gatunku drzewa, oraz warunków, w jakich przeprowadzimy wspomniane procesy. Tymczasem węgle syntetyczne charakteryzują się zawsze ściśle określoną, kontrolowaną strukturą i morfologią. Zachowują się tak, jak chcemy, co dla przemysłu nie jest bez znaczenia – przekonuje prof. Gościańska.

Jej pomysł polega na takim „zaprogramowaniu” nośnika na bazie węgla mezoporowatych, że umieszczony na jego



Fot. Arch. prywatne

powierzchni lek sam uwalniałby się w odpowiednim miejscu w organizmie. W zależności od potrzeb powierzchnię tę modyfikuje się różnymi grupami funkcyjnymi, które pozwolą na dopasowanie nośnika do konkretnego preparatu. Jako przykład moja rozmówczyni podaje popularny paracetamol. Leki przeciwbólowe, choć potrafią przynieść ulgę, mają także wady: są słabo rozpuszczalne albo długo wchłaniają się w organizmie. Tymczasem zastosowany przez nią nośnik zwiększył tę rozpuszczalność, a przy tym zminimalizował efekty uboczne działania paracetamolu. Wbrew obawom jedna zwiększona dawka zadziałała skuteczniej niż kilka mniejszych.

– Powierzchnię węgla modyfikowaliśmy różnymi grupami funkcyjnymi o charakterze zasadowym, które zaczęły współpracować z kwasowym paracetamolem. Po wprowadzeniu go na nośnik, udało nam się przez dobę uwalniać lek w sposób w pełni kontrolowany. Nawet lekarze byli zdumieni – opowiada poznańska chemiczka, w przypadku której określenie „matka wynalazków” nabiera rzeczywistego charakteru.

Jej zdaniem kobiety odzyskują dziś pozycję i choć często trudno im się wybić, to właśnie one są podporą nauki, wpływają na jej rozwój i dzięki kompetencjom stopniowo wspinają się na szczyty. Ona sama zajmuje się nie tylko lekami przeciwbólowymi, lecz także zapobiegającymi wysokiemu ciśnieniu (losartanem potasu) i – to największe wyzwanie – antybiotykami (tebipenem piwoksylu, ampicyliną). Ta ostatnia grupa jest najbardziej problemowa, ponieważ cechuje się znaczną nietrwałością chemiczną, co w praktyce oznacza bardzo szybki rozkład. Tak się jednak składa, że właśnie węgle syntetyczne, co pokazały wstępne badania, mogą zwiększać trwałość antybiotyków, pełniąc wówczas rolę swoistego stabilizatora.

Połknąć i zapamiętać

Do badań wybrano leki, które wymagają algorytmu częstego dawkowania i są już doskonale znane, a ich właściwości fizyko-chemiczne dobrze opisane. Prof. Gościańska wyszła z założenia, że lepiej udoskonalać, niż zaczynać od zera, tym bardziej, że w przypadku środków medycznych zajęłoby to dekady. Bazuje więc na tym, co już opracowano, dostosowując do tego wytwarzane przez siebie węgle mezoporowate. Ich właściwości muszą

współgrać z substancją leczniczą i nie tłumić jej. Z drugiej strony to działanie nie może nastąpić zbyt szybko, zaraz po połknięciu tabletki, czyli tak jak teraz. Pacjent połykałby nośnik wraz z lekiem, którego substancja czynna uwalniałaby się w konkretnym miejscu w organizmie, np. w żołądku, w takich dawkach i odstępach czasowych, jakie zostałyby „zaprogramowane” za pomocą grup funkcyjnych obecnych na powierzchni węgla.

– Trudność polega na tym, by tak zmodyfikować węgiel, żeby nie uwalniał on leku od razu, lecz stopniowo, tylko wtedy, gdy chcemy – wyjaśnia prof. Gościańska i dodaje, że niekiedy czysty węgiel, bez żadnych grup funkcyjnych, okazuje się doskonałym nośnikiem leku, a innym razem konieczna jest jego dodatkowa „przeróbka”, by wykazał narzuconą selektywność, np. przy wychwytywaniu toksyn.

Testowanie odbywa się w symulowanym środowisku wewnętrznym organizmu, a więc w soku żołądkowym o odpowiednim pH, ślinie itd. Stworzony węgiel nie może stanowić żadnego zagrożenia toksykologicznego i musi być biokompatybilny, tak by po wypuszczeniu leku został bezproblemowo usunięty z organizmu.

W poznańskim ośrodku – w badania włącza się także Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego – trwają prace nad nośnikami leków doustnych, ale niewykluczone jest także ich użycie w różnego rodzaju maściach, kremach czy żelach przeznaczonych do stosowania miejscowego. Trwają próby z benzokainą, środkiem znieczulającym, przeciwbólowym, stosowanym miejscowo np. na skórę. Również w tym przypadku podstawowym zadaniem nośnika będzie systematyczne uwalnianie substancji czynnej z leku, bez konieczności wielokrotnego smarowania w ciągu dnia. Osiągnięcie tego celu z uwzględnieniem warunku, by małe cząstki węgla nie przenikały przez skórę, lecz utrzymywały się tylko na jej powierzchni, z naukowego punktu widzenia wydaje się dziś kluczowym zadaniem.

Jedno jest pewne: niezależnie od tego, w jakiej formie wraz z lekiem zostaną zaaplikowane, działanie węgla mezoporowatych pozwoli nie przejmować się już tym, kiedy przyjąć kolejną dawkę i w jakiej ilości. I by uwolnić od utrapienia każdego chorego, bohaterka tego tekstu wcale nie musiała spełniać innego marzenia – o zostaniu lekarzem.



Joanna Kosmalska

Zagadki żółwia

Fot. Tomasz Szczygielski

Ewolucja to skomplikowany proces, pewne cechy mogą się pojawiać niezależnie w różnych liniach ewolucyjnych, a niekiedy potem ulegać rewersji pod wpływem fluktuacji środowiska, więc trzeba bardzo uważać.

Nie po raz pierwszy przypadek i... śmietnik okazują się warunkami optymalnymi do znalezienia cennych dla nauki, zakopanych w ziemi skarbów. Tym razem odkrycie to, istotne dla paleobiologów, dotyczy żółwia, a ściślej przodków znanych nam współcześnie gadów z tej grupy. Te, które odkopano na wysypisku śmieci w miejscowości Poręba na południu Polski, blisko czterysta szczątków pancerza i kończyn, należały do żyjącego w triasie, ok. 215 mln lat temu, gatunku nazwanego *Proterochersis porebensis*, czyli „pierwotny żółw z Poręby”. Jak twierdzi dr Tomasz Szczygielski z Instytutu Paleobiologii PAN, znawca żółwi – zarówno w pracy magisterskiej jak i doktorskiej właśnie nimi się zajmował – nasz porębiany gatunek jest kluczowy dla zrozumienia ewolucji tej grupy zwierząt. Dlaczego? Ponieważ to najstarsze i najbardziej pierwotne żółwie na świecie, jakie udało się odnaleźć.

Nietypowa anatomia

Szczałków przodków – protożółwi – jest niewiele i są to dość niedawne znaleziska, z tego milenium. Nie miały one pancerzy, a jedynie ich zaczątki. Wyglądem przypominały raczej jaszczurki.

– Ich żebra były już znacznie bardziej rozszerzone i miały już plastron, czyli spodnią część pancerza znajdującą się na brzu-

chu u współczesnych żółwi. Nie miały jednak karapaksu, czyli górnej części pancerza. Plan budowy tych zwierząt był zbliżony do budowy jaszczurki.

Szczałki odkryte na stanowisku w Porębie należą do bardziej zaawansowanych ewolucyjnie form, ponieważ niewątpliwie miały już pancerz dolny i górny, lecz różnią się od żyjących współcześnie gatunków. W zasadzie żółw jaki jest, każdy wie, tymczasem jednak okazuje się, że to nieco dziwne i pełne zagadek gady.

– Z żółwiami do dziś jest pewien problem, ponieważ nie bardzo wiadomo, gdzie je umiejscowić na drzewie rodowym gadów – wyjaśnia dr Szczygielski. – Badania anatomiczne sugerują, że powinny zostać umiejscowione przy gadach morskich z mezozoiku, natomiast badania genetyczne wskazują, że są one związane z gadami naczelnymi, czyli dzisiejszymi krokodylami i ptakami.

Wynika z tego, że żółwie, co w ewolucji wcale nie dziwne, odbyły własną, indywidualną drogę i wcześniej oddzieliły się zarówno od jednej jak i drugiej grupy gadów. Są specyficzne, odmienne od innych kręgowców.

– U żółwi jest dużo dziwności – wyjaśnia dr Szczygielski. – Łopatka u kręgowców jest tworzona na granicy odcinka szyjnego i tułowia. Wchodzi w jej skład komórki z sekcji szyjnej i tułowiowej. U żółwi łopatka jest tworzona wyłącznie przez sekcję szyjną. Sploty unerwiające kończyny przednie także wywodzą się z komórek szyi. To dlatego, że ekspresja niektórych genów jest ograniczona do odcinka szyjnego. Na podstawie analizy budowy anatomicznej szczątków *Proterochersis porebensis* i innych triasowych żółwi wiadomo, że zasięg genów wyznaczających początek klatki piersiowej uległ u najwcześniejszych żółwi stopniowemu przesunięciu do tyłu, wydłużając tym samym szyję. Przejściowa anatomia u niemieckich żółwi z tego okresu pokazuje etap pośredni pomiędzy żółwiem pierwotnym a współczesnym.

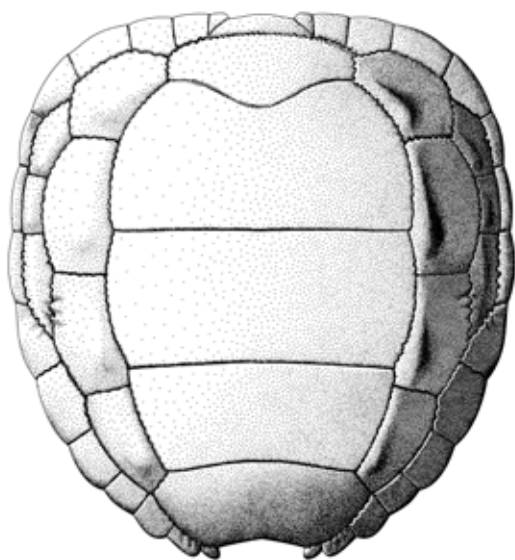
Widać to także na pancerzu, który jest niby taki jak dzisiaj, a jednak nie do końca.

– Górna część – karapak – jest w głównej mierze zbudowana z żeber i wyrostków

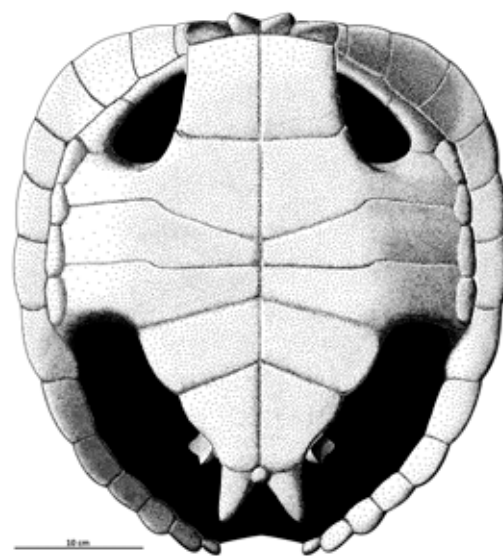


Fot. Marian Dzięwiński

Proterochersis porebensis



Poterochersis porebensis – karapak



Poterochersis porebensis – plastron

Rys. Tomasz Szczygielski

kręgosłupa. Dolna – plastron – z kości obręczy barkowej i tzw. żeber brzusznych. Te ostatnie w zasadzie nie mają nic wspólnego z prawdziwymi żebrami, nazywa się je tak z uwagi na prętowaty kształt u większości gadów, ale są to elementy powstałe w skórze – wyjaśnia dr Szczygielski. – Krawędź karapaksu i połączenie z plastronem tworzą kostne płytki powstające w skórze i podobnie było u triasowych żółwi, tyle że liczba płytek była znacznie większa. U *Proterochersis* obserwujemy całą mozaikę, zwłaszcza w tylnej części karapaksu. Cały pancerz pokryty jest tarczami rogowymi. One się wprawdzie nie zachowały w stanie kopalnym, ale można wnioskować o ich liczbie i kształcie na podstawie wyraźnie widocznych bruzd na powierzchni zachowanych kości. Żółwie triasowe miały nie tylko znacznie więcej wszystkich elementów pancerza niż obecne, począwszy od zewnętrznych tarcz rogowych, przez elementy skórne (płytki znajdujące się na brzegach pancerza), aż po szkielet osiowy – rdzeń ciała zwierzęcia. To właśnie świadczy o tym, że mamy do czynienia z bardzo pierwotnymi żółwiami.

Na dodatek stanowisko w Porębie jest niezwykle nie tylko z uwagi na znaczną liczbę skamieniałości, ale także fakt, że pochodzą one od osobników zarówno bardzo młodych, jak dojrzałych i zaawansowanych wiekiem. Dzięki temu można zaobserwować różne etapy wzrostu pancerza. Ba, okazało się, że porębiane osobniki bywały bardzo duże, u niektórych pancerz miał ok. 70 cm długości.

Pośredni

Czy to oznacza, że trafiliśmy na ogniwo pośrednie, jak to nazywa ewolucja? Dr Szczygielski jest nieco sceptyczny. Bo i tak, i nie do końca.

– Ogniwo pośrednie – paleontolodzy nie lubią tego określenia. Z jednej strony wszystko może być ogniwem pośrednim, ale z drugiej... Nigdy nie mamy do końca pewności, czy zwierzęta, które badamy, są ustawione w prostej linii przodek – potomek. Może to być jakaś linia boczna, która wprawdzie informuje nas o cechach wspólnego przodka z młodszymi gatunkami, ale niekoniecznie jest bezpośrednim przodkiem tych gatunków. Ponadto ewolucja to skomplikowany proces, pewne cechy mogą się pojawiać niezależnie w różnych liniach ewolucyjnych, a niekiedy potem ulegać rewersji pod wpływem fluktuacji środowiska, więc trzeba bardzo uważać.

Przyznaje jednak, że w tym przypadku cechy triasowych żółwi zdają się być rzeczywiście pośrednie i dają nam wgląd w to, jak ewolucja, np. dotycząca pancerza, mogła zachodzić.

Budowa skorupy bowiem to nie tylko kwestia optymalizacji budowy zwierzęcia z uwagi na warunki, w jakich żyje, ale także ekspresji określonych genów.

– Przyjmuje się w biologii ewolucyjnej, że wpływ środowiska i wpływ genetyczny są mniej więcej tak samo istotne: pół na pół. Poza tym musimy brać pod uwagę to, że pewne zjawiska w procesie ich powstawania dostrzegamy dopiero w trakcie optymalizacji.

Znowu jednak dochodzimy do kolejnej dziwności. U żółwi, inaczej niż u innych kręgowców, żebra nie obejmują całej klatki piersiowej. Można powiedzieć, że rozchodzą się na boki, stanowią podstawę górnego pancerza, podobnie jak u niektórych obecnie żyjących gadów morskich. Znowu wkraczamy w dziedzinę genetyki. Dr Szczygielski uważa, że to kwestia ekspresji genów.

– Jeśli pojedynczo wyłączymy eksperymentalnie geny determinujące powstawanie klatki piersiowej, żebra nadal będą, choć mniejsze i słabsze. Jeśli natomiast nawarstwimy kilka genów o tym efekcie, zaczynając od tego samego segmentu, to pierwsze żebra będą większe i granica między sekcjami wyraźniejsza, bo efekt się zwielokrotnia. To obserwujemy u zwierząt. Kiedy zasięgi genów na siebie zachodzą tylko częściowo, to kształt zmienia się subtelnie. Żółwie mają długą szyję i kiedy porównać gady kopalne i współcześnie żyjące, widać, jak determinowała się liczba kręgów szyjnych i tułowiowych.

Niestety żółw pod niektórymi względami nadal pozostaje dla nas tajemniczy, a na stanowisku w Porębie nie znaleziono niestety kości czaszki. Na szczęście rzeka, jaka niegdyś, czyli w triasie, tutaj płynęła, pozostawiła wiele innych interesujących osadów. Znaleziono nie tylko szczątki żółwi, lecz także dinozaurów, pancernych aetozaurów, kolce płetwowe rekinów słodkowodnych, małże, ślady bezkręgowców, a także wiele materiału roślinnego, który jest obecnie opracowywany. Odkryto też kopolity, czyli skamieniałe odchody żółwi. Ich analiza ujawniła kostne szczątki ryb oraz materiał roślinny. *Proterochersis porebensis* żył więc nie tylko w środowisku lądowym, jak przypuszczano, lecz część życia spędzał także w wodzie.

Bielańscy

Urzeczywistniając dążenia holistyczne, ówczesnie postulowane, Zofia Bielańska-Osuchowska łączyła – w badaniach, nauczaniu i działaniach organizacyjnych – zagadnienia wcześniej od siebie odległe, oddzielone odmiennością stosowanych metod, czasem stawianych pytań. Terenem takich działań było m.in. Polskie Towarzystwo Anatomiczne.

Pierwszy akademicko utytułowany przedstawiciel krakowskiego uczonego rodu przyszedł na świat jeszcze w epoce zaborów (1911), w Łąncucie, ale młodzieńczą dojrzałość osiągnął w Polsce niepodległej, kiedy życie obfitowało w zadania i możliwości, kiedy trzeba było dać miejsce zadaniom przed pragnieniami, a z możliwości korzystać dla ich wykonania.

Adam Kazimierz Firlej Bielański, żyjący w latach 1881–1964, dokonał rzeczy ważnych w różnych sferach życia społecz-

nego. Specjalista hydrochemik, rozwinął tę dziedzinę wiedzy na pograniczu teorii i praktyki inżynierskiej. Wykorzystywał ją w wieloletniej pracy dyrektora Dróg Wodnych w Krakowie, a jednym ze śmiałych przedsięwzięć w tym zakresie było przeniesienie koryta rzeki Rudawy z centrum miasta, gdzie powodowała dotkliwe powodzie, na peryferie, czego współprojektantem i współwykonawcą był Adam Bielański.

Po wybuchu drugiej wojny światowej stanął przed zadaniem na rzecz kultury narodowej i spełnił je perfekcyjnie, przewożąc zbiory wawelskie Wisłą do Sandomierza, co okazało się dramatycznym początkiem ich wojennej tułaczki.

Do ważnych zasług trzeba policzyć wychowanie trójki cenionych profesorów (różnych dziedzin), z których każde pozostawiło duży pionierski dorobek oraz liczne grono uczniów, pomnażając szeregi aktywnych w życiu zbiorowym inteligentów.

Imiennik

Adam Jan Bielański (junior) urodził się w roku 1912 w Krakowie. Studiował chemię w UJ, uzyskując dyplom w roku 1936, a także w Londynie. Doktorat obronił na tajnych kompletach uniwersyteckich w roku 1945, profesurę otrzymał dziesięć lat później.

Przez całe ponadstuletnie życie profesor Bielański pomnażał i gruntował wiedzę z dziedziny chemii, zwłaszcza nieorganicznej, budując szkołę naukową, uzupełniając kolejne wydania podręczników akademickich o jej osiągnięcia. Tak było z *Chemią ogólną i nieorganiczną*, które to kompendium zastąpiły w roku 1984 *Podstawy chemii nieorganicznej*, nieodmiennie służące pokoleniom chemików – i studentów, i preceptorów. Przypadki podobnej długowieczności książki naukowej, szczególnie podręcznika, szczególnie w naukach przyrodniczych, odnotowują skwapliwie z dwóch powodów. Przede wszystkim wydają mi się wymownym świadectwem wiarygodności podstawowych twierdzeń w nich zawartych, stanowiących trwałe szkielet opartej na nich i rozwijanej dalej wiedzy, co czyni ów dalszy roz-



Adam Jan Bielański



Władysław Bielański

wój szybszym i pełniejszym. Poza tym, jak mnie, laikowi, się wydaje, z takiej wielokrotnie weryfikowanej bazy łatwiej wychodzić na sąsiednie, nawet dalsze, obszary poszukiwań.

Adam Bielański, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim i Akademią Górniczo-Hutniczą, pełnił w tych uczelniach funkcje administracyjne, przede wszystkim starając się o prowadzenie badań nad aktualnie najważniejszymi problemami chemii i szybkie włączanie ich wyników w programy kształcenia studentów. W AGH był dziekanem Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki, a zorganizował tam Wydział Mineralny.

Kierował grupą naukową w krakowskim Instytucie Katalizy i Chemii Powierzchni PAN, skupioną na kompleksowym poznawaniu zagadnień stanowiących wówczas pierwszą linię badań chemicznych. Był członkiem rzeczywistym akademii i członkiem czynnym PAU, która uhonorowała profesora swoim największym laurem – Nagrodą Jerzmanowskich, przyznaną mu po jej przywróceniu w wolnej Polsce, pomnażając znacząco rejestr wyróżnień otrzymanych w długim życiu. Adam Bielański pracował do jego ostatnich dni i tak samo długo pielęgnował zainteresowania muzyką poważną.

Brat

Władysław Bielański, tylko o rok starszy od Adama, nie mógł mu być życiowym wzorem. Można więc sądzić, że kariery naukowe całej trójki rodzeństwa miały źródło i w genach, i – przede wszystkim chyba – w klimacie domu na krakowskim Salwatorze. Po ukończeniu gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza studiował w latach 1930–1934 zoologię i zootechnikę w UJ, a w następnym czterolecu weterynarię w lwowskiej Akade-

mii Medycyny Weterynaryjnej. Podczas studiów działał w korporacji akademickiej Corolla.

Drogę naukową Władysława Bielańskiego, jak wielu jego rówieśników, przegrodziła na parę lat wojna. Walczył w kampanii wrześniowej, zaś od roku 1941 był żołnierzem AK, pracując zarobkowo m.in. jako lekarz weterynarii. Podczas okupacji kierował (na zlecenie Krakowskiej Izby Rolniczej) Powiatowym Inspektora-tem Hodowli Zwierząt w Miechowie, wykorzystując tę funkcję i poświadczony dyplomami autorytet specjalisty do działań ratujących polskie konie przed wywózką do Niemiec. Pomogło to później w odtwarzaniu pogłowia cennych dla gospodarki i zagrożonych wyginięciem gatunków.

Zaraz po wojnie powrócił do pracy naukowej i przerwanej kariery akademickiej, uzyskując w roku 1946 stopień doktora nauk rolniczych, a w roku 1952 docenturę w zakresie ogólnej hodowli zwierząt. Od roku 1954 był profesorem Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie (obecnie Uniwersytet Rolniczy). W latach 1970–81 kierował Zespołem Rozrodu w Instytucie Stosowanej Fizjologii Zwierząt. W roku 1969 został członkiem PAN i pełnił funkcję prezesa Oddziału Krakowskiego w latach 1971–1974. W tym samym czasie przewodniczył Komitetowi Zootechnicznemu PAN.

Pierworodny syn twórcy dróg wodnych w Krakowie odziedziczył i (pewnie w większym stopniu) wyniósł z domu to, co pewien mój uczonego rozmówca nazwał „kamertonem umysłowym”, jakieś „urządzenie” w mózgu, które sygnalizuje sprawy, jakie trzeba rozwiązywać, w bezbłędnej kolejności znaczeń. Kolejność była istotna w czasie, kiedy do życia naukowego

wchodzili Bielańscy, gdyż dyktowały ją pilne i mnogie potrzeby rozwijającego się po wojennej przerwie kraju.

Władysław stworzył nowoczesną szkołę rozrodu zwierząt gospodarskich, w tym szczególnie koni (sam z zamiłowaniem uprawiał jeździectwo i ujeżdżał wierzchowce), co zarazem wiązało badania prowadzone w Krakowie z przodującymi w tym zakresie na świecie i przynosiło wiedzę praktyczną pilnie potrzebną rolnictwu, którego stan, pod rządami komunistów, profesor mocno krytykował, m.in. w gronie goszczonych przez kardynała Wojtyłę przedstawicieli krakowskiej kultury i nauki. Zmarł na atak serca podczas jazdy konnej w marcu 1982 roku, po ciężkich przeżyciach osobistych i doświadczeniach stanu wojennego, pozostawiając wciąż aktualne artykuły oraz książki i duże grono uczniów.

Siostra

Najmłodsza z uczonego rodzeństwa Zofia Bielańska, urodzona w roku 1919, rozpoczęła studia biologiczne na Wydziale Filozoficznym UJ w roku 1937, by je skończyć po wojnie. W roku 1940 wyszła za Gabriela Osuchowskiego, z którym zamieszkała w Warszawie, rozpoczynając w roku 1953 pracę starszego asystenta w Zakładzie Histologii i Embriologii Wydziału Weterynaryjnego SGGW. Stopień kandydata nauk (odpowiednik doktoratu we wczesnym PRL) uzyskała w roku 1958 na Uniwersytecie Warszawskim, co zapewniło jej awans na stanowisko adiunkta. Dalszą drogę przebyła szybko, podobnie jak obaj bracia, bowiem zapotrzebowanie na światłe umysły i śmiałe inicjatywy w obszarze nauki było wciąż większe niż ideologiczne



Źródło: journals.viamedica.pl

Zofia Bielańska-Osuchowska

obiekcie i lęki przed reakcyjną inteligencją. Losy uczonych Bielańskich przypominały mi żywo opowieści wielu innych ich rówieśników, którzy wybierali naukę jako sposób życia przede wszystkim dlatego, że cieszyła się względną swobodą, w każdym razie większą niż inne, w normalnych warunkach interesujące zajęcia. Pewien krakowski matematyk ujął to dosadnie: Jak ktoś umiał tańczyć, śpiewać, zapisywał się do „Mazowsza”, a jak nie, to się dobrze uczył, żeby zostać na uniwersytecie.

Rozmawiając o profesorskiej rodzinie, dowiedziałam się, że wszystkie jej linie reprezentują potomkowie Sejmu Wielkiego, pieczętujący się herbami: Lewart, Gozdawa, Jastrzębiec, którą to proweniencję większej części polskiej inteligencji warto pamiętać, kiedy szukamy źródeł cech i zachowań przekazywanych pokoleniom.

Zofia Bielańska-Osuchowska habilitowała się w roku 1961, profesorem zwyczajnym została w roku 1980. Dwukrotnie przez kilkuletnie okresy kierowała najpierw zakładem, później Katedrą Histologii i Embriologii w ŚGGW. Był to czas szybkiego rozwoju nauk o życiu na świecie, odkryć biologii molekularnej, a warszawska uczelnia rolnicza miała znakomite tradycje uczestniczenia w tym rozwoju od swoich początków i zawsze bliskie kontakty z wiodącymi ośrodkami. Po dramatycznej wojennej przerwie, w warunkach narzuconych sytuacją polityczną ograniczeń, trzeba było te tradycje przywrócić, rozległą współpracę kontynuować. Pani profesor przez długi czas organizowała doroczne Konferencje Biologii Komórki, gromadzące w Warszawie najwybitniejszych uczonych zajmujących się tą problematyką.

Urzeczywistniając dążenia holistyczne, ówczasnie postulowane, łączyła – w badaniach, nauczaniu i działaniach organizacyjnych – zagadnienia wcześniej od siebie odległe, oddzielone odmiennością stosowanych metod, czasem stawianych pytań. Terenem takich działań było m.in. Polskie Towarzystwo Anatomiczne, którego Zofia Bielańska-Osuchowska była prezesem w latach 1971–1977, a od roku 1986 do śmierci członkiem honorowym. Zmarła w roku 2017 w Warszawie, pozostawiając nauki weterynaryjne najszerzej rozumiane, na światowej miary poziomie.

Wiele publikacji – podręczniki akademickie, przede wszystkim *Embriologia*, w momencie ogłoszenia awangardowa – pozostaje wciąż aktualne i służy kolejnym rocznikom studentów.

Inny czas

Urodzony podczas wojny (1942) syn pani profesor, Juliusz Osuchowski, dorastał w innej epoce historycznej, która, jak się zdaje, zdeteminowała jego życiowe losy. Studiował socjologię w UW, jednakże po Marcu '68, za „nieprawymslną” aktywność usunięto go z uczelni i wyjechał do Londynu, gdzie pracował w prasie polonijnej.

Po powrocie, w roku 1972, założył gospodarstwo rolne pod Krakowem i zajmował się zawodowo strzyżeniem owiec, organizując w 1980 roku Solidarność wiejską i współtworząc jej program. Uczestniczył w podpisywaniu porozumień z rządem w Ustrzykach Dolnych i wynegocjował obowiązujące do dzisiaj zwolnienie z podatku gruntowego na terenach górskich oraz inne korzystne wówczas dla rolników ustalenia.

Wedle źródeł IPN Juliusz Osuchowski był równocześnie współpracownikiem SB, że jednak nie kontynuował uczoney tradycji, a większą część życia spędził poza Polską, nie wymaga to specjalnej uwagi, jak też nie obciąża szczególnie dotkliwie rodzinnej pamięci. Niewątpliwie zasługi dziennikarza, którym został, to odnalezienie cennych dokumentów z okresu drugiej wojny światowej w archiwach Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku i w Południowej Ameryce. Te ostatnie odkrycia ujawniły znaczący udział środowisk polonijnych w działaniach, jakie wypada nazwać patriotycznymi, choć miały miejsce daleko od ojczyzny.

Juliusz Osuchowski pozostawił liczne reportaże z podróży po wielu kontynentach i rejsów dalekomorskich, które stały się jego pasją, wywiady z politykami różnych krajów, zebrane w książce pt. *Anotar*. Zmarł w roku 2007.

* * *

W Trzeciej Rzeczypospolitej, mimo sceptycznych przewidywań, inteligencja okazuje się potrzebna. Pełni w istocie tę samą zawsze rolę – tworzenia i przekazywania wzorców. Dzieje się to nie tylko w rodzinach z długą tradycją naukową, ale w takich, gdzie młode pokolenie rośnie w klimacie rozmów o tym, co ważne, co trzeba wesprzeć w miarę możliwości, nawet gdy możliwości są niewielkie, czemu się przeciwstawić, nawet gdy skutek nikły. Wrażliwość społeczna, jak to nazywają specjaliści, jest istotną, jak dotąd trwałą cechą inteligenckiego etosu, co wielokrotnie pokazywała historia. Warto przypominać.

Henryk Grabowski

Czegoś tu nie rozumiem

Spór o to, czy w Polsce jest jeszcze rozdział między władzą sądowniczą a ustawodawczą i wykonawczą, trwa w najlepsze i nic nie wskazuje na to, że się prędko zakończy. Mam na ten temat swoje zdanie, ale nie będę się z nim afiszować, by nie być posądzonym o wypowiedzanie się na temat trójpodziału władzy z politycznych, a nie poznawczych motywów.

Źródłem mojego dyskomfortu poznawczego jest bagatelizowanie licznych przypadków łączenia władzy ustawodawczej z wykonawczą. Niezależnie od opcji politycznych zajmowanie stanowisk w rządzie i zasiadanie w ławach poselskich jest nagminne i nikogo to nie dziwi. Podobno są kraje, w których sędziowie mogą być również parlamentarzystami.

Z tego, co wiem, Monteskiusz uznawał za mniejsze zło łączenie funkcji sądowniczej z wykonawczą niż wykonawczej z ustawodawczą. Egzekwowanie zaś prawa przez parlamentarzystów uważał za niedopuszczalne. Było to jednak dawno temu.

Być może moje zdziwienie wynikające z deficytów wiedzy o polityce jest naiwne i są jakieś znane politologom bada-

nia świadczące o tym, że rozdział władzy sądowniczej od dwu pozostałych jest ważniejszy niż między władzą ustawodawczą i wykonawczą. Tak czy inaczej, z logicznego punktu widzenia, sprawowanie funkcji ustawodawczych i wykonawczych przez te same podmioty, przy równoczesnej odrębności instytucji zawiadujących tymi sferami działania państwa, wydaje się irracjonalne.

Odwoływanie ze stanowisk ministerialnych przy wyborze do parlamentu i – vice versa – zrzekanie się mandatów poselskich po objęciu funkcji w rządzie wydaje się tak oczywiste, jak to, że ziemia jest okrągła, choć – jak wiadomo – nie brak takich, którzy twierdzą, że jest płaska.

Czymś gorszym od łączenia funkcji ustawodawczej z wykonawczą może być tylko skupienie w jednym ręku kompetencji w zakresie stanowienia prawa, nadzoru nad jego realizacją i władzy nad sądami. W państwie aspirującym do miana praworządnego jest to jednak, jak się wydaje, niemożliwe. Choć kto wie?



Fot. Stefan Ciechan

Sowietyzacja

By ułatwić lituanizację Wileńszczyzny i ukrainizację Ziemi Lwowskiej, władze sowieckie zastosowały kolejną falę aresztowań i wywózek w głąb ZSRS.

Armia Czerwona zajęła Lwów już 22 września 1939 roku, łamiąc postanowienia aktu kapitulacji miasta. Mimo to rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza Roman Longchamps de Bérièr ogłosił tego dnia okólnik wzywający kierowników katedr do podjęcia działań – bez określenia daty inauguracji roku akademickiego. Zajęcia inaugurowano 5 października, a już 18 października Biuro Polityczne KC Komunistycznej Partii Ukrainy mianowało rektorem Mychajła Iwanowicza Marczenkę. Od 30 października 1939 roku wprowadzono na uniwersytecie – jako urzędowy – język ukraiński. Z dniem 1 listopada Lwów włączono do Zachodniej Ukrainy, czyli do ZSRS, spotęgowało to proces sowietyzacji i ukrainizacji uczelni. 3 listopada tego roku zwolniono z pracy aresztowanych lub nieobecnych pracowników UJK. Uniwersytet przekształcono w Lwowski Państwowy Uniwersytet ZSRS (1 grudnia 1939). Z dniem 8 stycznia 1940 roku nadano Uniwersytetowi imię Iwana Franki.

Po aresztowaniu przez NKWD dyrektora Ossolineum Adama Lewaka władze okupacyjne mianowały Jerzego Borejszę (28 listopada 1939) nowym dyrektorem. Fundację znacjonalizowano pod nazwą Kombinat Kulturalno-Oświatowy Ossolineum. Borejsza poszukiwał formuły pozwalającej zachować działalność biblioteczną, wydawniczą i muzealną. W memoriale z 28 grudnia 1939 roku sugerował przekształcenie Ossolineum w Instytut imienia Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, będący filią Akademii Nauk USRS. Po decyzji Biura Politycznego KC KPU o przejęciu polskich placówek kultury i nauki odwołano Borejszę z funkcji dyrektora (30 stycznia 1940). Został mianowany wicedyrektorem Lwowskiej Filii Biblioteki Akademii Nauk USRS, do której włączono zasoby Biblioteki Ossolineum.

Podziały i rozdziały

W miejsce senatu i rad wydziałowych powołano na zsovietyzowanym uniwersytecie rady naukowe. Wydział Humanistyczny podzielono na dwa: historyczny oraz filologiczny, a Wydział Matematyczno-Przyrodniczy początkowo na dwa wydziały, by następnie wyłonić kolejne trzy z Wydziału Przyrodniczego. Zlikwidowano Wydział Teologiczny: „Stosownie do ustawodawstwa radzieckiego dotyczącego rozdziału Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła, należy zlikwidować teologiczny fakultet (...), który nie odpowiada duchowi uczelni, która powinna służyć na korzyść pracujących. Wszystkich studentów, profesorów i pracujący personel Wydziału Teologicznego należy uważać za zwolniony z posady” (pismo wystosowane 30 października 1939, podpisane przez komisarza oraz rektora sowieckiego

– tłum z jęz. rosyjskiego ks. Józef Wołczański, 2002). W celu indoktrynacji powołano katedry: marksizmu-leninizmu (18 wykładowców) oraz materializmu dialektycznego i historycznego. Wyłączono z uniwersytetu Wydział Lekarski i Oddział Farmacji, tworząc Lwowski Państwowy Instytut Medyczny (1 grudnia 1939), który podlegał ministrowi zdrowia. Zakłady i kliniki przekształcono w zespołowe katedry. Na użytek instytutu powołano Katedrę Marksizmu-Leninizmu. Z kolei Akademię Handlu Zagranicznego przekształcono w Lwowski Instytut Handlu Radzieckiego, a Akademię Medycyny Weterynaryjnej – w Lwowski Instytut Weterynaryjny.

Od 29 stycznia do 3 lutego 1941 roku odbywała się „I naukowa sesja Lwowskiego Państwowego Uniwersytetu im. Iwana Franka”. Po pięciu ideologicznych referatach plenarnych obradowano w sekcjach: historii (m.in. wygłosiła referat Ołena/Helena Michnik – o roli Karła Liebknechta i Róży Luksemburg), literatury (m.in. Juliusz Kleiner referował temat: *Farys Adama Mickiewicza*), językoznawstwa, nauk prawnych (m.in. Stefan Rozmaryn referował rozporządzenia Rady Najwyższej ZSRS), geografii i geologii, chemii, botaniki, zoologii, matematyki (m.in. Stanisław Mazur mówił o geometrii krzywizn), fizyki i astronomii oraz nauk ekonomicznych. Wzorzec „naukowych sesji”, mających oprawę ideologiczną, zapowiadał – jako kanon sowieckiej nauki – powojenne przekształcenia w nauce polskiej.

Już wtedy pojawiła się, jak odnotował Hugo Steinhaus (*Wspomnienia i zapiski*, Londyn 1992), „»zdrada klerków«, to znaczy akceptacja azjatyckiego kłamstwa przez pewną część naszej inteligencji (...) skład ludności lwowskiej zmienił się znacznie przez napływ uchodźców z Warszawy, z Krakowa, Poznańskiego, z całej zachodniej Polski. »Ludność« się podwoiła. Z uchodźców 75% stanowili Żydzi”.

Zniewolenie polskiej inteligencji

Powtórne wkroczenie wojsk sowieckich do Wilna (13 lipca 1944) i Lwowa (27 lipca 1944) przyniosło trwale zmiany granic i ustroju. Oba miasta były przez kilka dni po ustąpieniu Wehrmachtu pod kontrolą oddziałów AK i polską administracją. Władze polskie zostały jednak podstępnie aresztowane przez NKWD. By ułatwić lituanizację Wileńszczyzny i ukrainizację Ziemi Lwowskiej, władze sowieckie zastosowały kolejną falę aresztowań i wywózek w głąb ZSRS. Kierował tą akcją NKWD. Granice między Rzeczpospolitą Polską a ZSRS formalnie ustalone dopiero 5 lutego 1946 roku. W tych ośrodkach akademickich nie pozostawiono polskimi uczonym możliwości wyboru – by zachować więź z Polską, musieli ulec „repatriacji” i zerwać

więzy z „małą ojczyzną”. Ich decyzję przyspieszyło zarządzenie sowieckie, iż z dniem 9 listopada 1944 roku nie mogą się odbywać w uczelniach lwowskich zajęcia dydaktyczne w języku polskim. W zsovietyzowanym Uniwersytecie Lwowskim Polacy stanowili początkowo najliczniejszą grupę personelu naukowego – nawet 1 listopada 1944 roku 68 na 179 zatrudnionych było Polakami, a w sierpniu 1945 zatrudniano 44 Polaków, co stanowiło 23,4% ogółu. Polskich wykładowców z Medinstytutu skierowano do komisji poborowych Wojska Polskiego. Przy „repatriacji” na jedną rodzinę przypadła połowa „bydłęcego” wagonu towarowego; nie można było wywozić własnych mebli.

Polityka sowieckich okupantów we Lwowie była zapowiedzią działań wobec nauki polskiej podjętych po zakończeniu wojny i przeprowadzeniu zmian geopolitycznych. Lata 1939-1941 powiązane były z próbą zniewolenia polskiej inteligencji. Ulegli tej polityce zwolennicy lewicy, co zasługuje na miano kolaboracji z okupantem. W kręgu uczonych kolaboracja występowała w ograniczonym zakresie, w porównaniu z literatami czy dziennikarzami. Szczególnie bolesne były postawy części uczonych-humanistów, zwłaszcza że nie da się ich wytłumaczyć zagrożeniem egzystencjalnym ani też – w większości przypadków – zauroczeniem ideologią i praktyką sowiecką.



Fot. Stefan Ciechan



Piotr Müldner-Nieckowski

Natura naukowca

Wyciągnąłem ze stosu zeszytów jeden z notatkami z końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku i zdumiałem się, jak niewiele notatek z tamtego czasu zrealizowałem, to znaczy ile zostawiłem „na później”. Kiedy o tym półgębkiem wspominałem przy poobiedniej herbacie w uczelnianej stołówce, dwaj (a już dosiadali się następni) moi młodszy koledzy też powiedzieli, że „zmarowali” sporo myśli, pomysłów, rozwiązań i nie wiadomo, czy kiedykolwiek do nich wrócą.

Jedną z przyczyn, którą od razu wspólnie uzgodniliśmy, jest pułapka niemożności, polegająca na braku miejsc publikowania w polskich czasopismach naukowych wyników cząstkowych, danych pośrednich czy choćby hipotez lub (zgodnie z nowymi tendencjami w nauce) pytań naukowych. Ktoś podniósł, że przecież jest Internet, w którym można pisać prawie wszystko, co ślina na język przyniesie, ale ktoś drugi od razu odwrócił sprawę, że tego „polska nauka nie uznaje”, i dodał z przekąsem, że ponadto w Internecie grasują złodzieje. No tak, „w obecnej rzeczywistości” możliwość natychmiastowego publikowania zderza się z możliwością natychmiastowego i mało widocznego pobierania. I nie chodzi tylko o to, co kto ściągnie, przetworzy na swoją modłę i wpisze do właśnie tworzonego artykułu, aby zarobić parę punktów, ale o to, co robi, żeby ci zablokować możliwość skorzystania z twojej własnej myśli, ze snu, który ci się przyśnił na jawie.

Natura naukowca jest taka, że jest się nim przez cały czas, w dzień i w nocy, w czasie jakichś istotnych działań i kiedy „nic się nie robi”. To tak jak z poetą. Trudno zapomnieć słowa Wisławy Szymborskiej wypowiedziane w wykładzie noblowskim (1996), że niektórzy poetów nie szanują, bo postrzegają ich jako osoby w desusach leżące na łóżku i patrzące w sufit. Ludzie nie rozumieją, jak gigantyczna robota jest w toku w czasie tego leżenia.

Naukowcy też tak mają. Ich świat pracy nie zależy od miejsca, w którym się znajdują, chyba że następuje moment opisany przez Pasteura: kiedy zakładasz fartuch laboratoryjny, przestajesz należeć do świata nielaboratoryjnego. Dodam: ale nie odwrotnie! Kiedy fartuch zdejmujesz, nadal jesteś w laboratorium. Nadal tropi cię myśl, której nie skończyłeś rozpracowywać wczoraj i może dwa lata temu. Tak, dwa lata temu, to właśnie wczoraj, kiedy kładłeś się spać. Aż dzwoni ktoś, kto mówi, że właśnie układa książkę na pewien temat i ty byś go mógł wspomóc pewnym rozdziałem, bo masz podobny zakres zainteresowań. I to jest ten rozdział, który z tobą od dawna chodzi i śpi.

Tak, tylko że takie telefony z propozycjami to nie jest codzienność. To są sytuacje nadzwyczajne. W moim życiu zda-

rzyły się pięć może osiem razy. Kolegom, tym ze stołówki, zdarzały się jeszcze rzadziej, bo są dużo młodszy. A poza tym nie ma ani instytucji, ani sytuacji, w której ktoś cię docenia. Szczególnie dzisiaj, kiedy zaprogramowane w ustawie punktacje fałszują prawdę o wartości tego, co robisz i piszesz. Począwszy od wydawnictwa, które, jeśli nie punktowane, to i tobie punkty „zabierze”, i to wszystkie, choć zgodnie z logiką powinny być ci przyznane. Ale rządzenie nauką nie ma z logiką, jak się ostatnio przekonujemy, wiele wspólnego. No, spójrzmy, choćby jak urzędnicy traktują monografię. W stołówce rozstrzygnęliśmy ten problem w kilka sekund. Monografia powinna być przez urzędnika oddana do przeczytania fachowcowi, który wydzieli w niej odkrycia, wynalazki, tezy i inne elementy, które jako takie (gdyby występowały samodzielnie) stanowiłyby odrębne dokonania, zasługujące na punkty. Do klasyki można by było w ten sposób zaliczyć na przykład drukowaną w dwóch odcinkach pracę (kilkunastostronicowy artykuł) słynnego Edmunda Biernackiego z 1897 roku w „Gazecie Lekarskiej” pt. *Samoistna sedymentacja krwi jako naukowa, praktyczno-kliniczna metoda badania* (1897, nr 17, s. 962, 996). Przedstawił w niej dość mocno już zarysowaną teorię zaobserwowanej przez siebie sedymentacji krwinek w próbkach krwi, której nadano później używaną do dziś nazwę „odczyn Biernackiego” (OB). Otóż w pracy tej Biernacki podał jeszcze kilka innych odkryć, równie ważnych dla nauki, ale już nie tak spektakularnych. Za każdą – doktorat lub profesura. W tamtych czasach mógł sobie pozwolić na drukowanie w odcinkach (a nawet autorów do tego zachęcano, mimo zaborów, rusyfikacji, germanizacji, walki z Polską i polskością itd.), bo redakcje doskonale rozumiały, że mają do czynienia z nauką, a nie tekstem przeznaczonym do zdobywania punktów.

Na tę historię zareagowali koledzy śmiechem. Nie spotkali się z reakcją na swoje prace. Otóż jeden powiedział: – Proszę państwa, nie wiem, jak wy, ale ja jakieś dwadzieścia pięć razy znalazłem dotyczące moich prac przypisy bibliograficzne i pozycje w wykazach piśmiennictwa w artykułach i monografiach, ale ani razu nie stwierdziłem powołań ani cytowań w tekście głównym tych prac. Wszystko wskazuje na to, że moje artykuły służą do wspierania cudzych, ale czytane nie są – dodał.

Ktoś wyjął smartfon i szybko coś w nim wstukał rysikiem. Wepchnął telefon do kieszeni, a kolega zapytał: – Ktoś dzwonił? – Nie, zanotowałem przypomnienie, że w drugim akapicie na trzeciej stronie pisanej przeze mnie pracy powinienem poprawić sens zdania.

e-mail: lpj@lpj.pl

Ekscesy i mrzonki



W debacie publicznej istnieją pojęcia-zakłęcia. Wystarczy oznaczyć (formułując modnie: otagować) nimi poglądy adwersarza i przynajmniej dla pewnej części społeczeństwa wszystko, co on dalej powie, będzie skazane. Jednym z takich pojęć jest eugenika, kojarząca się z praktykami nazistów czy nagannymi moralnie regulacjami prawnymi, które jeszcze do lat 70. obowiązywały w krajach skandynawskich i w USA. Sama próba mówienia o pozytywnie rozumianej eugenicie jest dla wielu niedopuszczalna, sprzeczna z podstawowymi wartościami. Zdzisława Piątek pokazuje, że pojęcie

to można różnie rozumieć i że pewne sposoby postępowania, postrzegane jako właściwe cywilizowanemu społeczeństwu, również mają charakter eugeniczny.

Najistotniejsze wydaje się rozróżnienie na eugenikę zapobiegawczą i eugenikę pozytywną. Autorka omawia wynaturzenia działań eugenicznych z podziałem na te dwa obszary, gdyż mają one inny charakter. Tu uwidacznia się też druga zaleta pracy: Piątek wskazuje, że słusznie należące do przeszłości praktyki eugeniczne były nie tylko niemoralne, ale przede wszystkim bazowały na niepełnej wiedzy o mechanizmach dziedziczenia i ekstrapolowaniu znanych już prawideł na obszary, gdzie nie mają one zastosowania. Jest to też w jakimś sensie historia pychy nauki: najważniejsze ekscesy eugeniki miały miejsce na przełomie XIX i XX wieku oraz w okresie międzywojennym, gdy wielu ludzi nauki najwyraźniej doszło do przekonania, że wszystko, co ważne, zostało już odkryte (podczas gdy DNA po raz pierwszy opisano dopiero w 1953 roku). Piątek mówi o eugenicie pozytywnej – potocznie rozumianej jako „hodowla geniuszy” – jako mrzonce nie z uwagi na wartości moralne, ale dlatego, że taka manipulacja ludzkim genomem jeszcze długo będzie niemożliwa.

Frapująca jest polemika autorki z chrześcijańską koncepcją „świętości życia” przy jednoczesnym trzymaniu się z dala od koncepcji stereotypowo uważanych za lewicowe. Choć w wielu punktach nie mogą się zgodzić z jej argumentacją, kluczowe pytanie wybrzmiewa mocno: Skoro niepełnosprawne dziecko jest tak ważnym darem i zadaniem, to dlaczego nie spotyka się osób, które chciałyby mieć niepełnosprawne potomstwo? Piątek podkreśla, że eugenika nie oznacza pozbywania się niechcianego potomstwa, ale dbanie o to, by już w łonie matki można było takie dzieci leczyć, a rodzice mogli się przygotować.

Rozważania autorki na temat znaczenia pozytywnie rozumianej eugeniki dla ograniczenia wciąż rosnących kosztów funkcjonowania służby zdrowia zasługują na rozwinięcie – rzadko w polskiej debacie publicznej można usłyszeć głos poza binarną opozycją „pro-life” i „aborcji na życzenie”. Również sposób, w jaki Piątek dotyka zagadnienia eutanazji, zasługiwałby na szersze omówienie. Autorka chce, byśmy znów nie bali się mówić o eugenicie. Stawia tę tezę śmiało, ale nie prowokacyjnie.

W starannie wydanej książce tym bardziej dziwią potknięcia merytoryczne. W trakcie wywodu autorka odwołuje się do *Frankenstein* Mary Shelley. Po pierwsze określa ten utwór mianem opowiadania, podczas gdy jest to pełnowymiarowa powieść. Po drugie utrzymuje, że monstrum jest uosobieniem ślepej, niszczycielskiej siły. Dlatego nie ma imienia, a twórca chce je zniszczyć. Każdy, kto czytał powieść, wie, że to nieprawda. Monstrum jest wrażliwą istotą, prostota jego pojęć moralnych pozwala mu dostrzegać i nazywać zło w świecie. Nie ma imienia, gdyż Frankenstein, niezdolny do wzięcia odpowiedzialności za „ojcostwo”, nigdy mu go nie nadał. Twórca chce zniszczyć dzieło dlatego, że monstrum – odrzucone przez społeczeństwo, któremu usiłowało pomagać – domaga się od „ojca” powołania do życia monstrum-kobiety. Jednak Frankenstein, przerażony, odmawia. Dopiero wtedy monstrum, odrzucone nawet przez „ojca”, zapowiada mu: „Będziesz cierpia!”.

Marek Misiak

Zdzisława PIĄTEK, **Eugenika. Zagrożenie czy nadzieja ludzkości?**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019, seria: Miniatury etyczne.

Stasiuk według Glenia



Słowa „legendarny” i „kultowy” chyba trochę nam spowszedniały. Zbyt często używane, zatraciły wyjątkowość swojego pierwotnego znaczenia, a bez wątpienia takich określeń użyłoby wobec pisarza kilka pokoleń czytelników czy wręcz wyznawców wychowanych na jego prozie, do których zalicza się także Adrian Głeń.

Istnienie nie jest klasyczną monografią, omawia wybrane wątki tematyczne i porusza zagadnienia, wokół których, zdaniem badacza, wciąż krąży proza Stasiuka. Autor *Murów Hebronu* wielokrotnie wywoływany był do tablicy jako ten, który realizuje postulat życiopisania. Wszak

zdawać by się mogło, że nie budował nigdy wyraźnej granicy między bohaterem a autorem, a pierwszoosobowa narracja bądź forma dziennika tym bardziej skłaniały naiwnych czytelników do stawiania znaku równości między życiem a literacką fikcją. Ustalenia Glenia są jasne: na podstawie analizy tekstów stawia tezę albo raczej dogmat, że nie ma najmniejszych podstaw, by sądzić, iż Stasiuk jest reprezentantem metody życiopisania. Marek Hłasko wymyślił ciekawą definicję „prawdziwego zmyslenia”, a Stasiuk po prostu mówi, że „pisarz to taki kłamca, który gra o prawdę”.

Kolejne próby zaszufladkowania bohatera monografii pojawiły się po *Mojej Europie*, napisanej wspólnie z Jurijem Andruchowiczem. Stał się nagle Stasiuk (wg innych rzecz jasna) pisarzem typowo środkowoeuropejskim, specjalistą od spraw społecznych, historycznych i geopolitycznych, o czym wspominał w wielu wywiadach. Nie pomogło mu bez wątpienia zainteresowanie Wschodem jako kierunkiem nieustannych peregrynacji, które stawały się później kanwami jego felietonów, artykułów i książek. Nieuleczalna reisefeber od kilkunastu lat daje asumpt do powstawania kolejnych powieści drogi, podróży dzienników autora *Jadąc do Babadag*.

Każdy jednak wie, że Stasiuka nie interesuje zachodnia cywilizacja, jej zdobycze, strzeliste wieżowce, miasta ze szkła i aluminium. Prawdziwego życia szuka on gdzie indziej, często w miejscach zapomnianych przez Boga i ludzi, w skarłających i rachitycznych urbanistycznych krajobrazach, pejzażach zapadłych wsi i zaniedbanych miasteczek odnajduje swoje genius loci. Zachwycą się naturalistycznym i turpistycznym pięknem, odnajduje wartość w stagnacji, bezruchu, w powtarzalnych sylwetkach bohaterów, którzy na pozór, a może i w rzeczywistości, robią wielkie NIC. Zatopieni w marazmie, uchwyleni i zatrzymani przez pisarza w momencie wiecznym, w tej chwili nieustającej jak owady w grudce bursztynu. Stasiukowy bezruch opisywanej rzeczywistości jest chyba jednak wyłącznie pozorny, to jedynie przeciwieństwo zachodniego pędu po wszystko i do wszystkiego. Bezruch, który nie oznacza braku życia, po prostu owo życie biegnie inaczej, jakby obok, chociaż jest częścią wielkiego świata.

Oczywiście każda podróż, a podróż literacka w szczególności, jest przede wszystkim wędrowaniem w głąb siebie. Głeń konstatuje, że analizowane fragmenty prozy wykazują wyraźną „metafizyczną tęsknotę”, jednak w żadnym wypadku nie posuwa się do stwierżeń o religijności autora *Fado*. Podróż możemy też rozpatrywać nie tylko w kategoriach poznawania nowego, odkrywania nieznanego (dla nas samych) krain, ale również jako ucieczkę, chęć odosobnienia, postawienia siebie samego w obcym otoczeniu.

Jakiego Stasiuka daje nam Adrian Głeń? Przede wszystkim swojego, przesączonego przez filtr indywidualnej wrażliwości nie tylko zwykłego czytelnika, ale i krytyka. Od początku książki wiemy, że Stasiuk „wielkim pisarzem jest” i dalej następuje tylko rozwinięcie tego stwierdzenia. *Istnienie* stanowi kolejny element w krytycznoliterackiej konstrukcji wokół zjawiska zwanego Andrzej Stasiuk, który być może właśnie wsiada do samochodu...

Jacek Hnidiuk

Adrian GŁEŃ, **Andrzej Stasiuk. Istnienie**, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, seria: Projekt: Egzystencja i literatura.

Od Kafki do Murakamiego



W jednym z opowiadań o Sherlocku Holmesie genialny detektyw tłumaczy doktorowi Watsonowi, że jedną z najważniejszych książek w bibliotece dżentelmena powinny być *Cytaty z Szekspira na każdą okazję*. Wiele osób, nawet legitymujących się humanistycznym wykształceniem, w taki właśnie sposób postrzega klasykę literatury: jako rezerwuwar cytatów, a w bardziej ambitnej wersji – tropów, toposów, motywów itp. Odnoszę wrażenie, że dla niektórych czytelników nawet utwory mające niecałe sto lat, jak np. *Proces* Kafki,

to już rzeczy martwe, raz na zawsze zinterpretowane i zrozumiane.

A przecież jedną z najbardziej fascynujących cech literatury, czy piśmiennictwa w ogólności, jest fakt, że można przeczytać tekst powstały nawet nie tysiąc, a dwa tysiące lat temu i odkryć go dla siebie jako nośnik ważnych treści, piękna, inspirujących spostrzeżeń. Przy takim nastawieniu łatwiej się zdobyć na wolność wskazania, że coś uznanego za ścisłą klasykę jednak nas nie pociąga, jak uczniów z *Ferdynandke*.

Lukasz Musiał jest intelektualnie wolny na oba powyższe sposoby. Z jednej strony wskazuje w pozornie przenicowanych już wiele razy dziełach nowe sensory, i to nie dokonując interpretacyjnych nadużyć, tylko wychodząc z utartych kolein rozumienia (widać to najlepiej w pierwszym z dwóch esejów poświęconych Kafce). Z drugiej ma odwagę wskazać na niedostatki i ograniczenia utworów obwołanych przez krytykę wydarzeniami roku, jeśli nie dekady. Nie mogę się tu powstrzymać przed czysto osobistą refleksją. Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem esej o *Łaskawych* Jonathana Littella. Cieszę się, że nie tylko dla mnie była to trudna lektura, nie tylko ja uważam Littella za fatalnego dialogistę a konstrukcję powieści i głównego bohatera za cokolwiek sztuczne.

To właśnie wspomniany esej o Kafce uważam za zdecydowanie najbardziej zaskakujący. Jego jedyna ukończona powieść jest tu analizowana w kluczu... antropozoficznym. Brzmi podejrzanie? Tylko na pozór. Nie jest to rzecz jasna ostateczny, domykający sposób rozumienia utworu, ale zdecydowanie bardziej inspirujący niż widzenie przypadków Józefa K. wyłącznie jako obrazu dehumanizującego wpływu nowoczesności czy bliżej niesprecyzowanego „absurdu ludzkiej egzystencji”. Kafka przestaje być kafkowską figurą, parodią samego siebie, a staje się znów bardziej sobą: twórcą, którego wciąż nie rozumiemy. On sam w listach do Mileny Jensenskiej wielokrotnie deklarował, że nie rozumie sam siebie, więc być może jesteśmy bez szans, ale uważam, że warto próbować.

Nie wszystkie eseje są równie udane: ten o H.P. Lovecraftcie powtarza tezy znane z amerykańskich publikacji i filmów dokumentalnych o *Samotniku z Providence*; ten o E.A. Poem sprawiał wrażenie zapisków na pudełku od zapalek – olśniewających, ale niewnoszących nic nowego. Natomiast tekst o twórczości J.M. Coetzego uchwycił dokładnie to, czego sam nie byłem w stanie skonceptualizować. To historie z bohaterami, którzy wymykają się poznaniu, zamiast eksploracji wnętrza postaci mamy tu opalizowanie niczym w drgającym podczas upału powietrzu. Musiał pisze o „historiach z dziurą w środku” i to sformułowanie dokładnie oddaje odczucia czytelnika. Interesujące są wreszcie rozważania o piarstwie Harukiego Murakamiego. Podzielałam przywoływaną przez Musiała jako snobistyczną opinię, że japoński pisarz jest przereklamowany, ale jednocześnie eseista wskazuje, co jest w powieściach Japończyka pociągające, zwłaszcza tych starszych, jak *Norwegian Wood*.

Zbiór ma klamrową konstrukcję: otwiera go pesymistyczna interpretacja obrazu Edwarda Hoppera, zamyka zaś bardziej optymistyczna. Obie demonstrują talent Łukasza Musiała. Cenię twórczość Hoppera, a dzięki tej książce spojrzałem na jeden z jego najważniejszych obrazów w inny sposób.

Marek Misiak

Łukasz MUSIAŁ, *Zaufanie i utopia. Eseje o literaturze*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2019.

Mokra wiedza



Znajomość z wodą rozpoczynamy od bardzo wczesnego dzieciństwa. Nasze pierwsze wspomnienia często mają związek z kąpielami, wizytami na basenie czy wyjazdami nad morze. Jako dzieci na pewno wielokrotnie pytaliśmy rodziców, skąd i po co na Ziemi znajduje się tyle wody, ale czy jako dorośli umiemy sobie na to pytanie poprawnie odpowiedzieć? Jeśli nie lub w niewystarczającym stopniu, możemy oczywiście sięgnąć po literaturę naukową. Zwłaszcza teraz, kiedy na rynku pojawiła się książka specjalistki w tej dziedzinie, Aleksandry Kardaś. *Książka o wodzie* w wyczerpujący sposób odpowiada na wiele pytań i intrygujących zagadnień.

Aleksandra Kardaś jest doktorem nauk fizycznych, specjalizuje się w fizyce atmosfery. Na co dzień współtworzy serwis naukowy *Nauka o klimacie* i jest współautorką książki o tym samym tytule. Współtworzyła liczne artykuły naukowe i popularnonaukowe, prowadziła wykłady nie tylko dla studentów, lecz także dla szerokiego grona odbiorców.

Cel, jaki przyświecał jej podczas pisania książki, wyjaśnia Kardaś już we wstępie: „Pisząc *Książkę o wodzie*, starałam się przedstawić niezwykłą rolę, jaką ta substancja odgrywa na Ziemi. To, że jej własności pozwoliły na powstanie życia, ukształtowanie się krajobrazu i klimatu. A także jak na różne sposoby wykorzystujemy je od zarania cywilizacji. Nie próbowałam jednak stworzyć podręcznika ani encyklopedii. To raczej subiektywny przegląd wszytkiego, co mnie samą fascynuje w wodzie i jej możliwościach”.

Swoją wiedzę o wodzie Aleksandra Kardaś dzieli na siedem głównych rozdziałów. We wprowadzeniu autorka tłumaczy nam, jak właściwie zbudowana jest woda, kiedy patrzymy na nią nie w mikro-, lecz w nanoskali. Poznajemy ją więc jako związek chemiczny – jej cechy i stany skupienia. To wprowadzenie pozwala łatwiej zrozumieć rolę wody w przyrodzie oraz zjawisk występujących w oceanach czy atmosferze, które opisuje autorka w kolejnych rozdziałach. Poznajemy także znaczenie lodu morskiego, lodowców i lądolodów. Opis obiegu wody w przyrodzie zamyka autorka grawitacją, czyli siłą, która sprawia, że woda transportowana jest w głąb lądu, by tam tworzyć rzeki i morza. W ostatnim rozdziale przybliży czytelnikom sposoby, w jakie człowiek od zarania cywilizacji – od czasów starożytności aż po współczesność – wykorzystuje wodę w przemyśle, technologii i gospodarce.

Na szczególną uwagę zasługuje samo wydanie książki – wyjątkowo estetyczne, utrzymane w podobnej stylistyce, co inne książki wydawnictwa MG. Książka bogata jest w związane z tematyką ilustracje autorstwa Zuzanny Malinowskiej. No i oczywiście, jak na książkę o wodzie przystało, publikacja Aleksandry Kardaś utrzymana jest w odcieniach koloru niebieskiego. Ważne terminy zostały w niej nie tylko wytłuszczone, by czytelnik zwrócił na nie szczególną uwagę, lecz także wytłumaczone w wyczerpujący sposób.

Jednak język, którym posługuje się autorka, trudno uznać za przystępny, przez co nie jest to książka dla wszystkich, a raczej podręcznikowe (czy wręcz encyklopedyczne) rozwinięcie szkolnej wiedzy na temat wody i opowieść o zjawiskach z nią związanych.

Jednakże, jak uważa sama autorka, zrozumienie fizycznych cech wody w różnych postaciach i zjawiskach z jej udziałem, które obserwujemy na Ziemi, pozwala uzmysłowić sobie powiązania pomiędzy tym, co dzieje się w różnych częściach świata, oraz praktycznymi konsekwencjami, które przynosić może zmiana klimatu. Warto bowiem wspomnieć, że w tle podróży po najważniejszych zjawiskach związanych z wodą wylania się troska autorki o zmiany klimatyczne, w których człowiek ma niestety swój udział.

Katarzyna Krzyżanowska

Aleksandra Kardaś, *Książka o wodzie*, Wydawnictwo MG, Warszawa 2019.

Themersonowie (nie tylko) dla dzieci



Historia polskiej literatury dla dzieci i młodzieży ma jeszcze wiele mniej znanych rozdziałów. Jednym z nich jest twórczość awangardowych artystów Franciszki i Stefana Themersonów. Ona (z domu: Weinles, ur. 1907 w Warszawie, zm. 1988 w Londynie) była rysowniczką, malarką, scenografką i realizatorką filmową. On (ur. 1910 w Płocku, zm. 1988 w Londynie) był poetą, prozaikiem, eseistą, dramatopisarzem i reżyserem filmów eksperymentalnych. Oboje byli również wydawcami, m.in. założyli i prowadzili w Londynie Gaber-

bocchus Press słynące z niekonwencjonalnych publikacji.

W opublikowanej niedawno monografii *Themersonowie dzieciom* Beata Gromadzka zajmuje się bardzo ważnym, choć przez badaczy dotychczas marginalizowanym, wczesnym okresem działalności artystycznej Themersonów. W tej twórczości badaczka wyróżnia kilka mniej lub bardziej rozproszonych bloków. Najważniejszym z nich były projekty artystyczne z tekstami Stefana i ilustracjami Franciszki we wspólnie przygotowanej oprawie typograficznej. Efekt tej współpracy stanowią m.in. następujące książki: *Historia Felka Strąka* (1931), *Jacusz w zaczarowanym mieście* (1932), *Narodziny liter* (1932), *Nasi ojcowie pracują* (ok. 1932), *Był gdzieś haj taki kraj. Była gdzieś taka wieś* (1935), *Pan Tom buduje dom...* (1938), *Przygody Pędrka Wyrzutka* (1958). Ponadto oboje współpracowali z przedwojennymi redakcjami czasopism dla dzieci i młodzieży, m.in. „Płomyka” i „Płomyczka”. Stefan Themerson napisał również teksty do podręczników szkolnych z lat 1937–1938.

Wspólne publikacje Themersonów stanowiły nowatorską formę książki obrazkowej dla młodego czytelnika. Wyróżniały się przede wszystkim następującymi cechami: dynamiczny i uproszczony rysunek o wyrazistej kresce, oryginalna kompozycja kolumny, rozbicie tradycyjnego podziału na tekst i obraz. Jak podkreśla autorka monografii: „artyści stworzyli nowoczesny model komunikacji z niedorodłym odbiorcą za pośrednictwem znaku słowno-obrazowego. [...] Franciszka i Stefan wyprzedzili swoją epokę, tworząc oryginalny i uniwersalny typ narracji właściwy dla świata interfejsów”.

Dwoistość artystycznej postawy Themersonów polegała na tym, że „z jednej strony z aprobatą przyglądali się nowym nurtom i tendencjom oraz chętnie zgłaszali do nich akces, a z drugiej strony cechowała ich wywrotowość i dążenie do artystycznej wolności”. Stąd ich twórczość adresowana do młodego odbiorcy była uczciwa i wolna od infantyliżmu, zachowująca autonomię niedorosłego czytelnika. Być może dlatego jednym z najważniejszych i najczęściej pojawiających się motywów w utworach Themersonów jest motyw wędrowki. Bohaterami kierują bowiem nigdy niezaspokojona potrzeba zmiany oraz wewnętrzny przymus poszukiwania nowych doznań, przygód i ludzi.

Starannie udokumentowana monografia Beaty Gromadzkiej nie tylko pokazuje bogactwo i różnorodność twórczości Themersonów, lecz także uwypukla dwuadresowość dorobku, z którego radość i mądrość czerpać mogą zarówno czytelnicy młodszy, jak i starsi. Potwierdzają to m.in. wzniesione w XXI w. przez wydawnictwa Iskry, Widnokrąg i Festina Lente niektóre książki stworzone przez artystyczny tandem. Jest wśród nich wierszowana opowieść *Był gdzieś haj taki kraj*, której fragment pozwolę sobie zacytować (ilustracje można odnaleźć w omawianej książce i internecie): „Był gdzieś, haj! / taki kraj: / nazywał się – / Alibajdadzikafrajdawtomigraj. / A w tym kraju / po ulicy / chodzili dzicy / Alibajdadzikafrajdawtomigraje. / A w tym kraju Alibajdadzikafrajdawtomigraju / były domy / ze słomy”.

Na zakończenie warto wspomnieć, że w 2015 r. spuścizna artystyczna Themersonów została zdeponowana w Bibliotece Narodowej w Warszawie, która opracowuje, digitalizuje i udostępnia te cenne zbiory na stronie polona.pl.

Marcin Lutomiński

Beata GROMADZKA, *Themersonowie dzieciom*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2019.

Książki nadane

Samuel SCHEFFLER, *Śmierć i życie po śmierci. Kiedy umrę, ludzkość będzie trwać*, tłum. Dawid Misztal, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: Kim jest człowiek?

John HICK, *Nowe pogranicze religii i nauki. Doświadczenie religijne, neuronauki i Transcendentne*, tłum. Jan Andrzej Lipski, red. Tomasz Sieczkowski, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: W poszukiwaniu idei XXI wieku.

Eleonora JEDLIŃSKA, *Kształty pamięci. Wybrane zagadnienia sztuki współczesnej*, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: Oblicza sztuki.

Science in Poland in 34 Snapshots, PRACA ZBIOROWA, Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej, Warszawa 2019.

Jeremy BROWN, *Grypa. Sto lat walki*, tłum. Joanna Gilewicz, Wyd. UJ, Kraków 2019, seria: Mundus. Fenomeny.

Ernst VAN ALPHEN, *Krytyka jako interwencja. Sztuka, pamięć, afekt*, pod red. Katarzyny Bojarskiej, Wyd. UJ, Kraków 2019, seria: Hermeneia.

Monika GRZELKA, *Dyskurs intelektualny. Ponad i pomiędzy*, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2019.

Łukasz MUSIAŁ, *Zaufanie i utopia. Eseje o literaturze*, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2019.

Marta TOMCZOK, *Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja*, Wyd. UŁ, Łódź 2019.

Marcin PIĄTKOWSKI, *Europejski lider wzrostu. Polska droga od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu*, tłum. Michał Lipa, Wyd. Poltext, Warszawa 2019.

Adam BEDNARCZYK, *W świecie opowieści i snów. Wokół „pamiętnika z Sarashiny” córki Sugawary Takasuego*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Gajusz Pliniusz SEKUNDUS, *Historia naturalna. Tom II: Antropologia i Zoologia. Księgi VII-XI*, tekst, wstęp, tłum. i komentarz Ireneusz MIKOŁAJCZYK, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019.

Anna BARAN i in., *Rola mediów w promocji zdrowia psychicznego i w zapobieganiu samobójstwom. Poradnik dla pracowników mediów*, Ministerstwo Zdrowia, Warszawa 2018.

(Dy)fuzje. *Związki literatury i sztuki w Polsce po 1945 roku*, pod red. Magdaleny LACHMAN i Pawła POLITA, Wyd. UŁ, Muzeum Sztuki, Łódź 2019.

Magdalena WASĄG, *W cieniu ojca. Awangarda prozatorska lat 30. XX wieku. Rudnicki. Napierski. Schulz. Tarn*, Wyd. UŁ, Łódź 2019, seria: Interpretacje Literackie.

Krzysztof ŁĘCKI, *Według Tukidydesa. Rozważanie socjologia literatury nad „Wojną peloponeską”*, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Wielkie tematy literatury amerykańskiej. Tom 8: Przemoc, pod red. Soni CAPUTY i Agnieszki WOŹNIAKOWSKIEJ, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Milczę, więc jestem. Formy milczenia w literaturze XX i XXI wieku, pod red. Agnieszki NĘCKIEJ, Emilii WILK-KRZYŻOWSKIEJ, Natalii ŻÓRAWSKIEJ-JANIK, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Littératures de l'imaginaire, sous la rédaction de Katarzyna GADOMSKA, Agnieszka LOSKA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Aleksandra WÓJTOWICZ, *Przestrzeń „Ozimy” Wacława Berenta*, IBL, Warszawa 2019.

Piotr CZERWIŃSKI, Aneta BANASZEK-SZAPOWAŁOWA, Maciej WALCZAK, *Kim ty jesteś? Ja kontra adwersarz w polskiej debacie przedwyborczej. Język a rzeczywistość w kategoriach ekspresji, polityki, ideologii*, Wyd. UŚ, Katowice 2019.

Kultura emocjonalna szkoły – czasoprzestrzenie doświadczenia emocji, red. nauk. Irena PRZYBYLSKA, Wyd. UŚ, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.



Fot. Stefan Ciecchan

Leszek Szaruga

Prometeusze

Potężna monografia Pawła Kowala *Testament Prometeusza*, poświęcona źródłom polskiej polityki wschodniej, skupia się przede wszystkim na osobie Jerzego Giedroycia. Zwracając uwagę na związki myśli politycznej redaktora „Kultury” (przed wojną zaś „Buntu Młodych” i „Polityki”) z ruchem prometejskim wskazuje na jego początki związane z załamaniem się koncepcji federacyjnych po zawarciu pokoju w Rydze: „Polityczny koniec tego programu nie oznaczał pogodzenia się z dominacją sowieckiej Rosji, a potem ZSRS na wschód od polskich granic. Odpowiedzią na nową sytuację polityczną było uformowanie się ruchu prometejskiego. Polski prometeizm już w swoich założeniach wyróżniały – w przeciwieństwie do ruchu prometejskiego na Zachodzie – znaczący pierwiastek antykomunistyczny oraz realizm w ocenie sytuacji na Wschodzie”.

Czy stosunek do komunizmu w ruchu na Zachodzie był łagodniejszy, o to można się spierać. Z całą pewnością założyciele organizacji Prometeusz w Paryżu w roku 1926 – pochodzący z krajów ogarniętych przez Sowiety – nie byli zwolnikami komunizmu: stawiali wszak na przemiany mające umożliwić rozpad komunistycznego imperium i powstanie suwerennych państw. Z kolei ruch prometejski w Polsce miał przede wszystkim charakter badawczy, choć oczywiście nie zdystansowany od polityki. Powstały w Warszawie w 1926 roku i działający do końca dwudziestolecia międzywojennego Instytut Wschodni, kierowany w ostatnich miesiącach przez Jana Kucharzewskiego, historyka i polityka, przez krótki okres sprawującego w 1918 roku funkcję premiera, a też autora głośnej rozprawy *Od białego caratu do czerwonego*, stał się bez wątpienia jednym z czołowych ośrodków sowietologicznych na świecie.

Jako ciekawostkę – ale bynajmniej nie marginalną – warto wspomnieć, że wykładowcą w działającej przy Instytucie Szkoły Wschodoznawczej był lektor języka japońskiego Ryōchū Umeda. Jego syn Yoshiho Umeda, który zamieszkał w peerelii, stał się współpracownikiem KOR i doradcą „Solidarności”, zaś po wydaleniu go z kraju w okresie stanu wojennego aktywnie wspomagał struktury polskiego podziemia, zaś po roku 1989 znów do Polski wrócił; dokumentalny film o jego działalności jest dziełem Jana Strękowskiego.

Co zaś do realistycznej oceny sytuacji w Sowietach, bez wątpienia polski ruch prometejski (a po wojnie ośrodek „Kultury” paryskiej) przez cały czas był bardziej rzeczowy niż większość sowietologicznych instytucji na Zachodzie. Jednym z narzędzi pozwalających w „Kulturze” na głębokie rozpoznanie realiów

systemu komunistycznego była niezwykle wprost dbałość o detale, co widoczne jest w pozornie tylko drugoplanowych opracowaniach, jakimi są kroniki relacjonujące czy tylko odnotowujące wydarzenia w krajach z Polską sąsiadujących. Systematycznie dopełniane, z pewnością mogą stać się dziś przedmiotem uważnych studiów. O znaczeniu tych rubryk zaświadcza korespondencja Giedroycia wciąż poszukującego nowych sprawozdawców, jakimi stali się kronikarze „Kultury”. Byłoby zresztą pożytecznym przedsięwzięciem wydanie owych kronik (z odpowiednimi komentarzami) jako osobnej publikacji. Czytane dziś stanowią bez wątpienia równie doskonałą opowieść o komunistycznym świecie, jak rubryka przez lata prowadzonego w „Tygodniku Powszechnym” obrazu tygodnia, która może być potraktowana jako osobny gatunek dziennikarski. Nie od rzeczy też będzie spostrzeżenie, że wszystkie te narracje mają charakter autorski. Czytane osobno zdają się być jedynie ozdobnikami, ale ich lektura zbiorcza może być znakomitym źródłem wiedzy umykającym uwadze badaczy skupionych na zjawiskach pierwszoplanowych. Można powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze zbiorem puzzli, które dopiero złożone w całość odsłaniają bogatą panoramę.

Otwartym zdaje się być pytanie o relacje łączące Giedroycia z ruchem prometejskim. Jeżeli przyjąć, że autorstwo idei prometejskiej można przypisać Piłsudskiemu, „który – jak pisze Kowal – w 1904 roku w memoriale do rządu japońskiego jako cel polityczny Polski stawiał słowa (...): »rozbić państwa rosyjskiego na główne części składowe i usamowolnienie przemocą wcielonych w skład Imperium krajów«”, to z pewnością założenia myśli redaktora „Kultury” wyrażają podobnych przesłanek. W tej mierze bez wątpienia krąg skupiony wokół paryskiego miesięcznika podzielał tą postawę mimo wielu różnic dzielących współuczestników tego przedsięwzięcia. Realizacja tak wyznaczonego celu – zmierzającego do zagwarantowania suwerenności Polski – zależna była od zmiennych okoliczności politycznych, ale z pewnością jest kontynuowana dzisiaj nie tylko przez polityków, lecz również w pracach takich ośrodków badawczych, jak Studium Europy Wschodniej przy Uniwersytecie Warszawskim, Ośrodek Karta czy Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie, który decyzją parlamentu przekształcony został w roku 2018 w Instytut Europy Środkowej. Jeśli ta zmiana, jak sugeruje nazwa, miałyby oznaczać usunięcie Rosji z pola zainteresowań tej placówki, mogłoby to oznaczać także porzucenie przez nią idei prometejskiej.



Browar Górniczo-Hutniczy AGH

Wypowiedź prof. Tadeusza Słomki, rektora AGH na str. 52

Fotografie: KSAF, Zbigniew Sulima

Akademia Innowacji dla Uczelni

Organizator:

WIRTUALNA KONFERENCJA ONLINE

7 kwietnia 2020 r.



PCG | *Academia*



WWW.AI2020.PL



W imieniu Organizatora,
firmy doradczo - informatycznej PCC,
mam przyjemność zaprosić Państwa
do udziału w III edycji Akademii
Innowacji dla Uczelni.

Prof. Łukasz Sułkowski

Zaprezentujemy nowoczesne rozwiązania informatyczne jak również
praktyczne studia przypadków w trzech strategicznych obszarach
rozwoju uczelni:

- zarządzanie informacją naukową (w świetle Ustawy 2.0)
- nauczanie skoncentrowane na studencie, oraz
- obsługa procesów uczelnianych przy pomocy rozwiązań chmurowych.

Udział w Akademii Innowacji jest bezpłatny.

Program konferencji dostępny jest na www.ai2020.pl.

Do wydarzenia będzie można
dołączyć z każdego miejsca,
bez konieczności podróży
i narażania zdrowia.

Aby uczestniczyć w Akademii
Innowacji wystarczy urządzenie
z dostępem do Internetu.
Na wybrane sesje będzie można
dołączyć w dowolnym czasie.

Wszyscy uczestnicy wirtualnej
konferencji będą mieli możliwość
zadawania pytań i wymiany
poglądów z Prelegentami online.

ZAPISZ SIĘ NA WWW.AI2020.PL

Patronat nad wydarzeniem objęły:



Do grona partnerów i organizatorów III Akademii Innowacji dla Uczelni należą firmy:



Blackboard



escola

